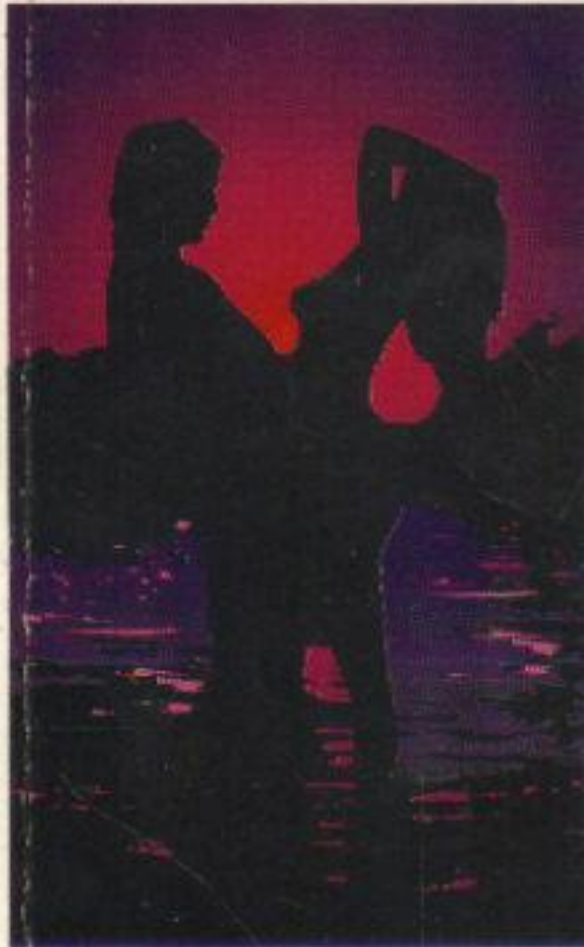


Roman Samsel

**Miłość
w tropikach**

ekstaza



Samsel Roman

Ekstaza 03

Miłość w tropikach

Patrzyłem na jej bezczelnie młodą buzię, długą łabędzią szyję, mocno zarysowane pod bluzką piersi. Wyobraziłem sobie jej pełne uda, które przed chwilą czułem podczas tańca. Jej ciało przyprawiało mnie o oszłomienie. Będę miał do niego prawo, będę mógł je osiąść, jeśli tylko zawiozę do tego cholernego więzienia „Santa Monica” paczkę z białym proszkiem.

Spis rzeczy

Bezczelnie młoda Polka

Butelka rumu caney

 Księżniczka Yoruba

Mścicielka.....

Złota arka.....

Bezczelnie młoda Polka

Leciałem do Kolumbii, aby zakupić większą ilość kawy na zlecenie firmy „Bracia Marcinkowscy” i musiałem zostawić Kornelię jej własnemu losowi. Kiedy kupowałem bilet, w terminalu LOT-u znajdującym się w hotelu Marriott, zamiast twarzy Kornelii, pojawiła mi się w lustrze zalotna buzia Beaty. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Zabrakło mi kilku sekund, kiedy oderwałem się od kasy, Beata już zniknęła. Zużyłem całą moją energię, aby ją odnaleźć na lotnisku. Usiłowałem wkraść się w łaski rozmaitych funkcjonariuszy linii lotniczych, które mają swoje agencje i biura w Warszawie, aby się dowiedzieć kiedy i w jakim kierunku odlatuje z Polski. Nic z tego nie wyszło. Nazwiska pasażera przed odlotem nie sposób wydostać, a ponadto mogłem tylko opisywać jej wygląd, bo nie wiedziałem jak się nazywa. Przez kilka dni, które mi zostały do wyjazdu, byłem codziennie na Okęciu, nie zobaczyłem jej jednak przy odprawie żadnego samolotu. Zniknęła.

Odżyły we mnie wspomnienia. W jednej z szuflad biurka znalazłem jej fotografię, którą mi podarowała na pamiątkę naszego poznania w Medellinie. Wierzyłem wówczas, i wierzę do dzisiaj, że spotkam ją kiedyś i będzie to równie przypadkowe jak nasze poznanie w domu-muzeum Carlosa Gardela w Medellinie, w którym zginął w katastrofie lotniczej ten twórca argentyńskiego tanga. Muzeum Gardela urządza wieczory pamięci, podczas których rozbrzmiewają dźwięki jego tanga. Po występach zawodowych tancerzy kto chce może tańczyć do późnych godzin wieczornych. Tańczyłem z przypadkowymi tancerkami, kiedy jedna z dziewcząt, smukła i beczelnie młoda, zwróciła moją uwagę. Poprosiłem ją do tanga i zgodnie z moimi przypuszczeniami okazało się, że źle, ba fatalnie mówi po hiszpańsku. Nawet nie zastanawiając się, rzuciłem od niechcienia po polsku: „Świetnie pani tańczy”. Zaskoczyłem ją do tego stopnia, że przystanęła w tańcu. Medellin to nie Nowy Jork, ani Chicago, gdzie Polaków można spotkać na każdym rogu ulicy. — Jak pan poznał, że jestem Polką? — zapytała. Wówczas wskazałem jej wiśniowy pasek z warszawskiej „Cepelii”. Radość z poznania w Medellinie beczelnie młodej Polki była tak wielka, że nie potrafiłem jej ukryć. Dziewczyna tańczyła lekko jak ptak, unosiła się na koniuszkach palców, jak primabalerina, jej nadzwyczajne wyczucie taktu sprawiało, że taniec z nią był samą rozkoszą. Podniecał mnie zapach jej perfum, roznamiętniał

dotyk jej skóry. Tango Gardela nie połączyło nas jednak, utrzymywała dyskretny, ale nieustanny dystans. Dopiero po skończonym wieczorze przy wyjściu przedstawiła się, mówiąc zresztą tylko swoje imię Beata, i natychmiast dodała, że musi się pożegnać. Zapytałem, czy mogę ją odprowadzić do samochodu, lub taksówki, ale zdecydowanie zaprzeczyła. Pożegnałem się i zostawiłem ją pod muzeum. Uszedłem kilkaset metrów i wówczas obejrzałem się za siebie. W dalszym ciągu stała na jego schodkach. Wróciłem ponawiając propozycję. Nie chciała się zgodzić, abym jej towarzyszył. Nie chciała też ruszyć się z miejsca. Domyśliłem się wreszcie, że boi się zejść na ulicę. Udawała wprawdzie, że na kogoś czeka, ale wyglądało to na stwarzanie pozorów.

Zawołałem taksówkę. Wówczas zgodziła się pojechać, a nawet wskoczyła do niej. Zapytałem dokąd chce jechać. Wymieniła nazwę jakiejś kawiarni w śródmieściu. Poprosiła taksówkarza aby zatrzymał się przy samym krawężniku. Usiedliśmy w głębi sali, stoliki były niskie i niektóre ze sobą zestawione.

Równocześnie z kelnerem podszedł do nas jakiś Indianin i zapytał czy może się przysiąść. Beata skinęła głową. Usiadł obok niej i powiedział coś prędko i cicho. Nie zrozumiałem. Zniknął tak szybko jak się pojawił. Nie zauważyłem, aby coś jej przekazał. W chwilę później Beata mnie zapytała: „Zrobisz coś dla mnie?”. Spojrzałem na nią pytająco. Powtórzyła:
— Czy zrobisz coś dla mnie?

— Jeśli będę potrafił.

Wówczas dała mi swoją fotografię. Stała się zalotna, miła i bardzo przyjazna. Przysunęła się do mnie i położyła swoją dłoń na mojej ręce. Promieniowało od niej ciepło. Mimo to czułem, że była spięta. Coś ją powstrzymywało, aby wyznać swoją prośbę, ale musiała już brnąć dalej. Nie mogła się wycofać. Wreszcie wydusiła z siebie:

— Jeśli chcesz coś dla mnie zrobić, zawieź do „Santa Monica” przesyłkę. Oddasz ją strażnikowi w bramie.

— Co będzie w tej przesyłce?

— To cię nie powinno obchodzić.

— A co to jest „Santa Monica”?

— Zakład penitencjarny, w którym przez pomyłkę znajduje się mój mąż. Siedzi tam od kilku tygodni i jest głodny. Coraz bardziej głodny — zaakcentowała — i dłużej tego nie wytrzyma. Już dwa razy próbował wyskoczyć z okna. Muszę mu pomóc. — Odetchnęła z ulgą, że to z siebie wyrzuciła.

— Zrobisz to dla mnie?

Nie odpowiedziałem od razu. Wyobraziłem sobie całą trudność przedsięwzięcia. Ponadto mogło się ono okazać nieskuteczne.

— Nie

— Dlaczego?

— To bez sensu. Zwiną mnie natychmiast. To jest szaleństwo.

Nawet nie zdążę zrobić pięciu kroków. Wystarczy, że będzie tam inny strażnik, niż twój umówiony. Sama powiedz ile mi za to wlepią.

W dalszym ciągu patrzyła mi w oczy.

— Jeśli cię złapią na tym, dostaniesz co najmniej piątkę. Nie mówię, że to łatwe. Pytam, czy zrobisz to dla mnie?

— Dlaczego miałbym to zrobić? Zbyt wiele ryzykuję za nic.

— Wynagrodzę cię.

Patrzyła na mnie intensywnie. Pochyliła się do mnie i niemal konspiracyjnie wyszeptała:

— Dostaniesz to, czego najbardziej pragniesz pod jednym warunkiem, nigdy się więcej nie spotkamy.

Nikt mi jeszcze w życiu czegoś takiego nie zaproponował. Żadna z kobiet nie złożyła tego rodzaju oferty. Poczuję ciężar ryzyka, a równocześnie honor nie pozwolił odmówić, kiedy obiecano mi taką nagrodę.

— Co będzie w przesyłce?

Zawahała się, czułem, że nie ma najmniejszej ochoty wtajemniczać mnie w ten sekret, ale w końcu równie cicho wyszeptała:

— On cierpi głód. Czy wiesz co to jest głód narkotyczny? Jeśli nie, to spróbuj to sobie wyobrazić.

Wiedziałem o co chodzi, ale dopiero kiedy go usłyszałem pojąłem jej determinację.

Patrzyłem na jej beczelnie młodą buzię, długą łabędzią szyję, mocno zarysowane pod bluzką piersi. Wyobraziłem sobie jej pełne uda, które przed chwilą czułem podczas tańca. Jej ciało przyprawiało mnie o oszołomienie. Będę miał do niego prawo, będę mógł je osiąść, jeśli tylko zawiozę do tego

cholernego więzienia „Santa Monica” paczkę z białym proszkiem. Bez niego jej mąż zdycha z głodu w jakiejś śmierdzącej celi, wśród szczurów i karaluchów. Za jeden gram tego świństwa oddałby wszystko co posiada. A jej miłość do niego jest tak wielka, że gotowa jest mi ofiarować siebie, a zatem to co posiada najlepszego, aby tylko mu ulżyć w cierpieniu. .

— Zgadzasz się? Powiedz, czy tak?.

— Odpowiem ci za pół godziny. Gdzie się spotkamy?

— Wolę stąd nie wychodzić. Będę tutaj na ciebie czekać.

Wyszedłem na ulicę. Pod kawiarnią przechadzały się miejscowe piękności nocy. Ich twarze pokryte grubą warstwą różu mogły wydawać się wulgarne, ale ratowała je młodość. Niektóre były ładne, zgrabne, na wpół rozebrane wydawały się jeszcze bardziej ponętne. Za kilka dolarów można było mieć każdą z nich nie narażając się na kryminał w obcym kraju i dyskomfort psychiczny do końca życia.

Ulice były niebezpieczne, zacierały się na nich granice świata widzialnego i utajonego. Tym miastem wszechwładnie rządziła niewidoczna kokaina i eksponowane w witrynach sklepów zielone kamyki w złotej, czy srebrnej oprawie.auta przelatywały przez jezdnię, jak na sygnałach strażackich. Pod czerwonymi światłami kierowcy zatrzymywali silniej drzwi swoich wozów i zamykali okna. Przed moimi oczyma trwał nieustający narkotyczny ta-

niec tego miasta pogrążonego w gorączce pożądania. Błysk szmaragdów na wystawach sklepowych odbijał się w sztucznym świetle latarni ulicznych, jeszcze rozedrgane od upału dnia powietrze wirowało lepiąc się swoimi niewidocznymi cząsteczkami do wilgotnej skóry, przechodnie przebiegali w popłochu skrzyżowania ulic spiesząc do sobie wiadomych celów. Nie spieszyły się tylko nocne lilie w leniwym oczekiwaniu na klientów. Na wpół obnażone, pewne swych wdzięków, którymi ściągały na siebie wzrok przygodnych adoratorów. Już wiedziałem, że nie wolno przekraczać bariery pożądania, za którą kryje się śmierć. Mnie także czekała śmierć, jeśli zostanie popełniony jakiś błąd w sztuce przemycenia do „Santa Monica” kokainy. Na dodatek mógł zawieść kontakt, co już nie ode mnie zależało. Im wyraźniej uświadamiałem sobie niebezpieczeństwo, tym bardziej rosło moje podniecenie. Akurat przechodziłem pod szyldem: „Najlepszy masaż zapewni ci Veronica”. Czułem nierówny oddech tego miasta wstrząsanego konwulsjami spowodowanymi przez podziemny świat narkotyków, handel złotem i szmaragdami oraz płatną miłość uprawianą przez jego urodziwe córki w wytwornych domach schadzek, skrytych apartamentach na zapleczu salonów mody, a także w pospolitych burdelach, w zaułkach i bramach domów. Na parkingach i zboczach wzgórz pokrytych bujną roślinnością. Myślałem coraz bardziej intensywnie o magnetycznym powabie ciała Beaty, słodkim i nieco drażniącym zapachu kar-

minowej róży. Samotna Polka w tym opętanym mieście, które nie ma równego na świecie. Przemierzałem ulice śródmieścia, zatrzymując się pod jasno oświetlonymi witrynami sklepów ze szmaragdami, wchodziłem do luksusowych restauracji, w których podają homary i francuskie wina, nie przestając ani na chwilę o niej myśleć. Nie oddalałem się zbyt daleko od kawiarni o dumnej nazwie „Colombia”, tylko krążyłem wokół niej wśród plątaniny śródmiejskich, starych uliczek. Mój powrót do niej będzie oznaczał zgodę na podjęcie ryzyka. Odczuwałem gorączkę hazardzisty grającego o wysoką stawkę.

Beata siedziała przy tym samym stoliku, przy którym ją zostawiłem. W takiej samej pozycji. W jej filiżance znajdowała się taka sama ilość kawy, jak wówczas kiedy ją opuszczałem. Podeszedłem do niej i zobaczyłem jej jakby zmienioną, kredowobiałą twarz, być może pod wpływem świateł, które już po moim wyjściu zapalono. Podniosła się od stolika bez słowa, wsunęła dłoń do mojej ręki. Poprowadziła mnie do banku tuż obok kawiarni gdzie dokonała jakiejś błyskawicznej transakcji. Kiedy wyszliśmy, poprosiła abym ją wziął mocno pod ramię. Po drugiej stronie ulicy czekała taksówka, czerwony pontiac „fire bird”. Zanim dotknąłem klamki, kierowca otworzył już tylne drzwi.

Teraz wszystko rozegrało się błyskawicznie, w oszalamiającym tempie. Beata przyłgnęła do mnie, czułem jej nierówny i przyspieszony oddech. Czułem jej lęk, ale kiedy zlecała kierowcy dokąd ma

jechać, jej głos stał się opanowany, a nawet wydał się władczy. Rzuciła tylko krótkie, zdecydowane rozkazy. W którymś momencie kierowca pomylił drogę i skręcił w inną niż poleciła mu ulicę. Wzbudził w niej tym podejrzliwość.

— Zatrzymaj! — rzuciła krótko. Otworzyła drzwi i wyskoczyła na chodnik. Po chwili złapała inną taksówkę. Wspięliśmy się w niej na wzgórze. Pełno ich tutaj w Medellinie. Kiedy znaleźliśmy się na szczycie wzniesienia powiedziała:

— Przejeżdżamy przed rezydencją Pablo Escobara, szefa kartelu Medellin. Spójrz, brama ma złote klamki.

Widać je w świetle latarni.

— Przystanęmy na chwilę — zrobię zdjęcie, mam aparat z fleszem.

— To byłoby twoje ostatnie w życiu zdjęcie. Po chwili jesteśmy już na jakimś przedmieściu.

Ulice pustoszeją, kanały powodują nagłą ponurość pejzażu.

Wreszcie pojawia się Santa Monica, ulica biegnąca także wzdłuż kanału, długa i pusta. W jej szarości, ledwie oświetlonej gazowymi latarniami z końca ubiegłego wieku, majaczy budka strażnicza wkomponowana w więzienny pejzaż. Najważniejszy jest tutaj mur, długi, potężny, zwieńczony na grzbiecie drutem kolczastym i pokryty tłuczonym szkłem. Czy przez ten drut przepływa prąd elektryczny?

Beata poleciła zatrzymać taksówkę. To już tutaj, nadszedł dla mnie czas próby. Wcisnęła mi do ręki

rolkę papieru toaletowego z napisem „Hotel Tequendama”. Poszedłem przed siebie, za moimi plecami zgasły reflektory samochodu. Do celu brakuje około trzystu metrów. Ścisnąłem w rękę rzekomą rolkę papieru toaletowego w markowym papierze „Hotel Tequendama”. Zwolniłem kroku i szedłem powoli, wydawało mi się, że za mną jedzie taksówka z Beatą, ale nie wolno mi się było odwracać. Przede mną oświetlona budka strażnicza i wartownia więzienna. Teraz szedłem znacznie wolniej, za chwilę mogło się zdarzyć, że na długo pozostanę w tym ponurym okratowanym gmaszysku. Nawet nie mogłem się cieszyć myślą o nagrodzie, jaka mnie czekała, mimo że była ona jedyną motywacją mojego działania. Mocniejsza od lęku, od absurdu sytuacji, w jakiej się znalazłem. Jeśli zapłacę tę wysoką cenę, będzie niewspółmierna do nagrody, ale równa mojemu pożądaniu. Mojej namiętności, która pokonała rozsądek. Szedłem równym i jak mi się wydawało spokojnym krokiem, a jednak potknąłem się i upadłem na twarz. Wtedy chwyciło mnie w swoje władanie światło reflektora z wieży strażniczej. Podniosłem się natychmiast. Chyba wszystko stracone, zaraz wyskoczy zgraja psów i strażników, okrążą mnie i razem z rolką papieru toaletowego wprowadzą za bramę. To będzie koniec przygody. Zaczną mnie dołować. Światło reflektora zgasło. Nikt nie biegł w moją stronę, ani nie wypuszczał na mnie psów. Uznali

mnie za zwykłego, nieco pewnie spóźnionego przechodnia, który wraca do domu pod więziennym murem „Santa Monica”, co nie jest przez nikogo zakazane.

Przed wartownią stał strażnik, a za nim w jej oświetlonym wnętrzu dwóch innych. Nie widziałem twarzy. Czuję przez skórę, że za chwilę zawoła: „stać” i wyceluje we mnie broń. Dlatego zatrzymałem się i czekałem. Nie mógł mi przecież rozkazać, abym się do niego zbliżył. Byłem wolny, jeszcze byłem wolnym człowiekiem. Może są to moje ostatnie chwile wolności. Strażnik widocznie wahał się co zrobić. Ja nie ruszałem się z miejsca. Wreszcie podszedł i stanął przede mną w odległości dwóch kroków. Wówczas powiedziałem: „Ostrożnie z zapalkami”. Powoli zrobiłem krok do przodu, jakbym mu chciał towarzyszyć w powrocie na wartownię. Strażnik zrobił zwrot i szliśmy obok siebie. Podałem mu nieznacznym a szybkim ruchem rolkę papieru toaletowego. Wyciągnął rękę i wziął ją ode mnie. Przyspieszyłem kroku i odszedłem. Odniosłem wrażenie, że w każdej chwili mogę usłyszeć jego głos: „stać!”, albo „stać bo strzelam”. Co też przyszło mi do głowy! Przecież wiedział po co wyciąga rękę. To oczywiste, a jednak wydawało mi się, że w każdej chwili mógł paść strzał ostrzegawczy, ciemność rozedrzyć świetlista smuga. Wtedy zerwę się do ucieczki i nic mnie nie powstrzyma. Nie dopadną mnie, nie złapią. Najwyżej padnę na chodnik i zbrukam koszulę w kałuży krwi. Szedłem coraz prędzej, wreszcie zacząłem biec.

I biegłem jakbym przed kimś uciekał. Dopiero kiedy minąłem ten ponury mur z tłuczonym szkłem na grzbiecie i drutem kolczastym, i mogłem skrócić w boczną uliczkę, biegnącą wzdłuż prostopadłej do poprzedniej ściany więziennego czworoboku przystanąłem. Oparłem się o mur. Siadłem na krawężniku chodnika. Ani razu się nie odwróciłem i nie wiedziałem, czy Beata jedzie za mną. Teraz, kiedy wiem, że nikt mnie nie gonił i niebezpieczeństwo minęło, mogłem już oczekiwać nagrody. Nie chciałem jednak wracać, bo wystarczyłoby, aby mnie ktoś zobaczył z wartowni, a najpewniej z budki strażniczej, aby się mną zainteresowano.

Z przeciwległej strony pojawiają się światła samochodu. Czyżby Beata objechała więzienie z drugiej strony? Samochód zatrzymał się przede mną.

— Czy coś się stało?

_ Nie mogłam przecież jechać za tobą. Ponadto musiałam się upewnić, że przesyłka dotrze do rąk adresata.

— Jak to zrobiłaś? Pokazuje mi gestem rąk.

— Dlaczego mnie nie dałaś tych pieniędzy? Mogłem je wręczyć strażnikowi razem z rolką.

— Mógłbyś ich nie oddać ani jemu, ani mnie.

— Nie miałaś do mnie zaufania?

— I teraz też nie mam.

Otwiera drzwi samochodu i kiedy siadam przy niej obejmuje mnie i całuje w usta.

— Właściwie dlaczego miałabym ci ufać?

— Spełniłem twoją prośbę.

— Z nadzieją na nagrodę, Guru. Interesownie, Guru.

Beata wiedziała już ode mnie, że w Polsce niektóre z moich przyjaciółek nazywały mnie Guru i to od wczesnej młodości. Jechaliśmy przez śródmieście zatrzymując się tylko pod światłami. W pewnej chwili mnie zapytała:

— Bałeś się, że nie przyjadę po ciebie?

— Tak myślałem. Chciałaś uciec?

— Nigdy więcej byś mnie nie spotkał w życiu.

— To dlaczego przyjechałaś?

— Dla kaprysu.

Stanęliśmy w nie znanej mi dzielnicy, na jednej z tych ulic, które oznaczone są, podobnie jak kwadraty na szachownicy, literami i cyframi. Willa nieco cofnięta w głąb ogrodu. Beata zapłaciła taksówkarzowi, otworzyła kluczem drzwi znajdujące się w ogrodzeniu. Weszliśmy przez garaż do środka. Dłuższą chwilę staliśmy w ciemności. Kiedy dotknęła kontaktu pokój rozbłysnął tysiącem światła. To biżuteria i kryształy znajdujące się na małym stoliczku odbijały się w lustrach rozmieszczonych w różnych miejscach salonu. Zapytała czy chcę się napić wina, albo whisky. Wskazała ręką fotel i zaprosiła, abym usiadł.

— Chcesz pewnie otrzymać swoją nagrodę Guru, prawda? — zapytała słodko.

Stanęła przede mną i rozpięła bluzkę, zdjęła ją i rzuciła na krzesło.

— Rozepnij...

Wskazała na biustonosz. Podniosłem się i zanim dotknąłem stanika chciałem ją pocałować w usta. Wtedy na moim policzku wylądowała jej ręka. Uderzyła mnie tak mocno, aż się zachwiałem. Odskoczyła ode mnie. Krzyknęła.

— Tylko to ci się należy. Przyszedłeś, aby wykorzystać sytuację, ale się pomyliłeś. Możesz sobie myśleć co chcesz. Nic mnie to nie obchodzi. Nie odczuwam wobec ciebie żadnej wdzięczności. Stała naprzeciw mnie z płonącymi oczyma. Na jej ręku błyszczała ciężka, złota bransoleta. Na szyi również złoty łańcuch wysadzany brylantami. Jej piersi falowały prężąc się z emocji. W oczach błyszczał gniew i podniecenie. Wzięła ze stołu szklanę whisky i wypła jednym haustem.

— Czego jeszcze ode mnie chcesz? Możesz jeszcze raz dostać za twoją bezczelność i próżność.

Zbliżyła się na pół kroku, ale się nie cofnąłem. Uderzyła mnie w ten sam policzek tą samą prawą ręką.

— To za twoją bezczelność.

I znowu się zamierzyła. Wytrzymałem nie ruszając się z miejsca.

Nie zasłaniając się, ani w najmniejszym stopniu reagując.

Zupełnie jak święty Franciszek, co najmniej.

— Teraz za twoją próżność!

Rąbnęła mnie tak silnie, że aż sama zachwiała się i padła na mnie.

Wtedy mnie objęła i zaczęła całować w palący policzek.

Piersiami pieściła mój tors.

— Weź je... — poprosiła. Ręka sięgnęła niżej

i zastygła w pół ruchu. W niedotknięciu. Znieruchomiała, odsunęła się ode mnie. Podniosła ze stołu szklanę z whisky. Chyba moją. Wypiła. Zapaliła papierosa i patrząc mi w oczy powiedziała:

— Postawiłam ci warunek, że jeśli ci się oddam, nigdy więcej się nie zobaczymy. Wybieraj!

Nalała znowu whisky do swojej szklanki.

— Przywiozłam cię tutaj, aby spełnić obietnicę. Ale nie mogę. Nie mogę. On przeze mnie cierpi, to ja go tam wpakowałam. Dlatego nie wolno mi z tobą tego zrobić. Musisz mnie zrozumieć. Musisz mi również uwierzyć. Mogę się tylko rozebrać dla ciebie, ale mój warunek obowiązuje. Już ci wszystko powiedziałam. Teraz to od ciebie zależy.

Stałem naprzeciw niej opętany pożądaniem.

— Pragnę cię.

Jednym ruchem rozpięła błyskawiczny zamek spódnicy, która opadła na podłogę.

— Możesz mnie całować i pieścić, tylko nie wolno ci tego ze mną zrobić. Jemu przysięgałam, nie tobie. I ta przysięga mnie obowiązuje.

Nalała sobie whisky. Zdjęła figi i w swojej smukłej beczelnie młodzieńczej nagości, w nagłym przypływie namiętności, zerwała ze mnie ubranie. Uklękła przede mną na dywanie.

— Mogę ci to zrobić — wyszeptała i wzięła do ust penisa, klęcząc na dywanie z głową pomiędzy moimi udami. Odchyliłem się do tyłu i również ukląknęłam, opierając się na rękach położyłem się miękkim ruchem za wznak. Jej usta i język wyczyniały cuda. Sprawiała mi rozkosz, której jeszcze

nigdy nie zaznałem. Była najczulszą kochanką, jaką miałem w życiu. Jej usta przyjmowały coraz to nowe porcje spermy.

Połykała ją z wdzięcznością.

Ssała mnie z zapamiętaniem i szaleństwem. Czasem go tylko wypuszczała, aby sięgnąć po whisky. Wypuściła go dopiero, kiedy świt rozjaśnił pokój. Podniosła na mnie oczy, jeszcze raz się pochyliła i pocałowała go w umęczony koniuszek. I jeszcze się nad nim pochyliła, i jeszcze całowała go i całowała, i całowała, jakby go chciała zacałować na śmierć, albo zapamiętać na całe życie.

Podniosła się i powiedziała:

— A teraz idź!

W tej samej chwili zniknęła zamykając się, w którymś z pomieszczeń. Wyszedłem na zupełnie pustą ulicę, na której nie było ani żywego ducha, ale świt już wstawał i ptaki darły się niemożliwie w kępie bambusów.

Po kilku latach zobaczyłem Beatę na warszawskim terminalu. Mignęła mi jej beczelnie młodziutka buzia w lustrzanym odbiciu. Nieprawdopodobny przypadek, a może tylko złudzenie.

Butelka rumu caney

W mroku sali projekcyjnej patrzyłem na film, na którym oswajano zebu. Jacyś mężczyźni obcinali im rogi wielkimi stalowymi nożycami, potem dosiadali ich i gnali po wygonie. Rozszalałe zebu zrzucały jeźdźców, tratowały ich, podbiegali inni, podnosili *caballeros* i cucili, bijąc po twarzy marynarkami i otwartymi dłońmi, aż niefortunny jeździec zaczynał oddychać. Kilka razy odwracałem głowę w prawo nie mogąc uwolnić się od wzroku Mulatki siedzącej w rzędzie powyżej, tuż za mną. Nie mogłem też zrozumieć, jak to się dzieje, że kiedy tylko odwrócę głowę w prawo czy do tyłu, za każdym razem spotykam jej wzrok.

Na ekranie dzielni *caballeros* z rancho Santa Clara bez przerwy poskramiali zebu, osaczając je na koniach, zarzucali im sznury na grzbiety i przewracali na ubitą ziemię. Jeden z nich zeskakiwał i stawał na gardle leżącemu zwierzęciu, co oznaczało ostateczne zwycięstwo człowieka.

Nieodmiennie odwracałem głowę i napotykałem wzrok Mulatki. Na ekranie zawzięci *caballeros* ujarzmiali teraz cieleta zebu, co przychodziło im

znacznie łatwiej przy szalonym dopingu wiejskich fanów, którzy otoczyli zwartym kręgiem arenę, chronieni przed atakiem zwierząt wysokim, drewnianym płotem. Odwróciłem się, aby przysunąć stojącą za mną popielniczkę i natrafiłem na szczupłe palce Mulatki w krótkim i zaskakującym dotknięciu, które mnie zelektryzowało.

Kiedy spotkałem Mulatkę w dolinie rzeki Almendares, właściwie już coś o niej wiedziałem, przynajmniej tyle, że jej dziewczęca twarzyczka zaledwie stwarza pozór niedojrzałości. Schodziliśmy w dół szeroką aleją wśród bananowców i wielkich kroczących drzew, których hiszpańskiej nazwy nie zapamiętałem.

Zaproponowałem, aby zaczekała, a ja pójdę kupić bilety na stateczek, który wozi turystów w dół rzeki Almendares i z powrotem. Usiadła na ławce i oparła się w taki sposób, że kiedy się obejrzałem, sprawiała wrażenie zmęczonego ptaka.

Domyślałem się, że tak prawie nie oddychając w zupełnym bezruchu będzie czekać na mój powrót. Czułem z tego powodu wewnętrzną radość przeczuwając, że mogę odejść na kilometr nawet, a ona będzie czekać, skoro mnie o tym zapewniła.

Z daleka wyglądała jak kolorowy kwiat na tle zieleni. Nie pomyliłem się, kiedy wróciłem siedziała w tym samym miejscu, w którym ją zostawiłem przed godziną. Podniosła się jednak natychmiast i powiedziała niecierpliwie:

— Muszę zadzwonić.

Już to słyszałem w ciągu dnia i podczas poprzednich spotkań.

Patrzyłem na brzegi ospałej i mulistej Almendares. Nie przypominała żadnej rzeki w Europie. Nie znałem jej życia, jak nie znałem życia Mulatki, a to, co usłyszałem, było zaledwie okruchem czegoś, co zwierzyła mi w przystępie wylewnej szczerości. Dała zresztą jej próbkę wyjmując z torebki swoje dokumenty: legitymację szkolną i zaświadczenie głoszące, że uczęszcza na studium języka francuskiego przy ulicy Lamparilla i Rey Teniente.

Mijaliśmy kolonie maleńkich stateczków — lanchas, przycumowanych u brzegu, o nazwach kwiatów, imion żeńskich i bohaterów rewolucji, wśród których znalazłem głośnie imię Abła Santamarii, brata nieśmiertelnej Heydee Santamarii, nawiedzonej rewolucjonistki, która kilka lat później strzeliła sobie w skroń z imieniem Fidela na ustach.

W motorówce Silvia powtórzyła kilkakrotnie, że musi zadzwonić. Kiedy wysiedliśmy powiedziała raz jeszcze „muszę zadzwonić” i szła przede mną nadmiernie wyprostowana, jak to ciągle się jej zdarzało, kiedy spieszyła się nieprzytomnie do telefonu.

W barze nad rzeką można było dostać sok pomarańczowy, lody, cocktaile i cygara. Mulatka podeszła do wiszącego aparatu telefonicznego i wtedy zatrzymałem jej rękę.

— Nie chcę, abyś dzwoniła.

— Zabraniasz mi?

— Jesteś teraz ze mną.

— Przecież muszę... Opuściła zrezygnowana rękę.

— Nie pozwalasz?

— Dopóki jesteś ze mną.

— Dobrze. Zaraz przyjdzie tu José Antonio ze swoją narzeczoną. José Antonio był wysokim, osiemnastoletnim Murzynem, który odznaczał się intuicyjną inteligencją i ucieszyłem się na myśl o spotkaniu z nim tutaj, w tym barze. Układałem nawet w myślach rozmowę, która mogłaby stać się przedłużeniem naszej ostatniej nocnej dyskusji. Myśląc o José Antonio, zdałem sobie sprawę, że ten czarnuch był jednym z najinteligentniejszych ludzi, jakich spotkałem w tym mieście. Niestety sporo się spóźnił i bar już zamknęli. Przyszedł jednak, jak zapowiedziała Silvia, ze swoją dziewczyną. Co za niepojęty zwyczaj, nazywać świeżo poznaną panienkę natychmiast narzeczoną, a tak właśnie mi ją przedstawił.

Cóż można robić o tej porze w dolinie rzeki Almendares?

Silvia zaproponowała, aby pojechać do stylowego baru „Polinesio” w Habana Libre, do niedawna Habana Hilton. Proszę sobie wyobrazić bar, do którego nie tak dawno chodzili tylko milionerzy. José Antonio upierał się przy „Floridicie” w starej Hawanie, w której lubił niegdyś przesiadywać Hemingway. Legenda rozbudzała wyobraźnię. Przychyliłem się do propozycji czarnucha.

Drzwi baru „Floridita” były zamknięte, portier wpuszczał tylko po cztery osoby i trzeba było czekać, aż tam w środku opróżni się kolejny stolik. A ludzie nie lubią wychodzić z baru, to jasne.

Dookoła niego krążyli spragnieni, rosyjscy marynarze, których z każdą chwilą przybywało, i też czekali na wolne miejsca. Ich oczy błędziły po ciele Silvii i zatrzymywały się na jej udach. Spojrzałem na nich i zobaczyłem, że wszyscy wbijają tępo wzrok w jedno miejsce.

Wiatr wiał od zatoki i niósł intensywny zapach ryb, który z lubością wdychałem. Upłynęła godzina, a może i więcej, zanim dostaliśmy się do ciemnej niszy z biało nakrytymi stołami. W głębi, widoczne dla wszystkich, stało niewielkie popiersie Hemingwaya. Ściany były zapaskudzone nazwiskami komunistycznych dygnitarzy, którzy raczyli tutaj przybyć i się podpisać.

Znaleźliśmy miejsce przy niskim, nakrytym obrusem stole i José Antonio, murzyński dzieciuch, zaczął mówić o literaturze. Siedziałem z Mulatką na drewnianej ławce pod oknem, a tamtych dwoje naprzeciwko. W którejś chwili czarnuch objął dziewczynę i włożył rękę pomiędzy jej uda. Natychmiast podszedł kelner i zwrócił mu uwagę, że porządek rewolucyjny zabrania obejmować kobietę w publicznym miejscu. W ten sposób tylko jedna ręka José Antonio rozkoszowała się gorącym ciałem partnerki, która siedziała nieruchoma i milcząca, jak kamienny posąg. Była najmłodsza z nas, nie miała jeszcze piętnastu lat i poczuła się zawstydzona bezpardonowym pytaniem Silvii: „Czy już żyjesz z José Antonio jak żona z mężem?”. Skinęła głową w odpowiedzi, ale natychmiast się usprawiedliwiła: „Jeszcze przed tygodniem byłam dziewczicą. Jose

Antonio wprowadził mnie w życie dopiero we wtorek po południu, w hotelu San John's na siódmym piętrze". Wtedy Silvia zwróciła się do José Antonio:

— Nie rozumiem, dlaczego skłamałeś, kiedy cię o to zapytałam?

— Nie skłamałem — odpowiedział. — Tylko wtedy jeszcze nie byliśmy w San John's i jeszcze jej nie rznąłem. Zapytałaś mnie o to we wtorek rano.

Mulatka zwróciła się do mnie jak do arbitra:

— Jeśli ja kogoś Kocham, to chcę być z nim stale, bez przerwy, w dzień i w nocy. Prawda? Mogę z nim mieszkać w mieście, czy na wsi, iść walczyć do partyzantki, spać w jednym łóżku i na plaży, w rowie i buszu, na dachu i w samochodzie, wszystko jedno gdzie i wszystko jedno kiedy, jeśli tylko go pragnę i jeśli on mnie Kocha, mogę mu się oddać w każdej chwili i w każdej pozycji, jakiej tylko zapagniemy.

— Nie wierzę, aby można było być z kimś jednym na stałe.

Ważna jest chwila, kiedy się kogoś pragnie ze wszystkich sił, później uczucie wygasa

I trzeba mieć dużo cierpliwości, aby wytrwać. Teraz jesteśmy wszyscy razem, ale za chwilę rozejdziemy się i każde z nas pójdzie w swoją stronę.

— No to rozejdźmy się natychmiast — wykrztusiła Mulatka ze złością. — Każde z nas pójdzie w swoim kierunku, ty jedziesz do Miramaru a ja do Vibory razem z José Antonio i jego narzeczoną — powiedziała głosem nabrzmiałym irytacją.

Zanim zapłaciliśmy Mulatka podeszła do aparatu-

tu telefonicznego stojącego na stoliku przy bufecie i kilkakrotnie wykręciła jakiś numer.

— Dlaczego ona ciągle dokądś dzwoni?

— Nie chce zgodzić się na odejście Alberto — odrzekł José Antonio. — Chce go koniecznie zatrzymać dla siebie.

— Kto to jest Alberto?

— Jej narzeczony.

I teraz José Antonio, korzystając z tego, że Mulatka jest zajęta telefonem usiłował wyrazić swój pogląd na sprawy miłości, mówił prędko, z charakterystycznym dla czarnuchów połykaniem końcówek wyrazów:

— Kubanki są namiętne, każda z nich jest gwałtowna, nie można z nimi postępować jak z Europejkami, muszą być kochane aż do zupełnego opętania, całkowitego zagubienia się w miłości, zatracenia i szaleństwa. Chcą spółkować dwanaście razy na dzień, nie mówiąc o nocy naturalnie.

— Ona chce go zatrzymać, czy próbuje odzyskać?

— Nie wiem, nigdy nie zwierza się ze swoich spraw, słyszałem tylko, że ma z nim problemy.

Mulatka odłożyła słuchawkę i prędko przeszła przez salę do wyjścia. José Antonio z narzeczoną pospieszyli za nią. Mnie zatrzymał ruski oficer, zagroził mi drogę i usilnie zapraszał na statek. Przez dłuższą chwilę zapewniałem go, że na pewno przyjdę, ale on dobrze podchmielony nalegał, żebym to zrobił natychmiast i razem z dziewczętami. Z trudem udało mi się od niego uwolnić.

Wieczorne Prado było spokojne, rozglądałem się i nie mogłem ich dostrzec, przypuszczalnie zniknęli w którejś z bocznych uliczek. Zauważyłem wreszcie, jak wchodzili w ulicę Neptuna, zatrzymując się na przystanku autobusu 27, który akurat nadjeżdżał. Poderwałem się do skoku, żeby ich dogonić, zanim autobus odjedzie. Ruch uliczny wzmógł się jednak i przelatujące leylandy zagroziły mi drogę. Mogłem być pewien, że więcej się nie spotkamy tego dnia.

Nazajutrz rano usłyszałem dzwonek telefonu. Tak wcześnie, że nikt ze znajomych, ani z uniwersytetu, jeszcze nie mógł dzwonić. Gdzieś z przepastnej głębi miasta dochodził jej niski, trochę zachrypnięty głos. Narzekała, że nie może zrobić kawy, bo spadło ciśnienie i brakuje wody. Potem powiedziała, że chce mnie koniecznie zobaczyć, najprędzej jak tylko się da.

Spotkaliśmy się na plaży w klubie „El Nautico”, kiedy morze było spokojne i piasek jeszcze nie nadto gorący. Przez cały czas byłem zachłannie ciekawy jej ciała, wyszedłem pierwszy z szatni i czekałem dłuższą chwilę w słońcu, niecierpliwiąc się, że Silvia tak długo się przebiera.

Stała przede mną w żółtym kostiumie. To nie ona, to jej ciało pytało, czy mi się podoba. Jej drobne, ale sterczące piersi. Jej mięsiste wargi, szczupłe uda, jej wąskie biodra.

Wydała mi się nagle szczuplejsza, a może nawet chuda w swojej dziewczęcej smukłości. Wyszliśmy na plażę, ale wąski pas piasku, który tutaj oddzielał

morze od lasu, nie dawał żadnego schronienia przed wścibskim wzrokiem plażowiczów, a policyjne patrole krążyły w amerykańskich dżipach bez przerwy. Położyliśmy się w dość głębokiej wyrwie na miękkim i jasnym piasku. Nachyliłem się nad Silvia, aby ją pocałować i przez chwilę przyglądałem się jej wargom, grubym i wilgotnym, jakie mają tylko Murzynki lub Mulatki.

Jej ciało było zamknięte w pancerzu elastycznego kostiumu. Zsunąłem ramiączka aby zobaczyć sutki piersi, ciemniejsze od skóry. Podniosła się gwałtownie i zaprotestowała: — No me toques! Nie dotykaj mnie!

Zawstydziłem się mojej śmiałości. Odsunąłem się i położyłem na plecach przylegając ciałem do gorącego piasku. Nad nami była jaskrawość słońca i pożółkłe palmy, wygięte od poddmuchu wiatru, choć teraz spokojne, z ciężkimi już kokosami w zwieńczeniu swoich czubów. Pragnąłem pocałować Silvię tutaj, na plaży, aby świadkami naszego pocałunku było morze i las świerkowy, a także piasek, na którym leżeliśmy i słońce nad nami. Silvia leżała na plecach z twarzą zwróconą ku słońcu i mocno zaciśniętymi powiekami. Jej włosy

o barwie miedzi wtapiały się w piasek harmonizując z zimową żółcią palm kokosowych.

Obróciłem się ku niej i patrzyłem na jej skórę. Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Magnes jej ciała był tak silny, że znowu dotknąłem ręką jej piersi.

I natychmiast powiedziałem: „Myślałem o Tobie całą noc. Zasnąłem dopiero nad ranem i zbudził mnie dźwięk twojego telefonu.”

Silvia podniosła się lekko i położyła rękę na mojej. „Śniłam o tobie, zresztą nie pierwszy raz. Byliśmy na wieście i tobie spodobała się inna dziewczyna, rozmawiałeś tylko z nią i zapomniałeś

O moim istnieniu. Wtedy poszłam nad morze, aby rozpuścić włosy, bo chciałam ładniej wyglądać. Moje włosy były jednak obcięte. Rozpłakałam się

i bałam się, że mnie wyśmiejesz, kiedy zobaczysz ślady łez.”

Ująłem delikatnie jej rękę o jaśniejszej skórze na dłoni i pocałowałem.

— Jesteś piękną Mulatką.

— Nieprawda jestem Metyską.

— Wolisz być Metyską?

— Mój dziadek był Chińczykiem, a babka Cane-ya z Camaguey.

Przypatrz się dobrze moim oczom.

— Jesteś jak z Gauguina.

— Oczy mam skośne, nie powiedziałeś mi o tym przez delikatność, ale sama to wiem.

— Nie przeszkadzają mi twoje skośne oczy. Są egzotyczne i zamglone.

— Egzotyczne! Ty też jesteś dla mnie egzotyczny. Powiedz, czy zabrał byś mnie do swojego kraju? U was, w Europie, moje oczy zwracałyby uwagę.

— Nie tylko oczy, ty cała.

Wziąłem jeszcze raz jej rękę do swojej i odwróciłem dłonią do góry, aby pocałować to jasne zagłębienie. Stuliła dłoń, otaczając nią moje usta.

— Naucz się polskiego, będzie ci łatwiej stąd wyjechać.

— To niemożliwe, żeby wyjechać, musiałabym być w awangardzie rewolucji.

— Co to znaczy?

Silvia podniosła się na rękach i usiadła na piasku.

— Musiałabym być najlepsza we wszystkim, w pracy i na ćwiczeniach wojskowych. Ale nie dam rady, u nas jest bardzo dużo rewolucjonistów lepszych ode mnie. Uczę się francuskiego i pracuję w przedsiębiorstwie owocowym. Mogłabym jeszcze pracować w cedeerach.

— Co to jest?

— Komitet obrony rewolucji.

— Aha.

— I uczyć się drugiego języka, chociażby rosyjskiego.

— To ucz się rosyjskiego.

— Myślisz, że mi się przyda?

— W każdym razie to ważny język.

— Sądzisz, że Rosjanie będą ważniejsi od Amerykanów? To niemożliwe, chociaż bez nich nasza rewolucja nie mogłaby istnieć nawet przez dwadzieścia cztery godziny. Tak powiedział Fidel. — Przymknęła oczy. — Marzę o podróżowaniu. O legalnych podróżach, bez awanturnictwa i ucieczki. Gdybyś na przykład ty mnie do siebie zaprosił...

— Kto to jest Alberto?

— Nie chcę go znać.

— No dobrze, ale kto to jest Alberto?

— Mój narzeczony, który mnie zdradził.

— A ty go nie zdradziłaś?

— Nie o to chodzi. On chce stąd uciec. Już drugi

raz mnie oszukał. Nie mówmy o nim więcej. Jeśli będzie uciekał, strażnicy go zabiją. Cały brzeg jest obstawiony, to łatwo sprawdzić. Wszędzie są patrole, na lądzie i na morzu. On jest zupełnie szalony.

— Nie zawiadomiłaś o tym Komitetu Obrony Rewolucji?

— Dlaczego pytasz?

Silvia podsunęła się bliżej mnie i odczułem coś jak wyrzut w jej oczach, które jeszcze bardziej zwięzła w słońcu, stały się wąziutkie jak szparki.

— Wydałaś go policji, bo cię zdradził?

— Zasłużył sobie na to.

— W ten sposób zostanie na Kubie i będzie znowu twój.

— Mój już nigdy nie będzie. Zabije mnie. Mówię ci, nie pytaj więcej. To są sprawy pomiędzy mną i Alberto, ty jesteś obcy. Spojrzała w słońce, które coraz prędzej biegło, i powiedziała:

— Chodźmy do wody, już się nagrzała. Tylko nie próbuj mi ściągać kostiumu w wodzie, bo cię utopię.

Biegła przede mną, nie obawiała się wejść od razu do wody, bez zatrzymania i bez opryskania wpierw ciała dla próby, aby obłaskawić chłód. Fala uderzyła w nią. Silvia przewróciła się.

Pobiegłem aby ją podnieść. Zatrzymała moją rękę, leżąc w płytkiej wodzie, ale fala była duża i co chwila zalewała ją całą.

„Tylko nie ściągnij mi kostiumu w wodzie” — zapamiętałem te słowa, bo kazały mi myśleć, że już ktoś inny to zrobił. Myśl kłuła mnie uporczywie, dotknąłem jej piersi przy uderzeniu fali, niby mimo

woli, a przecież umyślnie, ale cofnąłem zaraz rękę. Mulatka śmiała się podstawiając twarz pod ciągle nowe fale burzy wodnej. Wziąłem ją na ręce i niosłem w głąb morza. Trzymała się kurczowo moich ramion i szyi, krzyczała na przemian z lęku i radości. Wreszcie postawiłem ją na płyciźnie i sam odpłynąłem odwracając się i śledząc, czy mnie obserwuje. Kiedy wyszedłem na brzeg, zbierała już swoje rzeczy, maleńki koszyk i sandały. Kiedy się zbliżyłem zaczęła uciekać, goniłem ją wzdłuż łąchy piaskowej, aby móc pocałować nabrzmiałe od biegu i emocji usta. Zatrzymała się dopiero na dzikiej plaży, objęła palmę kokosową i poprosiła, żebym ją tak sfotografował.

— Jestem zazdrosny o palmę, mnie tak nie obejmujesz.

— Palma jest bezpieczna — odrzekła. — Ja ciągle pamiętam, że jesteś cudzoziemcem i wyjeżdżasz stąd piętnastego marca.

— Zostanę dla ciebie.

— Wiem, że nie zostaniesz.

— Jeśli bardzo zechcesz — upierałem się, wiedząc, że to niemożliwe. — Ile milimetrów mnie kochasz?

Chciałem powrócić do gry z pierwszych dni naszej znajomości, kiedy Silvia mówiła mi ile milimetrów mnie pragnie. I każdego dnia postępowaliśmy o jeden lub dwa milimetry. Teraz, nic od powiedziała i wyczułem, że przestała ją interesować ta zabawa. Niecierpliwie grzebała w koszyku, szu-

kając czegoś bez skutku, i okazało się, że potrzebuje pięciu centów na telefon. Dałem jej monetę i natychmiast pobiegła do najbliższego aparatu. Szedłem powoli w kierunku wyjścia. Przystanąłem i zapaliłem cygaro, żeby zyskać na czasie. Cygara nauczyłem się palić tutaj, w Hawanie. Miałem ich pod dostatkiem, bo ciągle ktoś mnie nimi obdarowywał. Kiedy zbliżyłem się do Silvii, stała przy aparacie i swoim zwyczajem wspinała się na palce. Odwrócona do mnie plecami, mówiła coś niecierpliwie i gwałtownie. Usłyszałem tylko urywane strzępy zdań. Musiała poczuć mój wzrok na sobie, bo odwróciła się i poprosiła skinieniem głowy, abym poczekał. Nadal mówiła gorączkowo, bez przerwy unosząc się na palcach, jakby tańczyła. Wreszcie odwiesiła słuchawkę i wróciła do mnie. Natychmiast zapytałem:

— Chcesz uratować Alberto?

— Chcę mu uświadomić, że jego realne szanse na powodzenie ucieczki są jak 1:100, ale żadne argumenty nie skutkują.

— Dlaczego on chce uciec?

— Bo mnie zdradził, już ci powiedziałam — urwała nagle i dodała spokojniej: — U nas nie sposób żyć. Myślę, że jest po prostu za słaby, aby to wszystko wytrzymać, a w Stanach ma ojca i całą rodzinę.

Staliśmy przez chwilę przy wyjściu, Silvia przestała mówić i coś rozważała uporczywie w myślach.

— Silvia — powiedziałem. — Silvia — powtórzyłem, ale ciągle mnie nie słyszała. Kiedy podniosła wreszcie oczy, zaproponowałem:

— Przyjdź jutro do mnie do hotelu, zjemy razem śniadanie, a potem pójdziemy dokąd zechcesz. — Przepraszam!

Nie oglądając się, pobiegła do ruszającego leylan-da.

W niedzielę czekałem na nią od samego rana. Wśród rozłożonych na chodniku pod hotelem gazet udało mi się znaleźć pożółkły numer „Life'u” w wersji hiszpańskiej, z nowelą Hemingwaya „Stary człowiek i morze”. Przez godzinę czytałem zdanie po zdaniu, przypominając sobie dokładnie znane krajobrazy. Później wróciłem do hotelu i kilka razy zjeżdżałem na dół z mojego jedenastego piętra z nadzieją, że wreszcie zobaczę Silwię w lustrzanym hallu. Stawałem naprzeciw obrotowych drzwi, wchodzili przez nie najrozmaitsi ludzie, ale Silvii wśród nich nie było. Szukałem jej na basenie kąpielowym, gdzie rosły wysokie meksykańskie kaktusy z powycinanymi na zielonych łodygach imionami zakochanych. Może byli tutaj szczęśliwi, albo wyrzeźbili je z tęsknoty.

Mulatka ciągle nie nadchodziła. Zrobiło się późno i dalsze czekanie traciło sens. Do Lustrzanego Salonu wszedł jakiś ważny partyzant, który walczył wspólnie z Che Guevarrą w Boliwii, więc zrobiło się nagle wielkie poruszenie. Tacy partyzanci byli tutaj przyjmowani na specjalnych prawach. Traktowano ich jak herosów i wyróżniano hałaśliwą sympatią. Około trzeciej po południu zaczęły pojawiać się pary młodożeńców, którzy robili sobie w hallu pamiątkowe zdjęcia, a następnie wjeżdżali na górę, aby spędzić tam swój miodowy tydzień.

Wyszedłem przejść się wąskimi uliczkami starej Hawany, próbując mimo woli sprawdzić, czy rzeczywiście wszystkie prywatne bary zostały — jak nakazał Fidel — zamknięte, i gdzie jeszcze można dostać szklaneczkę rumu. To, co zobaczyłem, przeszło moje wyobrażenie. Większość barów była zamknięta, a w tych jeszcze otwartych kieliszki stały stopkami do góry i otwarte butelki odwrócono szyjkami do dołu, już puste demonstrowały ponurą zgodę barmanów na zamknięcie biznesu, lub raczej ich cichy i zacięty bunt.

Kiedy wróciłem po kilku godzinach, zobaczyłem Mulatkę siedzącą na ławce pod hotelem. Rozglądała się niepewnie, bardzo zdenerwowana.

— Nie wolno mi tutaj siedzieć — podniosła się na mój widok. — Dziewczętom zabroniono czekać w hallach hotelowych na cudzoziemców, dlatego się niecierpliwiłam. Długo nie wracałeś. Ponieważ nadal nie rozumiałem o co chodzi, jeszcze raz wyjaśniła:

— Nie było ciebie w hotelu, a mnie samej nie wolno tutaj siedzieć, bo to jest hotel dla cudzoziemców. W każdej chwili tajna policja mogła mnie wylegitymować i miałabym przykrości, wysłaliby mnie za karę do obozu pracy.

— Mogłaś powiedzieć, że czekasz na mnie.

— Wtedy zażądaliby wyjaśnień, czego od ciebie chcę.

— Przecież zaprosiłem cię dziś na śniadanie.

— Mogliby sądzić, że masz w tym swój cel, to znaczy, że chcesz ode mnie czegoś w zamian.

— Sama wiesz, że niczego nie chcę. Silvia patrzyła na mnie z rozdrażnieniem.

— Ja też nie wiem, dlaczego zaprosiłeś mnie do hotelu.

— Aby cię znowu zobaczyć. Czy to nie wystarczy? Chodźmy na kolację.

Wziąłem ją pod rękę i mimo oporu wprowadziłem do dużej sali restauracyjnej, do której za czasów dyktatora Batisty czarnym był wstęp wzbroniony, mimo że sam prezydent był Mulatem.

Usiedliśmy przy małym dwuosobowym stoliku i zaproponowałem po lampce rumu, który — jak zauważyłem — tutaj jeszcze podawano, mimo że w całej Hawanie obowiązywała prohibicja.

Zanosilo się na miły wieczór. Orkiestra grała bolero. Podszedł kelner i spojrzał krytycznym okiem na Silvie. Kiedy chciałem zamówić rum, poinformował, że w restauracji obowiązuje strój wieczorowy, a Silvia była w spodniach. Nic to naturalnie nie miało wspólnego z dawnym rasizmem, był to po prostu nowy porządek oparty o stare tradycje hiszpańskie. Musieliśmy opuścić restaurację. Wyszliśmy z hotelu na zalesiony młodymi świerkami skwer. Tropikalna ciemność spowiła miasto. Lokale nocne od dnia wszczęcia ofensywy rewolucyjnej zostały zamknięte.

Prywatne restauracje przestały istnieć.

Hawana dyszała wilgocią krótkiego ulewnego deszczu, który przewalił się nad miastem. Silvia przypomniała sobie, że tuż obok hotelu funkcjonuje jeszcze „Centro Vasco”, klub baskijski, w którym można zjeść kolację, albo wypić drinka. Klub ten

mieścił się w młodym świerkowym lasku i z zewnątrz był niewidoczny, może dlatego przetrwał pierwszą falę szaleństwa. W gąszczu świerkowym natknęliśmy się na kolejkę oczekujących na numerek, aby dostać się do klubu. Nie przewidzieliśmy tego, ale Silvia już odprężyła się po szoku w Habana Riviera. Opowiadała dowcipy i była zupełnie swobodna. Mieliśmy sporo czasu, bo kolejka wydawała się nie kończyć i kiedy dobrnęliśmy wreszcie do stolika zabrakło już posiłków, a rum skończył się znacznie wcześniej.

— Nie mamy szczęścia — powiedziałem do Silvii. — Teraz już nic się nie da zrobić.

— Zabiorę cię ze sobą — odrzekła Silvia.

Udało nam się zatrzymać taksówkę. Silvia odzyskała humor. Opowiadała o swojej szkole, preuniversity, do którego uczęszczała w Barrio Central. Nie wszystko rozumiałem, co mówiła, ale nie przerywałem jej pytaniami. Nie to co mówiła było dla mnie najważniejsze, ale sam jej zachrypnięty głos, lekko gardłowy, fascynował mnie i podniecał. Zwróciłem dopiero uwagę, kiedy powiedziała o buncie młodych przeciw ingerencji rewolucji w życie prywatne. Nikt nie ma prawa wyjeżdżać z wyspy bez zgody władz, a paszportów nie wydają.

Jechaliśmy dość długo i zupełnie straciłem orientację, gdzie się znajdujemy. Weszliśmy do domu, którego cały front był zaciemniony wysokimi koronami gumowych i kroczących drzew. W wielkim kolonialnym salonie, na wykładanej mozaiką marmurowej posadzce tańczyło kilkanaście par. Usied-

liśmy w bujających się fotelach, które tak lubią hawańczycy i zaraz ktoś przyniósł anyżówkę i kawę w miniaturowej chińskiej porcelanie. Nie przywiązywałem wagi do tego, że wszyscy na nas spoglądali, dopóki nie poczułem się niespodziewanie gościem honorowym.

Gospodarz domu wypowiedział sakramentalną formułę: „Mi casa es su casa, señor”, „Mój dom jest pańskim domem” i zaprosił mnie do swego gabinetu. Pokazał mi prywatne muzeum stworów morskich, które zgromadził w ciągu pięćdziesięciu lat ze wszystkich mórz i oceanów świata, z wyjątkiem Bałtyku. Mówił o swojej największej pasji, w której nigdy nie ustaje. Zapewnił, że nawet rewolucja mu jej nie zabroni kontynuować.

José Antonio grał na pianinie, otoczony szerokim kręgiem gości. Nie była to żadna z tych ulicznych, czy kabaretowych melodii afrykańskich. Śpiewali poważne pieśni. Czczono tutaj przeszłość, która zapewniała dostatek i spokój domowy. Serwowano wciąż anyżówkę i koniak, a w maleńkich filiżankach kawę.

Stary kolekcjoner mówił do mnie szeptem: — Jeżeli kochasz Silwię, zabierz ją stąd. W Europie można żyć. Pewnie jesteś bogaty, a ona może spodobać się w każdym salonie i uczynić cię szczęśliwym. Tutaj świat się kończy.

Wyszedłem na balkon zaczerpnąć powietrza, ale Mulatka poprosiła, abym cofnął się do środka, bo minęła już dwudziesta czwarta, do której można urządzać fiesty. Poczulem się trochę jak w filmie

Bunuela, bo nikt nie wychodził, mimo że zabawa już się skończyła. Ktoś jednak brzdąkał na gitarze. Zaproponowałem Silvii spacer w stronę morza wyobrażając sobie, że będę mógł ją całować pod osłoną nocy i huku fal morskich, które na wysokości Miramaru tłuką wściekle o kamienny brzeg raf koralowych. Ale kiedy wyszliśmy, Mulatka uparła się, żeby wracać do Vibory. La Vibora, dzielnica żmij, ciągnie się w nieskończoność wzdłuż ulicy Camilo Cienfuegosa, bohatera rewolucji, który zginął w nieznanym okolicznościach w drodze z Camaguey do Hawany. Pamiętałem tę ulicę i wyblakłą kolumnadę frontowych ścian domów sprzed roku, czy też lat wcześniejszych, kiedy tam błądziłem po raz pierwszy.

Wyszliśmy z autobusu po dobrej godzinie jazdy. Silvia pokazała mi swoją szkołę. Poprosiłem, abyśmy podeszli bliżej, bo chcę zobaczyć klasę, a nawet ławkę, w której ona siedzi.

— Odprowadzę cię do domu — zaproponowałem.

— Nie, absolutnie nie — zaprotestowała gwałtownie. — Mogę poczekać tutaj z tobą do czasu, kiedy przyjedzie autobus, albo złapiesz taksówkę.

— Chcę zobaczyć gdzie mieszkasz, abym mógł kojarzyć ciebie z twoim domem, z sypialnią, w której śpisz, kwiatami, które cię otaczają, obrazami, które masz na ścianach. Chcę to wszystko widzieć wszystkiego dotknąć.

— Mogę zostać z tobą do czasu, aż nadjedzie autobus, albo złapiesz taksówkę — powtórzyła.

Nie znałem tajemnic ulicy Camilo Cienfuegosa, pozbawionej słonecznego światła kolumnady, ani nieprzeniknionych podwórek, ani tym bardziej ludzkich namiętności, które bywają tajemnicze, a czasem drapieżne i groźne. Nie wiedziałem dlaczego Silvia nie chce, abym zbliżył się do jej domu.

Wziąłem ją za rękę.

— Odprowadzę cię, tylko powiedz, dokąd mamy pójść.

— Lepiej nie, mówię, że nie można.

Nie nalegałem i nie pytałem więcej. Przyłgnęła na chwilę do mnie tak, że poczułem jej piersi. Wspięła się na palce, aby mnie pocałować w usta i zniknęła w jednej z wąskich uliczek, odchodzących od Camilo Cienfuegosa, która biegła na kształt kanału, wśród niekończącej się kolumnady domów.

Stałem obok słupa, na którym przybita była blacha z numerami autobusów odchodzących do śródmieścia. Zobaczyłem, że o tej porze żaden już nie odjeżdża. Udało mi się jednak złapać taksówkę i zapytałem kierowcę czy zechce zawieźć mnie do odległej dzielnicy Miramar.

— Czego pan szuka tutaj w nocy, w La Vibora? — odpowiedział pytaniem.

— Odprowadzałem narzeczoną.

— Dupę odprowadzałeś.

— Mówię o narzeczonej.

— Tutaj mieszkają same czarnuchy. Biały nie powinien kłaść się z czarnymi.

Mijaliśmy Vedado, kiedy to powiedział, gdzieś na wysokości hotelu Habana Libre, dawnego Habami Hilton.

- Nie bądź głupi.
- Czarne mają p...ć się z czarnymi.
- Zatrzymaj.
- Dlaczego przecież jedziesz do Miramaru.
- Wolę tam zejść na piechotę.
- Płacisz za cały kurs.
- Zobacz — mówi Silvia kładąc swoją rękę na mojej — twoja skóra jest jaśniejsza, jak to ładnie wygląda. Mężczyzna, z którym byłam po raz pierwszy, także był biały.
- Myślę, że kolor skóry nie ma dla ciebie znaczenia.
- Jestem jaśniejsza od José Antonio, zauważyłeś? A mój mąż był jaśniejszy ode mnie, nawet dużo.
- Czy dlatego, że miał jaśniejszą skórę, łatwiej cię porzucił?
- To był tylko jeden z powodów. Oczywiście zostawił mnie także dlatego, że jestem czarna.
- Przecież nie jesteś czarna!
- W jego pojęciu, a już szczególnie w pojęciu jego rodziny, tak. A przy tym kłamał od początku, z wyjątkiem pierwszych trzech, albo czterech miesięcy, kiedy mnie naprawdę kochał. Nigdy nie widział naszego syna, i nie ma ochoty go zobaczyć. Boi się przyjechać na Kubę, bo nikt mu nie uwierzy, że przyjechał do mnie, czy do dziecka, posądzą go o sympatie komunistyczne, to jasne. Wystarczająco jasne. Po powrocie mogą go zamknąć.
- I ty go usprawiedliwiasz?
- Wcale nie. Mówię ci, jak jest, w Caracas

powiedzą, że jest komunistą, skoro poleciał na Kubę. Zresztą on nie chciał poznać Alejandra, boi się komplikować sobie życie. Po prostu nigdy się nie zobaczą i tak będzie lepiej. Alejandro nawet nie będzie wiedział jak ojciec wygląda.

— Masz do niego żal?

— Nie, pokochał mnie bardzo prędko, rzucił jeszcze szybciej.

Byłam akurat w piątym miesiącu ciąży.

Szliśmy w dół ulicą spadającą do brzegu morza, pochyłą i wąską, z podcieniami domów, otwartymi na oścież mieszkaniami i wartowniami przy każdym Komitecie Obrony Rewolucji.

— Jeśli zginiesz, nikt nie będzie wiedział, gdzie cię szukać. I nikt cię tu nie znajdzie.

Wzięła mnie delikatnie pod rękę. Leylandy pędziły z błyskawiczną prędkością, objęła mnie na moment, przez jedną króciutką chwilę poczułem jej piersi na swoim torsie. Wyszliśmy przed kwadrans z Teatru Mella, w którym dawali „Czarownice z Salem” Artura Millera. Poznałem go kiedyś jako wysokiego mężczyznę w towarzystwie również wysokiej i kościstej Amerykanki, występującej w charakterze żony dramaturga, nie była to bynajmniej Marilyn Monroe, o którą nikt go wówczas nie zapytał.

— Dokąd teraz idziemy?

— Gdybym ci powiedziała, że na plażę albo do akwarium, czy na dno rzeki Almendares, też byś poszedł, więc po co pytasz?

Wydawało mi się, że idziemy w stronę starej

Hawany. Na placu ozdobionym monumentalnymi płaskorzeźbami spróbowałem ją pocałować, ale wyslizgnęła się z mojego uścisku.

— Nigdy tego nie rób, kiedy ja nie chcę. Powinieneś czuć, kiedy cię pragnę.

Szliśmy ciągle w dół, wśród domów z kolumnami. Ich łuszczące się fasady przypominały, że brakuje farby, aby je odmalować.

— Dlaczego John Proctor ze sztuki Millera wolał umrzeć niż skłamać?

— Bo taki był.

Powiedziała to o sobie czy o Johnie Proctorze? Wsiadliśmy do autobusu i dotknęła kolanami moich kolan, objęła mnie za szyję zwyczajem kobiet kubańskich, lecz po chwili cofnęła rękę i odsunęła się ode mnie.

— Patrzą na nas — wyszeptała.

Nie drażnił mnie wzrok ludzi ani psykanie mężczyzn na widok Mulatki, bo odczuwałem dumę i radość, gotów byłem całemu światu chwalić się dziewczyną.

Wsiadliśmy przy alei Carlosa III, na skrzyżowaniu magistrali Infanta z boczną ulicą prowadzącą na boisko peloty. Znałem tu niektóre kąty i nie dziwiły mnie ani brudne patia, ani wychodzące na ulicę wiecznie otwarte drzwi i okna mieszkań.

— Dlaczego John Proctor wolał umrzeć niż skłamać?

— Bo to było trudniejsze.

Już się nie broniła, przystanęła i znieruchomiała, czekając na pocałunek. „Tylko nie wkładaj mi języka do ust, bo tego nie lubię”.

Całowałem ją na skrzyżowaniu ulic. Pociągnęła mnie za sobą.
— Byłeś już kiedyś tutaj?

Weszliśmy do otwartej na patio przestronnej bramy; w środku rosły wystrzępione palmy i stało kilka samochodów, w bocznej ścianie świeciło się okno dyżurki i stało przed nim w kolejce kilku mężczyzn. Zapytałem kto jest ostatni, ale nikt mi nie odpowiedział. Stałem więc na końcu, za nimi.

Obawiałem się, że Mulatka w każdej chwili może się rozmyślić i odejść, a ja zostanę sam w kolejce po zbyteczny kwitek.

Rozejrzałem się i zauważyłem dziewczęta czekające za maskami samochodów i pniami palm. Nigdy jeszcze w życiu nie wynajmowałem pokoju specjalnie do miłości, tylko i wyłącznie do miłości liczonej na godziny. Był to dla mnie szok. W Hawanie nawet małżeństwa przychodziły do takich *las posadas*, żeby choć na chwilę być tylko we dwoje, bo w zatłoczonych mieszkaniach, prowizorycznie urządzonych w garażach czy na poddaszu, trudno było znaleźć nastrój intymności. Wiedziałem o tym, ale obawiałem się, że ktoś może zapytać, czego tutaj szukam, albo zażądać okazania paszportu. Kiedy wreszcie doszedłem do okienka i powiedziałem: „Płacę za trzy godziny”, jakiś mężczyzna wyłonił się z mroku i zaprotestował: „Jeszcze nie nadeszła twoja kolej”. Stałem więc dalej i czekałem. Co chwila ktoś wciskał się przede mną. Szukałem wzrokiem Silvii, ale jej nie znalazłem. Sądziłem, że znudziło jej się to czekanie i zniknęła.

— Który masz numer? — zapytała nagle tuż koło mojego ucha.

— Siedemnasty — wyszeptałem.

— Siedemnasty — powtórzyła i wyczułem pretensję w jej głosie.

Może dlatego, że numer siedemnasty znajdował się na dole za dyżurką i trzeba było przejść przed szpalerem mężczyzn. A może była już w nim kiedyś z kimś innym?

Szła jednak pierwsza, nie zasłaniając twarzy i nie wahając się.

Wydało mi się, że idziemy bardzo długo, bo trzeba było obejść cały dziedziniec, na którym stali mężczyźni i ukrywały się dziewczęta pośród drzew i samochodów.

Tylko Mulatka szła wyprostowana, z dumnie odsłoniętą twarzą, jakby towarzyszył jej conajmniej książę Yorku. Znalazła pokój już otwarty i przygotowany dla nas. Wewnątrz znajdowały się dwa krzesła ustawione przy stoliku w rogu pokoju. Pewnie dla konwersacji. Centralne miejsce zajmowało szerokie łóże małżeńskie bez jakiegokolwiek nakrycia, z niedbale rzuconą zmianą czystej pościeli.

— Przygotuj łóżko — rozkazała Mulatka i usiadła na brzegu krzesła, przeglądając się w lustrze ustawionym ukosem od sufitu do podłogi.

— Proctor nie mógł skłamać. Nic by to nie pomogło. W jego losie było zapisane, że musi umrzeć.

— Skąd o tym wiesz?

— To on powiedział, a nie ja. On, Proctor, a właściwie sam Miller, jego twórca.

— Czy w twoim losie też jest wszystko zapisane?

— Wszystko? Nie. Tylko to co najważniejsze. Mogłam ciebie nie spotkać, a przecież spotkałam.

— Od kogo będzie zależał los Alberto? Od niego samego, czy od policji?

— Nie, od jego tchórzostwa.

— Co nazywasz tchórzostwem?

— Ucieczkę ode mnie.

— Nie zaproponował, że cię zabierze ze sobą?

— Tak, ale mu nie wierzę.

— Dlaczego?

— Bo wie, że mnie stąd nie wypuszczą. Przestała mówić i zapadło milczenie, w którym odczułem treść. Mulatka wskazała gestem obydwu złożonych jak do modlitwy rąk, żebym zrzucił ubranie. Wszedłem do łazienki, i kiedy wróciłem Silvia leżała pod cieniutkim białym pledem, zasłaniając rękoma piersi.

— Może chcesz się czegoś napić?

— Nie.

— Zadzwoń, aby przynieśli rum z coca-colą.

— Proszę cię, nie...

— Może jednak?

— Tutaj telefon nie działa.

Ukląknę przed nią i patrzyłem na jej szczupłe, jak u dziewczynki, ciało.

— Zgaś światło.

— Chcę cię zobaczyć, pozwól.

Odrzuciłem pled i patrzyłem na jej smukłą figurę. Tylko dłonie i stopy miała jasne. Szczupłe lyilki, okrągłe kolana i długie uda. Było to wspaniałe ciało młodej dziewczyny, która dopiero budzi się do

miłości, dopiero wyłania się z pąka. Jeszcze nie zakwitła nawet. Piersi przez cały czas zakrywała dłońmi.

— Wystarczy, już dosyć. Już mnie obejrzałeś. Nie odrywałem od niej wzroku.

— Proszę cię, zgaś światło.

— Już to robię.

— W łóżku ja rządzę, żebyś wiedział.

— Ale to ja cię przeleceę.

— Tylko nie bądź wulgarny.

— To ja cię przecież wezmę.

— Tylko nie bądź brutalny.

— Pokocham cię.

— Teraz lepiej...

Powiedziała to miękko i łagodnie. Cały czas klęczałem przed nią, a jej ciało stawało się z każdą chwilą piękniejsze. Otwierało się przede mną, wzywało mnie do siebie. Wołało mnie. Silvia tylko patrzyła na mnie. Spod zmrużonych powiek wyglądały jej zamglone źrenice.

Wreszcie wyszeptała: — Chodź!

Położyłem się obok niej i ręką pieściłem piersi. Na zmianę, prawą i lewą. Całowałem jej szyję, dotykałem delikatnie zębami jej brunatnych sutek. Przesunąłem wargami po brzuchu i powędrowałem niżej do jej seksu. Nie dotykając ręką włożyłem język pomiędzy wargi sromowe. Natrafiłem na lechtaczkę i zacząłem ją delikatnie pieścić językiem.

— Och!

Położyła mi rękę na głowie i niecierpliwie burzyła mi włosy.

— Och! Och! Cudownie! Och, cudownie! Och! Jeszcze! Jeszcze!
Podniosła biodra, podając mi siebie. Wyprężyła się pode mną, abym mógł wejść w nią jak najgłębiej. Pomogła mi rękami. Wchodziłem w jej gorące, rozedrgane wnętrze, a ona podniosła uda i oparła je na moich ramionach. Objęła mnie mocno za szyję. Wbijałem się w nią. Czułem jak mój członek twardnieje w niej, staje się mocny i władczy. Żeby tylko nie wybuchł. Żeby nie zrosił zbyt prędko gorącą spermą jej pochwy, pozbawiając mnie mocy.

— Wejź na mnie, proszę.

Podniosła się, wzięła do ręki mojego penisa i pieściła go opuszkami palców. Usiadła na mnie i lekko się unosząc wprowadziła go w siebie. Rozpoczęła kołyszący ruch bioder, z początku wolny, potem coraz szybszy i cudownie rytmiczny. Pochyliła się nade mną dotykając mnie swoimi małymi, twardymi piersiami. Świat przestał istnieć. Czułem tylko jej ciało sprawiające mi coraz większą rozkosz. Jej oddech stał się krótki, zdyszany jakby wchodziła pod górę. Krzyknęła:

— Kocham cię, *te quiero! Te quiero! Te quiero! Te quiero cono!*
Chwyła moje ramiona obydwoma rękoma, pochyliła się nade mną i trzymała je z całej siły. Gwałtownymi ruchami swego krocza doprowadziła się do krzyku i spazmu. Ciałem jej wstrząsał dreszcz, jakby prąd elektryczny przez nią przechodził. Upadła na mnie, splotła się ze mną, objęła mnie jeszcze mocniej i wcisnęła się we mnie. Zastygła bez ruchu.

Tylko na moment. Już po chwili całowała mnie opętana nową namiętnością, gorącymi wargami przywarła do moich, włożyła mi język do ust, owinęła się wokół mnie swoim szczupłym ciałem. Szeptala mi do ucha:

— Kocham cię, pragnę cię *coño*, pragnę cię *coño*. Bądź ze mną, bądź ze mną!

Pieściła mojego penisa, schyliła się nad nim i wzięła go do ust ssąc i zgniatając zębami.

— Przestań, to boli! — krzyknąłem. Wypuściła go z buzi i całowała od nasady aż po sam czubek. Niespodziewanie wybuchnęła kaskadą radosnego śmiechu.

— *Cono*, jeszcze z nikim mi nie było tak źle, jak z tobą. *Coño weź* mnie teraz, natychmiast! Wejź we mnie *coño*, wbij się we mnie *coño*, podnieś mnie na nim, bądź mężczyzną *coñol*

Rankiem wracaliśmy do śródmieścia. Czułem pod powiekami ziarenka piasku i byłem przekonany, że Silvia także je czuje. Miała na sobie wczorajszą spódnicę i bluzkę, lecz wyglądała ślicznie ze swoim nocnym jeszcze zmęczeniem, złagodniała, spowolniała i senna.

Szliśmy naprzeciw słońcu w stronę morza i kiedy doszliśmy do Maleconu, zauważyłem, że wczorajsza bryza minęła i lustro wody się wygładziło.

— Muszę już iść!

— Dokąd?

— Nie pytaj mnie o nic.

— Kiedy się zobaczymy?

— *Adios!*

— Zapraszam cię na Isla de Pinos.

— *Adios!*

Patrzyłem za nią, jak szła przez wielki plac hotelowy, wyprostowana i absolutnie niedostępna, niemal sztywna w swojej zielonej spódnicy na szelkach, ciągle jeszcze twardej od wczorajszego krochmalu. Odczuwałem dumę i radość. Niosła w sobie moją spermę, moje życie, które jej przekazałem.

W kilka dni później zaprosiła mnie znowu do domu przy ulicy Trzydziestej Siódmej. Nawet nie wiedziałem, jaka to była *fiesta*. Zastałem pełno ludzi, niektórych już znałem z poprzednich wizyt. Siedzieli na kanapie, w bujanych fotelach i na podłodze, gdzie się dało. Rozmawiali o Wenezueli — Clara Luz Maria, której imię znaczyło po prostu Jasne Światło Maryi, pochodziła stamtąd — i o Brazylii, bo Rolando Perez miał nowe wiadomości z Rio de Janeiro. Powiedziałem w pewnym momencie, że lecimy z Silvią na Isla de Pinos, i Clara Luz Maria wywołała ją natychmiast do drugiego pokoju. A myśmy rozmawiali o biletach z Perłą i Rolandem, a właściwie tylko z Perłą, bo Roland od dłuższej chwili milczał kołysząc się w fotelu. Nie wiem z jakiego powodu zamknął się w sobie i stał się nieobecny. Perła twierdziła, że nie uda nam się dostać biletów na samolot, ani na statek. Bilety sprzedawane są wyłącznie dla delegacji służbowych. Wydawało mi się to absolutnie niemożliwe.

Kiedy mówiłem im o Isla de Pinos, podniecały moją wyobraźnię myśli o hotelu „Colony”, do

którego przyjeżdżała Marilyn Monroe, i salach gier w ruletkę znanych w całej Ameryce. Wróciła Silvia i oświadczyła głośno:
— Nie pojedę z tobą na Isla de Pinos. Ponieważ sądziłem, że żartuje, roześmiałem się mówiąc:

— Umrzesz z tęsknoty z mną.

Patrzyła jednak z błyskiem nienawiści w zmrużonych oczach.

— Nigdzie już z tobą nie pojedę.

— Zdobędę dla ciebie bilet.

— To już nie ma znaczenia.

Wzięła mnie pod rękę i wyprowadziła na wielki, jak całe to mieszkanie, taras:

— Po tym co powiedziałeś Rolandowi, musisz natychmiast opuścić nasz dom i więcej tu nie wracać.

Zbierałem gorączkowo myśli, starając się przypomnieć sobie nocną rozmowę z Brazylijczykiem, ale w żaden sposób nie mogłem znaleźć w niej nic takiego, co mogłoby mi zaszkodzić w oczach Silvii.

— Mogę ci powtórzyć naszą rozmowę z Rolandem, proszę bardzo. Wyszliśmy stąd o trzeciej nad ranem, a może nawet później, przecież odprowadzałyście nas razem z Perłą.

Obserwowałem, jak biegłaś z powrotem. Biegłaś ślicznie i cienie łodyg palmowych kładły się na twoją sylwetkę w świetle latarni ulicznych. Znikałaś i znowu pojawiałaś się w perspektywie zwężającej się w oddaleniu ulicy. Patrzyłem za tobą z tęsknotą i powiedziałem do Rolanda: „Zobacz, jak Silvia pięknie wygląda”.

Rolando nic nie odrzekł. Wtedy jeszcze raz powiedziałem: „Spójż Rolando, jaka ona jest zgrabna”, bo chciałem się tobą pochwalić. A kiedy w dalszym ciągu milczał, dodałem: „Nie mogę zrozumieć, dlaczego Alberto ucieka od niej do USA”.

— To wystarczy. Zdradziłeś Alberto przed Rolandem.

— Rolando jest przyjacielem waszego domu.

— Nie wolno powtarzać niczego, żadnej sprawy ani żadnego imienia. Po tym co zrobiłeś, nie możemy kontynuować naszej znajomości. Straciłeś nasze zaufanie.

— Ty nie masz do mnie zaufania?

— Ani ja, ani Clara Luz Maria, ani Rolando. Nikt z nas.

— Nie wypowiadaj się za nich.

— Mówię ci to również w ich imieniu.

Kiedy wróciliśmy do pokoju, Rolanda już nie było. Przeszedłem przez salon do sypialni, gdzie odpoczywała Wenezuelka.

— Co ci powiedział o mnie Rolando?

— Jesteś niebezpieczny, albo głupi.

Gdzieś tam głęboko pod czaszką poczułem przenikliwy ból.

Clara Luz Maria leżała na tapczanie, oparta na łokciu i studiowała mapę Karaibów. Leżąc tak, dodała jeszcze, zwracając się do Silvu:

— Nie wolno ci z nim chodzić na plażę, ani szwendać się po hotelach.

Wtedy zaprotestowała Perła, nieświadoma rzeczy, i co innego mając na myśli:

— Przecież Mayuya, znacie Mayuyę Martinez, żyje z Włochem u niego w pokoju hotelowym i nikt nie ma nic przeciwko temu.

— Ponieważ — odpowiedziała Luz Maria, jakby rzeczywiście o co innego chodziło — ten Włoch oświadczył, że rozwiedzie się z żoną i poślubi Mayuyę.

— Zupełne kłamstwo. Włoch nigdy nie ożeni się z Mayuyą.

— To nie zmienia postaci rzeczy, że nie wolno ci włóczyć się z Robertem.

Pomyślałem jeszcze, że być może Wenezuelka, która dochodzi do czterdziestki i nie ma tutaj żadnego mężczyzny mówi to wszystko z zazdrości.

— Przecież nie mogę jej stracić. Pozwól Silvii spotykać się ze mną.

— Więcej się z tobą nie zobaczy, bo sama nie chce. Nie próbuj tutaj przychodzić, ani dzwonić. Idź już stąd. Silvia ciebie nie odprowadzi.

Na drugi dzień rano leciałem na Isla de Pinos. Odlot spóźniał się niemiłosiernie. Obszedłem już wszystkie kąty poczekalni portu lotniczego w Rancho Boyeros, pocztę, sklepy z cygarami, kawiarnię, stoiska z folklorem i palarnię. Po dwóch godzinach czekania nie wytrzymałem i zadzwoniłem pod wiadomy numer telefonu na ulicę Trzydziestą Siódmą. Bez skutku jednak. Nikt się nie odezwał.

Przez trzy dni jeździłem z jednego krańca wyspy na drugi, wśród gajów cytrynowych i pomarańczowych, zwiedzałem kamieniołomy marmuru i dawne batistowskie więzienie „Presidio Modelo”.

Lokale, podobnie jak w Hawanie, były zamknięte i nigdzie nie można było dostać rumu. Został tylko napój nieco podobny w smaku do coca-coli i cygara w pudełkach. Wieczorami chodziłem po plażach wzdłuż brzegów wyspy, czasem udawało mi się zobaczyć kraby, które wyłaziły z morza skuszone być może, jak i ja, światłem księżyca. Przychodziło mi na myśl, że takie same obserwował tutaj po nocach w ubiegłym wieku Robert Louis Stevenson, kiedy pisał swoją fantastyczną powieść „Wyspę Skarbów” właśnie o tej kubańskiej wysepce Isla de Pinos. Trzeciego dnia około dziesiątej w nocy zamówiłem rozmowę z Hawaną. Czekałem u siebie w pokoju, a potem w otwartym na basen barze z coca-colą. Kilka razy wchodzili z hałasem żołnierze i gwarnie rozsiadali się na stołkach, po czym równie prędko znikali.

Koło północy wszedłem do wody i położyłem się na powierzchni, mając nad sobą gwiazdy. Leżałem przez dłuższy czas bez ruchu i czułem chłód ogarniający ciało. Poruszałem więc rękoma, aby się rozgrzać. Usłyszałem dzwonek telefonu i pobiegłem na portiernię. Hawana była na linii. Telefonistka zapytała przez szum i trzaski w słuchawce, czego sobie życzę od wybranego numeru. Powiedziałem, że chcę porozmawiać. Wtedy poinformowała mnie, że mogę przekazać przez nią swoje życzenia.

Życzyłem Silvii miłych snów.

Czas się kurczył do wymiaru godzin. W piątek po południu z odległego zakątka Isla de Pinos miałem

wrócić do Hawany. Najpierw wojskowym gazikiem do Nowej Genowy, wśród obłych wzgórz wyspy świerkowej, pogrążonych w żółtości popołudnia, które nadeszło z ulewnym deszczem od zachodu. Wyspa po serii upalnych tygodni dyszała w przeczuciu cyklonu. Kiedy AN-24, który miał mnie zabrać, zniżył się podchodząc do lądowania, deszcz przesłonił go tak ostro, że samolot zniknął na pewien czas, zanim pojawił się znowu, lądując na płycie lotniska.

Wracałem z nadzieją, że zastanę Silvię zaraz po powrocie do Hawany. Około dwudziestej pierwszej byłem już w hotelu i natychmiast do niej zadzwoniłem. Usłyszałem jednak głos Wenezuelki: „Silvia już tutaj nie mieszka”. Potem dzwoniłem jeszcze wiele razy. Czasem zastawałem Perłę, która odpowiadała inaczej, zastanawiając się czy Mulatka jest w domu, albo dokąd mogła wyjść. Mówiła na przykład: „Nie wiem czy Silvia jest w domu”, albo też: „Zapytam, czy może rozmawiać”, po czym odchodziła w głąb przepastnego mieszkania i długo jej nie było, ja zaś usiłowałem zgadnąć, do którego poszła pokoju i nad jaką radzą odpowiedzią.

Wreszcie któregoś dnia trafiłem na Silvię, która widocznie znalazła się najbliżej telefonu.

— Czy możemy się zobaczyć?

— Nie wiem, muszę zapytać Clarę Luz Marię.

— Ale ja chcę spotkać się z tobą, a nie z nią.

— Poczekaj, zaraz zapytam... Nie, nie możemy się spotkać. Clara jest zmęczona.

— A ty?

- Sama nie przyjdę do ciebie.
- To przyjdź z Perlą. Mam samochód, pojedziemy na plażę Santamaría i będziemy robić zdjęcia.
- My nie chcemy robić zdjęć.
- Dawniej lubiłaś.
- Ale teraz już nas to nie interesuje.
- Żeby nie tracić nadziei na spotkanie zakończyłem ugodowo:
- Zadzwoń jutro i powiesz mi, co cię będzie interesować.
- Zadzwoń, jeśli chcesz, ale mnie nie zastaniesz. Zadzwoń po kilku dniach, żeby dać jej więcej czasu do namysłu i żeby zatęskniła. Od razu zapytałem żartobliwie:
- Czym się dzisiaj interesujesz, Silvio?
- Wizytą ambasadora — odrzekła.
- Czyją wizytą?
- Za godzinę przyjedzie nas odwiedzić ambasador Konga.
- Ambasador Konga? Dlaczego?
- To przyjaciel Perli.
- Ale ty możesz wyjść?
- Będę czekać razem z Perlą, jest moją najbliższą przyjaciółką. Po południu zadzwoniłem znowu.
- Co porabiasz Silvio?
- Czekamy z Perlą na ambasadora Konga.
- Ile godzin już czekacie?
- Przestałam liczyć.
- Może nie przyjedzie?
- Przyjedzie na pewno, przecież obiecał.

Wieczorem kiedy się już dobrze ściemniło, zadzwoniłem jeszcze raz. Przyrzekłem sobie, że dzwonię do niej ostatni raz w życiu.

— Silvia?

— Proszę mówić głośniej, nic nie słychać. Kto mówi?

— To ja, słyszysz mnie teraz?

— *No se oye nada*. Kto to mówi?

Trzask odłożonej słuchawki. Wykręciłem numer ponownie.

— Muszę rozmawiać z Silvią.

— Zobaczę, czy jest w domu. — To była Perła

— Silvia?

— Nie mogę teraz rozmawiać mamy gościa. Przyjechał ambasador Konga.

Cały tydzień przerwy. Staralem się przestać o niej myśleć, omijałem dzielnicę, w której mieszkała. Zbliżający się wyjazd i załatwianie ostatnich formalności pomagały mi czymś innym wypełnić czas.

Czternastego marca, na dzień przed odlotem z Kuby, kilka minut po dziewiątej usłyszałem jej niski, jak zwykle zachrypnięty głos w słuchawce:

— Kiedy możemy się spotkać?

— Już nie mam czasu, jutro odlatuję.

— To dzisiaj.

— Wieczorem jestem umówiony na pożegnanie z przyjaciółmi.

— Teraz. Zaraz do ciebie przyjadę.

— Mam jeszcze coś do załatwienia w konsulacie.

— W południe.

— Będę zajęty.

— Muszę cię zobaczyć.

— Już nie ma kiedy.

— Nie możesz odlecieć bez spotkania ze mną. Halo, słyszysz mnie? Od tygodnia pracuję na wsi, sto kilometrów od Hawany. Musiałam skłamać, że mam ważny egzamin, aby mnie puścili. Wstałam dzisiaj o trzeciej w nocy, żeby przyjechać do ciebie. Powiedz, kiedy możemy się zobaczyć. Słyszysz mnie?

— Słyszę.

— No to kiedy?

— O pierwszej, jeśli chcesz.

— Naturalnie. Przyjadę do hotelu. Zobaczyłem ją z góry, jak szła w białej bluzce

i zielonej spódnicy. Zjechałem windą i wyszedłem jej naprzeciw, gotów zabrać ją do siebie na górę wbrew wszelkim protestom portiera i recepcji hotelowej.

— Ile milimetrów mnie kochasz? — zapytała Silvia na powitanie. Zszedłem do *diploshopu*, aby kupić cygara. Mulatka czekała siedząc wyprostowana na ławce naprzeciw recepcji.

Udało się nam złapać taksówkę i wkrótce znaleźliśmy się w barze „Conejito”, aby wypić po jednej *carta blanca*, rum z lodem i coca-colą oraz koktajl ananasowy, który Silvia lubiła najbardziej ze wszystkich napojów świata. Siedzieliśmy na twardych, drewnianych stołkach przy kontuarze. Słońce rzucało na jej twarz fioletowe światło, załamujące się w witrażach okien. Nie odczuwałem najmniejszej

potrzeby dotknięcia jej ręki ani pocałunku. Mówiliśmy o rzeczach banalnych. Wyjąłem z kieszeni pastylki przeciw zmęczeniu i ona wyciągnęła po nie rękę. Szybko połknęła kilka naraz. Tabletki te, z nikłą domieszką narkotyku, który zawierają, wprowadzać mają rzekomo, zwłaszcza po wypiciu alkoholu, w stan oszołomienia i urojeń. Ale to chyba nieprawda, bo niczego takiego nie poczułem. Silwię nawet o to nie zapytałem. Odczuwałem porażający mnie smutek i ból rozstania. Coraz trudniej mi było mówić. zaproponowałem, że zrobię jej pożegnalne zdjęcie.

— Tylko prędko — odrzekła. — Muszę zaraz wracać na wieś do pracy.

Pozowała ochoczo do fotografii, mrużąc oczy pod słońce.

— Zapisz mój adres — poprosiłem — a ja zapiszę twój, żebyśmy mogli utrzymywać kontakt.

— Bardzo się śpieszę, nie mam na to już czasu.

Odchodziła jednak powoli kilkakrotnie przystając, oglądała się za siebie. Wydawało mi się, że tańczy na chodniku. A pewnie to słońce tańczyło wokół niej. Zawołałem jeszcze:

— Kiedy się znów zobaczymy? Wrócę do ciebie. Już nie słyszała.

Zniknęła wśród przechodniów

rozmigotanej jaskrawym światłem ulicy.

Nie znalazłem Silvii wśród oczekujących. Odczuwałem z tego powodu drażniący niepokój. Nie chciałem, aby ktokolwiek dostrzegł moje zdenerwowanie. Wyszedłem do hallu i tuż za szklanymi drzwiami zobaczyłem tłum ludzi stojących przy

wyjściu do miasta. Szukałem Silvii wśród twarzy kolorowych dziewcząt. Po chwili musiałem się cofnąć, bo transporter podrzucił bagaże. Ustawiłem się w kolejce do kontroli celnej. Gruba Murzynka w zielonym mundurze zażądała abym otworzył walizki. Nie miałem się czego obawiać, przywiozłem wprawdzie kilka par pończoch, papierosy i wodę kolońską, ale były to podarunki dla znajomych. Przypomniałem sobie, że wypełniałem deklarację, w której zapytywano, czy pasażer wiezie mięso. Najpewniej chodziło o suszone, bo łatwo w nim przywieźć zarazki.

Była to jednak deklaracja meksykańska i wypełniałem ją jeszcze nad terytorium Stanów Zjednoczonych, gdzieś w okolicach Houston.

Otworzyłem teraz walizki, ale gruba czarnucha niczego w nich nie znalazła i mogłem je zamknąć. Przy wyjściu czekała na mnie znajoma dziennikarka z Radia Progreso — Margaret. Byłem gościem tej rozgłośni i Margaret przyjechała po mnie samochodem. W drodze do miasta siedziałem obok kierowcy i bezustannie zwracałem się do niej, pytając o nowości.

Wjechaliśmy na plac Rewolucji, gdzie znowu zobaczyłem wielkie drzewa kroczące, których hiszpańskiej nazwy nie zapamiętałem. Podobnie zapomniałem też jak nazywa się czarny ptak żywiący się padliną, który o świcie krążył nad Hawaną. Nauczyłem się tysięcy hiszpańskich słów, a nic pamiętałem tych dwóch. Błahostka, która nie dawała mi spokoju, powiększała w głupi, uporczywy sposób moje rozdrażnienie.

Ruchu przed hotelem nie było, szybko uwinąłem się z bagażami i portier wniósł je do windy. Powiedziałem do windziarki „*piso trece*”.! uświadomiłem sobie nagle, że skądś znam numer pokoju 317, w którym miałem zamieszkać. Był to ten sam pokój, w którym przed rokiem odwiedziłem kubańskiego pisarza Alejo Carpentiera. Duży, amerykańskim zwyczajem z dwoma łózkami. Otworzyłem okna z widokiem na morze i nacisnąłem guziki radia wmontowanego w nocną szafkę. Odezwały się po kolei hawańskie stacje, nadające przeważnie muzykę. Znalazłem Radio Reloj Nacional, program, który co minutę podaje dokładny czas i najnowsze wiadomości. Podniosłem słuchawkę telefonu. Bardzo długo nie zgłaszała się telefonistka. Kiedy wreszcie usłyszałem „*Buenas noches, por favor*”, odpowiedziałem „dobry wieczór” i poprosiłem, by połączyła mnie z domem Si lvii. Powoli podawałem cyfry. Nikt nie odpowiadał w odległej dzielnicy La Víbora.

Zjechałem do restauracji na pierwszym piętrze. Siedział tam już młody brodaty Amerykanin, z którym przyleciałem do Hawany. W samolocie aż drżał, żeby zobaczyć kraj, który wyrzucił Jankesów. Teraz siedział za obficie zastawionym stołem i wyglądał na bardzo zadowolonego. Sala była prawie pusta, więcej służby niż gości. Kubańczycy tu nie mieli prawa wstępu, chyba, że obsługujący cudzoziemców.

Poprosiłem o *mariscos*, okazało się jednak, że z *frutti di mare* jest tylko *pargo*. Sala Ambasadorów,

najbardziej reprezentacyjna w tym wspaniałym hotelu, została zmniejszona przegrodami. Na kolację zeszło jeszcze kilku Francuzów i Niemców, trochę Rosjan, został też Amerykanin-rewolucjonista, ze swoją kubańską tłumaczką. Już pod koniec pojawili się bardzo kolorowi Afrykańczycy i kilkoro Latynosów z kontynentu.

Taksówkę złapałem dopiero przy *Radio Progreso* i kazałem się zawieść do *La Víbora*. Kierowca natychmiast skręcił w kierunku miasteczka sportowego *Ciudad Deportiva*.

Ryzykowałem, że narażę Silwię na przykrości, jeśli pojawię się w jej domu o tak późnej porze i w dodatku bez uprzedzenia, ale nie było innego wyjścia, jeśli miałem dowiedzieć się dlaczego nie wyszła na lotnisko.

Jechaliśmy do *La Víbora* małymi, krętymi uliczkami, które już wcześniej poznałem. Taksówkarz odwrócił się do mnie i zapytał:

— Gdzie to ma być?

— Ulica Środkowa — odpowiedziałem.

— Gdzie jest ulica Środkowa?

— Przecież to pan jest hawańczykiem.

— Nie znam tej dzielnicy.

— Proszę jechać za linią autobusową 84 aż do kościoła.

— Po drodze mamy przynajmniej pięć kościołów.

— Pokażę, przy którym się zatrzymać powiedziałem łudząc się, że rozpoznam ten właściwy.

Po kilku minutach, kiedy mijaliśmy pierwszy kościół, wydawało mi się, że jesteśmy na miejscu. Jeszcze raz spróbowałem się upewnić:

Czy tam na górze jest szkoła wojskowa w dawnym klasztorze?
— Nie wiem. Dla mnie klasztor zawsze jest klasztorem.

Poprosiłem, aby skręcił w wąską uliczkę, biegnącą w dół od kościoła, którą wziąłem za ulicę Środkową. Uliczka nazywała się jednak *Bella Vista* i musieliśmy jechać dalej. Mijaliśmy kolejno boisko *peloty*, drugi kościół, trzeci kościół, wszędzie były takie same wąskie spadające w dół uliczki, ale żadna z nich nie nazywała się Środkowa. A jeśli Silvia jest zamieszana w sprawę Alberto? — pomyślałem.

Po trzech godzinach poszukiwań taksówkarz odmówił dalszej jazdy. Wróciłem do hotelu.

Następnego dnia telewizja pokazała mnie w „kronice dnia” jako zagranicznego aktora, który przyleciał na wyspę. Zaraz po programie odezwały się telefony od znajomych. Byłem jednak pod tak silnym wrażeniem pożaru w studio, że nie w pełni rozumiałem co do mnie mówią. Pożar wybuchł podczas nagrania.

Czarna dziennikarka Aurora Moya pytała mnie właśnie o pierwsze wrażenia, kiedy poczułem zapach spalenizny. Aurora Moya brnęła jednak dalej usiłując podtrzymać rozmowę.

Swąd stał się nie do zniesienia. Ktoś wyłączył mikrofon. Aurora Moya otworzyła drzwi studia i wybiegła na korytarz. Podążyłem za nią. Na korytarzu było pełno dymu, pchał się z dołu. Winda

nie działała. Aurora chwyciła mnie za rękę. Biegliśmy jakimś korytarzem do wewnętrznych schodów. Na szczęście było to drugie piętro, a ogień wybuchł na pierwszym. Na dole zobaczyłem zbity tłum ludzi. Ciągłe podjeżdżały wozy straży pożarnej.

Tłum nacierał na ochronny kordon policjantów. Aurora była stanowcza i nie pozwoliła mi się zatrzymać pod telewizją.

Odprowadziła mnie do hotelu.

Wywiad ze mną był emitowany na żywo, to znaczy bezpośrednio. Nikt nie zająknął się o pożarze w studio.

Natychmiast zaczęto nadawać z konserwy karnawał w Rio de Janeiro. Dopiero przy obiedzie mój urzędowy opiekun Luis Sánchez powiedział: „To był sabotaż. Do przewodów klimatyzacyjnych ktoś wlał płynny fosfor i podpalił”. A jak było naprawdę nigdy się nie dowiedziałem. Telewizja zabroniła przechodniom zbliżać się do swego gmachu. Przed wejściem postawiono wartowników.

Znajomi dowiedzieli się jednak, że jestem w Hawanie. Telefony były serdeczne i przyjacielskie. Jakiś dziewczęcy głos odezwał się pytająco:

— Kto mówi?

I zaraz usłyszałem w formie wyjaśnienia.

— Silvia wróci w poniedziałek z Camaguey.

— *Quien habla?* Kto mówi? — powtórzyłem jej pytanie.

— Przyjaciółka Silvii.

— O której godzinie Silvia przyjedzie do Hawany?

Odpowiedzi nie otrzymałem, bo przerwało się połączenie.

W nocy wyszedłem aż do Białych Skał u końca Dwudziestej Trzeciej, La Rampa. Ocean był spokojny i nic nie zapowiadało zmiany aury. Znowu straciłem dzień bez Silvii.

Przy śniadaniu Luis Sánchez zapytał, czy chciałbym zobaczyć *Cordón de La Habana*.

— Naturalnie. W poprzednim roku sadiłem kawę w dzielnicy Abel Santamaría. Chciałbym też kupić obraz René Portocarrero największego malarza Kuby — dodałem informacyjnie.

Pojechaliśmy najpierw do znajomego inżyniera. Wypiłem dwie whisky. Prowadziłem samochód do domu René. Czuję w głowie zamęt i w dodatku upał w tym dniu był porażający. Z szóstego piętra na którym mieszkał spojrzałem w dół, w okrągłą ślimacznicę schodów, które pokonałem przed chwilą, i zakreśliło mi się w głowie od gorąca. Czekałem aż malarz otworzy mi drzwi, byłem pewien ciepłego przyjęcia. Portocarrero stanął w progu. Powiedział, że mnie pamięta, ale nie wiedział z kim mówię. Czarna gospodyni przyrządziła kawę. Nie miałem śmiałości powiedzieć, że chcę kupić obraz. Wiedziałem że mu zabroniono sprzedawać. Zapytałem o mural, wielkie malowidło ściennie, które René namalował w Pałacu Rewolucji. Potem mówiliśmy o Siqueirosie, który kończył pracę nad gigantycznym dziełem o powierzchni 4600 metrów kwadratowych w stolicy Meksyku. Zamiast zapytać o obraz, wypadłem z roli, whisky i upał zrobiły swoje, straciłem łokciem filiżankę z kawą.

Schyliłem się, aby podnieść porcelanę i na odwróconym do góry dnie stłuczonej filiżanki dostrzegłem datę: 1215 rok. Trzymałem ją w rękach i pytałem zawstydzony i przerażony, co mogę zrobić. Skonsternowany Portocarrero powiedział:

— To trzeba poskładać, muszę się rozejrzeć, czy dostaniemy odpowiedni klej. Proszę zadzwonić do mnie jutro rano, pójdziemy zobaczyć mural w Pałacu Rewolucji.

Jutro jest już środa. Miasto we dnie puste, tylko przed „Coppelią” kolejki po lody. W dawnym zakładzie pogrzebowym zainstalowano nowe studio telewizyjne.

Środowe popołudnie zrobiło się ponure i duszne. Wiatr od zatoki ucichł zupełnie. Wieczorem ma się odbyć przyjęcie w domu inżyniera, będzie to pewnie wystawny bankiet. Whisky, rum kubański, azerbejdżański koniak, pieczone, słodkie i kawa, hawańskie cygara. Znakomite samopoczucie cudzoziemców, którym się tutaj wiedzie o wiele lepiej niż we własnym kraju. Żenujące ubóstwo tubylców, którzy starają się to ukryć.

Odezwał się telefon, brzęcząc urywanie. Podniosłem słuchawkę z wewnętrznym lękiem, że się mylę kto dzwoni.

— To jestem ja — usłyszałem głos Silvii. — Wróciłam z Camaguey. Jestem tutaj na dole, przy wejściu do windy.

Winda długo nie zjeżdża z góry i na trzynastym piętrze trzeba czekać na nią w nieskończoność

Można się nabawić klaustrofobii. Wreszcie nad drzwiami zapala się czerwona strzałka skierowana w dół.

Silvia stoi naprzeciw klatki. Wychodzę prawie ostatni spośród kilkunastu osób. Podchodzę do niej i całuję ją w rękę. Wydaje się szczuplejsza niż była i parująca deszczem.

— Jestem już od tygodnia w Hawanie, a ty przyjechałaś dopiero dzisiaj. Zostało nam zaledwie pięć dni.

— Byłam w Camaguey. Sam wiesz, że to daleko.

— Nie dostałaś mojego listu?

— Tak, mam go tutaj. — Przykłada rękę do serca.

— To dlaczego pojechałaś akurat w tym czasie do Camaguey?

— Nie widzisz, że zmokłam?

Mulatka jest w czarnym swetrze i obcisłej spódnicy, w pantofelkach na niskich obcasach. Kropelki wody osiadły na swetrze i na włosach, które się skołtuniły.

— Chodźmy na kolację do inżyniera — proponuję. — Będiesz się tam dobrze czuć, znasz przecież Enrique.

— To daleko?

— Przy Piątej Avenidzie, byłaś tam ze mną w ubiegłym roku.

— Nie masz nic ciekawszego? Jestem zmęczona i uciekłam z dworca.

— Komu uciekłaś?

— Zobacz, jak jestem przemoczona. Zresztą

wszystko mi jedno. Czy tam będę mogła się przebrać?

Wychodzimy z hotelu „Habana Libre”. Na rogu Rampy i L stoi kilkunastoletnia wartowniczką w ciężkich wojskowych butach, z kałasznikowem w rękach i bardzo obszernych spodniach. U wylotu Rampy widać wzburzone morze, woda przelewa się przez Malecón. Silvia jest piękniejsza niż w ubiegłym roku, bardziej dojrzała. Gdybym zrobił zdjęcia na pewno by tę różnicę wykazały. Przyglądam się Mulatce coraz, bardziej zachmurzonej. Na pewno wyobrażała sobie zupełnie inaczej nasze spotkanie po roku.

W mieszkaniu inżyniera jest już sporo gości. Salon ma marmurową posadzkę, przykuwającą zazwyczaj mój wzrok. To właśnie ta posadzka podkreśla swoisty komfort jego apartamentu. Goście siedzą za stołem, Manuel obok inżyniera, naprzeciw Claudia z mężem, obydwójce Kubań-czycy, Margaret Menendez, dziennikarka z „Radia Progreso” i parę innych osób. Po salonie kręci się, przynosząc kanapki, żona Enrique.

Staje się rzecz zupełnie niepojęta: Manuel wraca do przerwanej przed rokiem rozmowy, akurat w tym samym miejscu, w którym jej nie dokończyliśmy. Silvia siedzi obok mnie wyprostowana, jak zwykle, nie wspomina już o przebieraniu się. Nie rusza włosów, żeby je poprawić, bo przy dotknięciu grzebieniem natychmiast skręcają się jeszcze bardziej.

Manuel patrzy na nią z pożądaniem, a jednocześnie wygłasza przemówienie. Mówi o rozterce, klóia nie daje mu spokoju:

— Jako polityk nie mogę wypowiedzieć wszystkiego, co czuję, mógłbym to zrobić jedynie jako pisarz, ale nie mogę być pisarzem, bo musiałbym przestać być politykiem.

Silvia marszczy swoje wypukłe, oliwkowe czoło i pali amerykańskiego camela. Widać jej złość. Nie porusza się wcale, tylko tak samo sztywno wyprostowana, przerywa Manuelowi:

— Jeśli ktoś ma takie wątpliwości jak ty, nigdy nie będzie ani pisarzem, ani politykiem.

Żona inżyniera zwraca się do niej z pytaniem:

— Dlaczego ciągle znikasz? Ostatnio nie widziałam cię chyba z rok, co się z tobą dzieje? Dopiero kiedy przyleciał Robert, znalazłaś się i ty, chociaż z dużym opóźnieniem.

— Byłam w Camaguey z brygadą pracy ochotniczej. — Akcentuje ostatnie słowo, żeby nie pozostawić wątpliwości, co to naprawdę znaczy.

— Długo tam pracowałaś?

— Przez miesiąc i jeszcze muszę wrócić na dwa tygodnie, jak tylko on wyjedzie.

Nakrywają do kolacji, korzystając z chwili zamieszania, wyciągam Silwię na taras, który otacza mieszkanie. Miasto jest lekko zaciemnione mgłą i deszczem, od oceanu niesie sztormową pogodę. Siadamy na ławce ustawionej tak blisko ściany, że nie widać jej z mieszkania ani z dołu. Wreszcie jesteśmy sami, chociaż w każdej chwili ktoś może tutaj zajrzeć. Biorę ją na kolana, ściągam z niej mokry sweter, rozpinam bluzkę i całuję chłodne, twarde piersi. Podciągam spódniczkę. Klękam i ca-

łuję jej uda. Wkładam rękę w jej krocze i pieszczę lechtaczkę. Kiedy się podnoszę spotykam coraz bardziej wilgotne, pachnące stepem czy spaloną trawą jej wilgotne wargi. Po policzkach spływają krople deszczu? Ktoś pojawia się w drzwiach balkonowych.

Silvia natychmiast wstaje i podchodzi do barierki tarasu, prosi o papierosa.

— Mam dla ciebie złe wieści. Alberto siedzi w więzieniu.

— Alberto...twój narzeczony, który chciał uciec do USA. Może wreszcie dowiem się o nim czegoś więcej. Dziwne, że nawet José Antonio, który tyle mówił o tobie, zwykle nie wspominał o Alberto.

— Niczego nie ukrywaliśmy przed tobą. Nie mówił o Alberto bo tego sobie nie życzyłam.

— Czy wiesz — pytam — że gdyby przelatował nad nami amerykański helikopter, potrafiłby wykryć twój ognek papierosa i wskazać gdzie jesteś?

— Tutaj na balkonie?

— Tak.

— I co myślę o Alberto?

— Tego nikt nie potrafi wykryć, jeśli sama nie powiesz.

— A grecka maszyna do wykrywania prawdy?

— Powiedz, gdzie złapali Alberto?

— Na Santa Maria. Już na morzu. Mieli łódź motorową, a on tratwę.

— Gdzie siedzi?

— W Kombinacie del Este.

— Odwiedzasz go w więzieniu?

— Byłam na rozprawie i ...

Przyciągam ją znowu do siebie i mocno całuję. Nie czuję oporu z jej strony, tylko ostry zapach jej przepoconego swetra. W tej samej chwili wołają nas z pokoju, żebyśmy przyszli spełnić toast. Do wyboru jest azerbejdżański koniak i kubański rum caney. Widzę jak jeden z biesiadników w pośpiechu wyjmuje rękę spomiędzy ud swojej partnerki, aby móc podnieść kieliszek. Do wypicia toastu jednak nie dochodzi, ktoś chce wypić „za wolną Kubę”, ktoś inny głośno i ironicznie się śmieje. Margaret intensywnie się we mnie wpatruje. Przekrzykując gwar pyta: „Po co przyjechałeś na Kubę?”.

— Dla niej...

— Dla kogo?

— Dla Silvii.

— To zabierz ją ze sobą.

— Tak, zabiorę.

— Nie odważysz się.

— Nie martw się o to.

Margaret zrywa się z krzesła, podchodzi do Silvii, zbliża się na odległość wyciągniętej ręki i teraz jej zadaje pytanie:

— Wierzysz mi?

— Tak, wierzę.

— To przestań wierzyć. Nigdzie stąd nie wyjedziesz. Tam nie mogłabyś żyć, tam nie wytrzymasz. Jesteś czarna, nie widzisz tego?

Silvia odwraca się i wybiega na balkon. Idę za nią.

— Margaret mówi bzdury, jest pijana.

Silvia obraca się do mnie, obejmuje mnie ramionami, całuje w usta. Przytula się swoim policzkiem do mojej twarzy i mówi:
— Nie, to prawda. Margaret mówi prawdę. Około północy mieszkanie Enrique zaczyna się opróżniać. Wychodzą ostatni goście, niektórzy wracają aby wypić jeszcze po kieliszku. Na ulicy jest paskudnie. Leje. Woda przedostała się też z balkonu na klepkę w pokoju przez szparę pod drzwiami. Silvia przenosi się na fotel, który ktoś opuścił. Margaret znowu wybucha, chcąc dowieść swojej racji, ale Mulatka nie chce jej słuchać. Gospodarze odprowadzają gości. Zostajemy przez chwilę sami.

— Chodź ze mną do hotelu.

— To niemożliwe. Muszę wracać do domu.

— Dlaczego?

— Nie widzisz, włosy mi się skręciły. Słysząc trzask zamykanych na dole drzwi i huk

ulewy. Silvia podchodzi do okna i wodzi palcem po szybie.

— Dobrze, powiem ci dlaczego. Wyszłam za męża.

— To niemożliwe.

— Miałam czekać na ciebie?

— Dlaczego mi nie napisałaś?

— Czy to coś zmienia? Nie mogłam być sama. Czy miałam żyć nadzieją, że przylecisz, aby mi powiedzieć, jak bardzo mnie kochasz i pożądasz. Uciekłam braciom mojego męża z dworca, do ciebie. Ale nie pójdę z tobą. Nie będziesz, moim mężem, bo jesteś obcy i biały. Biały i obcy, obcy i biały! Słyszysz co mówię, słyszysz? Słuchaj!

1 zupełnie niespodziewanie także chyba dla samej siebie, Silvia z całym rozmachem bije mnie w twarz, poprawia drugą ręką, i znowu. Teraz bije pięścią.

— Jesteś obcy, jesteś biały, dlaczego Bog mnie tak pokarał. Nie jesteś mój! - Znowu bije mnie w twarz. W tym momencie otwierają się drzwi i wchodzi Enrique z żoną. Silvia usuwa się na kolana i obejmuje mnie obydwoma rękoma. Podnoszę ją i całuję jej twarz, usta, policzki, szyję, ręce. Mówię głośno, aby słyszeli gospodarze:

— Przecież wiesz, że cię kocham.

— Kłamiesz — szepcze Silvia. — Kłamiesz. Już nic więcej nie mów.

Odwraca się ode mnie i prosi Enrique o papierosa.

— Gdzie mieszkasz? — pyta ją Enrique.

— W Luyano, pod Hawanę.

— Możemy jechać — mówi Enrique — odwiozę cię do hotelu Roberta.

Nie - krzyczy Silvia — odwieziesz mnie do domu.

Wyjeżdżamy z bocznej uliczki Miramaru na Piątą Avenidę.

Strumienie wody zalewają szybę. Silvia siedzi przy mnie i czuję ostry zapach jej skóry. Najgroźniej jest na moście nad Almendares, który zakrywa rzekę skromnym dachem szerokości kilku metrów. Tutaj fala atakuje ostro, i należało wcześniej skręcić w prawo. Przerrywamy jednak rwący potok nie zwalniając ani na chwilę. Mijamy następnie hotel „Riviera”, zostają już tylko trzy skrzyżowania: La Torre, Conejito i „Habana Libre”.

Już jej nie proszę, aby została ze mną. Wyskakuję z samochodu pod samym hotelem. Patrzę jak Enrique ostro bierze zakręty. Nie mam pojęcia ile wypił, ale nic mu się nie stanie. Świetnie prowadzi samochód. A ponadto jest cudzoziemcem, nikt go nie będzie kontrolował.

Hotel jest ciemny i jego wielki hall zupełnie pusty. Pod recepcją stoi brodaty Amerykanin, który jest odszczepieńcem, bo przyjechał wspomagać antyamerykańską rewolucję. Wjeżdżam na górę, otwieram drzwi. Zapomniałem zgasić światło. Przykładam ręce do policzków, które jeszcze mnie pieką. Patrzę ze złością na komfortowy pokój z dwoma łózkami, do którego nie wolno mi nikogo zaprosić. Kładę się nie gasząc światła, ani wyłączając radia. Czuję pod powiekami grudki piasku.

Śni mi się, że stoimy z Silvia nad rzeką, po jej przeciwnych brzegach. Rzeka zaczyna się rozlewać coraz szerzej i tworzy jezioro. Uciekamy, aby nie utonąć w przeciwnie strony, coraz bardziej się od siebie oddalając. Już jej prawie nie widzę, znika mi w drgającym powietrzu.

— Silvia, Silvia, Silvia — wołam — wróć!

Znowu się obudziłem. Radio nadawało komunikat o wylądowaniu w Rancho Boyeros amerykańskiego samolotu Boeing 727.

Zadzwoniłem do Enrique, aby zapytać, czy bez przeszkód powróciła do domu. Enrique powiedział:

— Bądź spokojny o Silvię, wysiadła jakieś dwie przecznice przed swoim domem, aby nikt nie widział, że cudzoziemiec odwozi ją po nocy.

— Bardzo dziękuję, że ją odwiozłeś.

— Nie rozumiem dlaczego nie zabrałeś jej do siebie na noc.

— Dokąd miałem ją zabrać? Kubanek nie wpuszczają do hotelu.

— I co z tego, przecież znasz Hawanę.

— Silvia wyszła za mąż — powiedziałem i odłożyłem słuchawkę, aby niczego więcej nie tłumaczyć.

Zasnąłem po chwili i w środek snu wdarł się ostry dźwięk dzwonka. W pokoju było już jasno, spojrzałem na zegarek, minęła czwarta nad ranem, telefon dzwonił nad głową.

Podniosłem słuchawkę.

— Mówi Silvia — usłyszałem jej głos. — Dzwonię, żeby się na dzisiaj umówić. Słyszysz mnie?

— Skąd dzwonisz? Zapytałem z nadzieją, że jest na dole w hallu.

— Od siebie z domu, wychodzę do pracy. Chcę cię dzisiaj zobaczyć, Roberto!

— O dwunastej, pójdziemy razem na obiad.

— O dwunastej muszę być jeszcze w pracy. Nie mogę się zwolnić. O pierwszej, dobrze? Przyjadę do hotelu i zadzwonię z dołu. *Adios*, muszę już iść.

Przed ósmą zszedłem do wielkiego hallu „Habana Libre” pod szklaną kopułę nad palmami. Jacyś kubańscy filmowcy wybierali się na lotnisko. Przypomniałem sobie o nocnym komunikacie Radia Reloj. Na lotnisku w Rancho Boyeros wylądował uprowadzony na Kubę samolot Boeing 727, amerykańskiego towarzystwa Northeast Air Lines, który leciał z Miami do Nowego Jorku.

O dziesiątej pojechałem zobaczyć Cordón de la Habana. Jechaliśmy w kierunku Cubanacán, gdzie zbudowano betonowe bunkry Akademii Sztuk Pięknych. Pola kawowe wyrastały ze wszystkich stron z małymi jeszcze, ale prężnymi krzakami.

Zaczął mżyć lekki deszcz.

— Siedemdziesiąt milionów krzewów zasadzono wokół Hawany

— powiedział mój przewodnik Luis Sánchez. — Krzew kawowy żyje około stu lat. Gdybyś przyjechał w połowie XXI wieku, spotkałbyś te same krzewy. A teraz proponuję ci obiad w „Rancho Luna”.

— Wolę wrócić do hotelu.

— Bo nie wiesz, co to jest „Rancho Luna”.

— Zobaczą je kiedy indziej.

— Jutro jedziemy do Varadero.

— W takim razie ominie mnie ta przyjemność.

— Obiad jest zamówiony.

— Zjedzcie obiad sami, a ja wrócę do „Habana Libre”.

— Dlaczego się tak upierasz?

— Umówiłem się tam z dziewczyną.

— Mogłeś mi przynajmniej powiedzieć!

— Ale nie powiedziałem.

— Odwieziemy cię do hotelu.

— Możemy pojechać po dziewczynę i zabrać ją do „Rancho Luna”.

— To niemożliwe. Służbowym samochodem nie wolno wozić żadnej postronnej osoby.

Minęła pierwsza, kiedy dojechaliśmy na miejsce. Wszedłem prędko do hallu, Luis z kierowcą wysie-

dli również z samochodu i szli za mną, ciekawi, z kim się spotkam. Silvia siedziała na żelaznym krzeselku w czarnym swetrze, przesiąkniętym ciągle parującą wilgocią.

Nie używała już perfum, których zapach pamiętałem z ubiegłego roku. Podniosła się natychmiast. Zawsze wstawiała przy powitaniu. Zapytała o papierosy. Wyjąłem pudełko cameli, które kupiłem jeszcze na lotnisku w Montrealu. Wzięła je do ręki i powiedziała:

— Szkoda otwierać. Zapytałem co robiła od rana.

— Przez sześć godzin zwijałam cygara. Dzisiaj wypada dzień pracy ochotniczej, pytali mnie dokąd się spieszę. Powiedziałam, że to sprawa osobista.

— Nie martw się tym. Przynajmniej zjemy razem obiad w hotelu.

— Nie jestem odpowiednio ubrana na taki hotel i włosy mam w nieładzie.

Wchodziliśmy wysokimi schodami na górę. Zerkąłem na jej profil i cieszyłem się, że jest ze mną. W Sali Ambasadorów naprzeciw wejścia zobaczyłem przy stoliku Luisa z kierowcą. Skinąłem im głową, dziwiąc się, że nie zapraszają, abym się przysiadł do nich z dziewczyną. Jakby się umówili, jakby coś ich urzekło, nie podnosili oczu wpatrzeni w blat stołu. Usiadłem z Mulatką przy sąsiednim stoliku. Wybrała z karty filet z *pargo* i zupę kremową. Po chwili podszedł kapitan sali i zapytał, czy Silvia jest gościem hotelowym.

— Jest moim gościem i sam za nią zapłacę.

- Obsługujemy wyłącznie gości hotelowych.
- Może da się coś zrobić — usiłowałem ratować sytuację.
- Słyszał pan co powiedziałem. Wyszliśmy do hallu na pierwszym piętrze. — Napijemy się rumu z coca-colą.
- *Sólo para huéspedes*. Tylko dla gości hotelowych — powiedziała ze śmiechem i na znak, że sprawę całkowicie zignorowała, weszła ze mną za bambusową ścianę baru. Usiedliśmy na wysokich stołkach. Zapytałem kelnera, czy poda nam dwie carta blanca. Nie odpowiedział na pytanie, ale po chwili przyniósł dwie szklanki z lodem, wlał do nich rum caney i postawił butelkę z coca-colą.
- Od chwili kiedy spotkałem Silvię na dole, w hallu, zastanawiałem się, czy powinienem jej to powiedzieć. Mógłbym zataić, ale obawiałem się, że może jej grozić jakieś niebezpieczeństwo.
- Enrique wie, że jesteś mężatką. Spojrzała zdumiona i zaskoczona.
- Przecież miałaś nikomu nie mówić.
- Nie mogłem wytrzymać bez ciebie pierwszej nocy po twoim powrocie z Camaguey. Zadzwoiłem do Enrique.
- Byłeś zazdrosny.
- Pytał dlaczego nie zostałeś ze mną.
- Nie musiałeś tłumaczyć. Teraz będę miała zamkniętą drogę do jego domu.
- To niczego nie zmienia.

— Owszem. Mężatka należy do mężczyzny. On to wie, będzie się bał ze mną spotkać, nawet gdybym potrzebowała jego pomocy.

Muszę już wracać. Nie mam ochoty na drinka.

— Zapraszam cię na fiestę.

— Kiedy?

— W piątek wieczorem, o wpół do dziesiątej.

— Czy będą tam Kubańczycy?

— Ela Calvo, René Portocarrero i Rosita Fornez.

— Nie pójdę na tę fiestę.

— Dlaczego?

— Nie mam w czym.

— Możesz włożyć białą bluzkę i zieloną spódnicę.

— Wykluczone. Dziękuję, że pomyślałeś o mnie.

— Jutro wyjeżdżam do Varadero.

— To dobrze, mój mąż wraca z Camaguey.

— A dzisiaj? Masz trochę czasu wieczorem?

— Muszę już iść.

— Do zobaczenia.

Wstała z barowego stołka, ale nie odchodziła.

— Mam jeszcze dwie godziny. Opowiedz mi o sobie. Ciągłe mnie pytasz, a nic nie wiem o tobie.

— Tęskniłem za tobą cały rok, nie wiem, czy jeszcze kiedyś spotkamy się w życiu.

Milczała.

— Zostań dziś ze mną.

— To niemożliwe.

— Bardzo cię pragnę — mówiłem biorąc ją za rękę i całując w ciemną skórę po zewnętrznej stronie, odwracając ją i całując jasną skórę dłoni.

— No powiedz... — nie dokończyłem. — Jadę do Varadero — powtórzyłem. Przyjęła to z wewnętrzną ulgą, jakby spadł jej ciężar z głowy. — Kiedy wrócę, może będziesz w lepszym nastroju?

— Chcesz pójść ze mną do domu Clary Luz Marii? Pamiętasz Wenezuelkę?

Jechaliśmy przez długie, nie kończące się miasto. Tłok był w autobusie i ona trzymała się niklowego drążka nad głową. Wysiedliśmy przy Trzydziestej Siódmej. Wszystko było znajome, jakbym nigdzie nie wyjeżdżał i przyszedł tutaj po tygodniu nieobecności. Tak samo ludzie spoglądali na nas ze zdziwieniem i ciekawością.

— Chodzimy po własnych śladach. Ale to już jest inna Hawana. Ja także jestem kimś innym niż tamtą dziewczyną, którą niosłeś na rękach do baru „Centro Vasco”. Ten bar jest teraz zamknięty. Ty też się zmieniłeś. Musiałeś przeżyć wiele rzeczy beze mnie. Nie ma już Perli. Wyjechała do Francji. Popatrz na mnie uważnie jeszcze raz. Co zauważyłeś w mojej twarzy?

— Dojrzałość.

— Kiedy wrócisz tutaj za kilka lat, nie będziesz chciał już na mnie patrzeć. Zestarzeję się.

Stanęliśmy w parku zaciemnionym konarami i liśćmi wielkich kroczących drzew, które zdawały się wychodzić nam naprzeciw.

— W ubiegłym roku zapewniałaś mnie, że człowiek, którego kochasz, jest dla ciebie całym świniem i mogłabyś położyć się z nim nawet w rowie, nawel na kamieniu. Zrobiłabyś to ze mną?

— Człowiek, z którym jestem, kocha mnie. Chcę urodzić mu dziecko i nie bać się bez przerwy, że nie będę wiedziała, czyje ono jest? Odprowadź mnie do autobusu.

— Mieliśmy odwiedzić Wenezuelkę.

— Jeśli chcesz. Dawno jej nie widziałam. Pobrali się z Rolandem, wiesz, z tym Brazylijczykiem, który mówił, że jesteś niebezpieczny. Wyobraź ich sobie, on ma troje dzieci i ona też trójkę własnych, ale wyglądają na zadowolonych.

Dotarliśmy do przystanku autobusu 132, który miał zawieźć Silwię na drugi koniec miasta. Zapadła tropikalna noc. Mulatka miała wezwanie do Komitetu Obrony Rewolucji na godzinę dziewiątą i bała się, że nie zdąży.

— Dlaczego ty byłeś z nimi, to znaczy z Rolando i z Clarą przeciwko mnie? — zapytała w pewnej chwili. — Powiedziałeś, że u nas jest dobrze, a u nas jest źle i ty wiesz o tym. Im jest lepiej, bo są cudzoziemcami i posiadają specjalne uprawnienia, których nas pozbawiono. Tobie jest łatwiej, bo przyjechałeś tutaj na krótko i mieszkasz w hotelu dla cudzoziemców. Jeżeli nie chcesz widzieć naszej udręki, to znaczy, że brak ci wrażliwości.

Nadjechał autobus 132, wstała z kamienia, na którym przykucnęła. Odjechała, stojąc w otwartych drzwiach autobusu. O świcie wyruszyłem do Varadero. Via Blanca była o tej porze pusta. Przejechaliśmy przez Matanzas, a dalej była już Camarioca, miasteczko i port, które zapamiętałem z kolorowych fotografii z cza-

su, kiedy pół Kuby emigrowało stąd do USA. Kotłowało się w niej od ludzkich dramatów i wielkie były nadzieje i radość tych, którzy znaleźli się po drugiej stronie bariery. Było to również centrum przemytu, kontrabandy i wszelkich uroków życia.

Deszcz i słońce zatarły ślady tamtego czasu i Camarioca stała się ospałym i sennym miasteczkiem. Dawne szaleństwa, radość i groza opuściły to miejsce razem z ludźmi, którzy stąd odpłynęli w daleki świat. Królewskie palmy, na których pniach wycinano słowa—zaklęcia dochowały wierności zakochanym. Ich korony wystrzępił wiatr, słońce bardziej pożółciło liście.

Hotel „Internacionar w Varadero był jeszcze nowy, ale już zrujnowany. Woda z popękanych rur zalewała podłogi, okna się nie zamykały. Klucze nie pasowały do zamków. Sufity przeciekały.

Hall był prawie pusty. Luis podał mi klucz do pokoju i kiedy weszliśmy do windy ukloniłem się windziarce, pytając „*como esta?*” („Jak się czuje”), czym wprowadziłem Luisa w zdumienie. Takie pytanie zadaje się tu tylko znajomym. Windziarka przyznała natychmiast, że znamy się od dawna. Po chwili weszliśmy z Luisem do baru, w którym można było dostać rum caney z coca-colą albo cañada dry. Luis chciał się dowiedzieć skąd znam windziarkę. Naprzeciw nas siedziała dziewczyna, wyglądająca na jedną z tych, które przyjeżdżają spędzić tu miodowy miesiąc. Słońce ostro wcisnęło się do środka. Zapytałem nieznajomą, czy chce pozować do zdjęcia. Zgodziła się natychmiast

Wszedł jej chłopak i tutejszym zwyczajem objął ją ramieniem. Fotografowałem ich oboje, przytulonych i nierozdzielnych. Obiad mieliśmy jeść w Salonie Różanym. Było jeszcze wcześniej. Zmieniłem koszulę, włożyłem ciemniejsze spodnie. W portierni zapytałem, o której przyjeżdża autobus z Hawany. Usłyszałem, że o czternastej trzydzieści. Wszedłem w półmrok sali rozjaśnionej kolorowymi światłami i muzyką. Na estradzie koncertował kwartet muzyczny Los Memes. Usiadłem przy pierwszym stoliku, tuż przy samej scenie. Za chwilę przyszedł Luis i znowu pytał, skąd znam windziarkę. Na prawo od nas przy stolikach siedzieli „*los gusanos*”, co znaczy robaki. Tak obraźliwie nazywano tu ludzi, którzy za dzień, dwa, a najdalej za tydzień lub miesiąc mieli na zawsze opuścić wyspę. Ci obok nas byli milczący. Przeważnie starsi, wśród nich jednak i młodzi, kilka dziewcząt, a także dzieci.

Musieli być w stresie. Traktowani tutaj jako obywatele piątej kategorii, tylko dla tego, że postanowili opuścić wyspę, zostawiali całe swoje życie, bliskich i znajomych, domy i pejzaże młodości i wyruszali w nieznane, aby tylko uwolnić się od przymusu i terroru rewolucji. Teraz byli jeszcze grzeczni i pokorni w obawie, by nie odebrano im pozwolenia na wyjazd, tego *permiso de salida*. Z ufnością spoglądali tylko w stronę Florydy. Zapewne już w tej chwili czuli się cudzoziemcami we własnej ojczyźnie.

Kapitan przyniósł cygara. Wybrałem cztery, aby mieć na popołudnie. O czternastej trzydzieści wy-

szedłem przed hotel i skierowałem się w stronę dworca. Zauważyłem, że Luis wyszedł za mną, ale zatrzymał się w połowie drogi i obserwował mnie z daleka. Autobus spóźnił się ponad pół godziny, trzeba było czekać w piekącym słońcu, ale nie odczuwałem spiekoty, dopóki miałem nadzieję, że przyjedzie nim Silvia. Kiedy jednak leyland wyładował pasażerów i nie znalazłem wśród nich Mulatki, wróciłem na plażę przed hotelem. Cała była zasłana sinoniebieskimi balonikami pęcherzyków, które schły w słońcu, a wiatr unosił je w stronę lasu. Podążyłem za nimi. Uszedłem z kilometr, a może i więcej, wpatrując się w wąski pas nadbrzeżnego piasku. Uskakiwałem przed drobną falą, która podchodziła mi pod nogi chwilami łasząc się, to znowu atakując moje stopy, za słaba jednak, żeby opryskać nogi powyżej kostek. Obejrzałem się i zobaczyłem Luisa, który szedł za mną w dużej odległości.

Tuż przy lesie spotkałem dwie kobiety, właściwie dziewczynę i kobietę, które wygrzewały się w słońcu, jedna czarniejsza od drugiej. Młodsza poprosiła o papierosa, ale nie zatrzymała mnie i szedłem dalej w stronę widocznego na widnokręgu ni to zamku, ni to pałacu, którego nie znałem, ani też nie potrafiłem określić odległości, w jakiej się ode mnie znajdował. Znowu się obejrzałem, Luis gdzieś zniknął. Być może zatrzymał się, aby się zbyt do mnie nie zbliżyć.

Nie opuszczały mnie baloniki, które schły na niebiesko. Było pusto. Nostalgia tropiku, przed

którą ludzie bronią się muzyką i alkoholem, dawała teraz o sobie znać. Jeśli Silvia nie przyjedzie, powrót do Hawany wydał mi się już bezcelowy. Zacznie się wspomnianie miejsc i dawnych spotkań. Nie zrobiłem jej żadnego zdjęcia, które pragnąłbym zachować. Zdjęcia są okrutne, sprawiają dodatkowy ból.

Pająk wyskoczył mi spod nóg i z zadziwiającą prędkością zaczął biec po miłkim i sypkim piasku wspinając się pod górę, aż zniknął u stóp lasu.

Zatrzymałem się, aby sprawdzić, czy Luis w dalszym ciągu mnie śledzi, ale stał się niewidoczny. Wiedział, że donikąd nie dojdę i być może spaso-wał. Zawróciłem patrząc na pająki i kraby, które chowały się przede mną do swoich kryjówek w mokrym piasku.

Fala też się przede mną cofnęła nie chcąc obmywać moich stóp.

Nie zwróciłem uwagi, że zmierzam na spotkanie z czarną dziewczyną, którą uprzednio poczęstowałem papierosem. Teraz

klęczała na piasku i milczała, ale patrzyła w taki sposób, że nie mogłem jej wyminąć. Przystanąłem i zapytałem, czy już się

kapąła. Odrzekła, że jeszcze nie, bo sama boi się wejść do wody.

— Woda jest za zimna dla Kubańczyków.

— Ale ja jestem z Luandy.

Roześmiała się. Była duża i silna, zupełnie czarna. Miała też duże piersi w przezroczyście biustonoszu i długie, grube uda. Jej figi ledwie zasłaniały seks. Czarne włoski łonowe wychodziły na zewnątrz, na co nie zwracała uwagi. Śmiała się i pokazywała przy tym niezwykle białe zęby.

— Co robisz na Kubie?

— Doktorat.

— Z czego?

— Z handlu niewolnikami w ubiegłym wieku.

— Poznajmy się.

Wyciągnąłem do niej rękę. Podała mi swoją. Spojrzałem na jej długie paznokcie pomalowane aż w trzy kolory: czerwony, żółty i niebieski. Podniosłem jej rękę do ust i pocałowałem. Nie wypuściłem już ze swojej. Przyciągnąłem ją lekko, ale zdecydowanie do siebie. Nie stawiała oporu.

— Uciekaj, będę cię gonił.

Puściłem jej rękę. Natychmiast odwróciła się i pobiegła przed siebie zostawiając ślady na mokrym piasku. Teraz dopiero zobaczyłem jaka jest dynamiczna. Biegła tak szybko, że zostałem daleko w tyle. Nie oglądała się za siebie. Chciałem ją zawołać, ale nie znałem jej imienia. Biegłem nadal i ona ciągle uciekała, ale już nieco wolniej. Dogoniłem ją zupełnie zdyszany. Jej oddech był także krótki i nierówny. Pociągnąłem ją do rozgrzanej wody i opryskałem na płyciźnie. Wypłynęliśmy na głębinę, okazała się lepsza ode mnie. Ruchy miała szybsze i lżej unosiła się na powierzchni. Ginęła pod falami i znowu się wynurzała.

Zawróciłem do brzegu. Razem brodziliśmy trzymając się za ręce.

Goniła nas silna fala. Morze zaczynało przybierać.

Stałem niezdecydowany w tej płytkiej wodzie i nie wiedziałem co jej zaproponować. Może umówić się na wieczór?

Wyrwała swoją rękę i pobiegła przez plażę w stronę tropikalnych jałowców i świerków. Położyła się na plecach na granicy plaży i lasu. Uklękłem przed nią, pochyliłem się i pocałowałem ją w usta. Oddała pocałunek z zamkniętymi oczyma. Przytulilem się do jej mokrego ciała i wtedy ona podniosła się i przyciągnęła mnie silnie obydwoma rękoma. Położyłem się na niej. Zrzuciła mnie z siebie i stur-laliśmy się po piasku, do jakiegoś zagłębienia, które musiała pewnie wcześniej zauważyć. Igły tropikalnych świerków oblepiły nas na równi z piaskiem plaży. Byliśmy ciasno ze sobą spleceni i Murzynka szeptała mi coś do ucha, ale nie rozumiałem słów. Nie słuchałem jej, przesunęła ręką wzdłuż mojego brzucha, dotknęła penisa i wyłowiła go ze slipów. Pieściła w dłoni coraz mocniej ściskając. Kiedy stwardniał i podniósł się do góry, jednym ruchem ściągnęła figi. Położyła się na mnie i rozsunała uda, odchyliła się do tyłu i wprowadziła go w siebie. Dosiadła mnie jak konia i rozpoczęła trucht, przechodząc do galopu. Spod zmrużonych powiek obserwowałem jej duże i sprężyste ciało. Zrzuciła biustonosz i dawała mi ssać sutki swoich obfitych piersi. Jej biodra poruszały się w rytmicznym ruchu miłosnych starć. Wreszcie krzyknęła coś, czego nie zrozumiałem i zmartwiła lgnąc całym ciałem do mnie. Już po chwili podniosła się i pocałowała mnie w usta. Kiedy wybuchłem spermą w jej pochwie, przywarła do mnie całą siłą swoich bioder. Nie pozwoliła mi zasnąć na piasku, brała mnie w siebie, prze-

wracała się na plecy, obejmowała ramionami i udami, które zaciskała na moich plecach. Kochaliśmy się niebaczni świata, ludzi i stworów morskich. Nie mam pojęcia ile czasu byliśmy ze sobą. Wstaliśmy dopiero wówczas, kiedy słońce schowało się w morzu i zapadł zmierzch. Chłód nadchodzący z wieczornym przyływem zdołał ostudzić nasze zmysły. Wiatr niósł bryzę i woda podchodziła coraz wyżej, zalewając plażę. Wracaliśmy zupełnie wyczerpani i szczęśliwi ze spełnienia. W Interhotelu zaczynał się show.

— Jak masz na imię?

— Ines.

— Pójdiesz ze mną posłuchać „Los Memes”.

— Muszę opiekować się siostrą. Jest chora. Przyjdź rano na plażę.

Szukała w koszyku długopisu i papieru, ale nie mogła ich znaleźć. „Jestem Ines” powtórzyła i podała mi numer telefonu, pod którym mogłem ją znaleźć.

Towarzyszyła mi aż do hotelu, na pożegnanie musnęła mnie wargami i natychmiast zniknęła w zupełnej ciemności, wśród łoskotu nadciągającej burzy.

W barze „Caribe” już zaczął się show. Usiadłem przy stoliku Luisa. Przed nami na estradzie kobieta-wąż i mężczyzna-niedźwiedź śpiewali kuplety.

Luis nachylił się do mnie i wyszeptał:

— Byłeś świetny, a ona pruła się jak koronka.

— Skąd to wiesz?

— Moja ekipa wywiadowcza mi doniosła.

— Podglądałeś?

Nie zdążył odpowiedzieć. Wstałem od stolika i wyszedłem z kabaretu. W pierwszej chwili się zerwał, aby mnie ścigać, ale kiedy zamykałem drzwi zauważyłem, że usiadł na swoim miejscu.

W numerze przebrałem się w gruby sweter, aby zejść na plażę. Słone odpryski fal docierały aż pod sam hotel. Świat spowity był w ponurą szarość. Zaraz za progiem natknąłem się na Luisa.

— Dokąd idziesz?

— Na plażę.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale go wyminąłem. Niestety po plaży nie dało się spacerować. Schroniłem się w budce ratowniczej i przestałem tak dobrą godzinę wpatrując się w zauroczeniu w szalejący żywioł i rozdzierające niebo smugi błyskawic. Wróciłem do hotelu i zapytałem w portierni, czy mógłbym zadzwonić do Hawany. Okazało się, że łączność jest zerwana.

Nazajutrz wróciliśmy do Hawany. Sprawdziłem mój box w portierni, był w nim tylko klucz od numeru. Ledwie znalazłem się w pokoju, rozległ się ostry dźwięk dzwonka. Enrique zapraszał na pożegnalną kolację.

— Kogo będziemy żegnać?

— Ciebie.

— Jeszcze mi zostały trzy dni pobytu.

— Właśnie dlatego cię zapraszam. Może z kimś przyjdiesz?

— Tak, z Silvią.

Odłożyłem słuchawkę i natychmiast zadzwoniłem do centrali hotelowej, powiadamiając, że gdyby

dzwoniła Silvia, należy jej podać numer telefonu, pod którym będę się znajdował w ciągu najbliższych godzin. Podyktowałem numer Enrique i wyszedłem z pokoju. Wróciłem dopiero około godziny drugiej nad ranem. Hall był pusty, portier dał mi razem z kluczem kartkę, na której był wypisany tylko telefon, którego nie mogłem skojarzyć z żadnym znanym sobie charakterem pisma. Wjechałem na górę, aby z pokoju się z nim połączyć. Bezskutecznie.

Nie wiedziałem, która była godzina. Otwarte i nastawione na stację Reloj Nacional radio nie nadawało już informacji, zegarek zatrzymał się na drugiej piętnaście. Usłyszałem przez sen pukanie. Przez chwilę nie mogłem się zorientować, gdzie jestem i skąd ono dochodzi. Nierozbudzony wstałem z łóżka i otworzyłem drzwi.

Zobaczyłem Mulatkę. Weszła do pokoju z absolutną pewnością, że przynosi mi szczęście. Piękna jak sen, który śniłem na jawie. Wszedłem na przyjęcie do ambasady i przy powitaniu konsul powiedział:

— Jak to dobrze, że przyszedł pan bez tej czarnuchy.

— Dlaczego dobrze?

— Lepiej dla niej.

— Gorzej dla mnie.

Najpierw odczuwałem głód, jadłem dość żarłocznie jakieś mięso, kurczaka czy szynkę, było mi nawet obojętne, że zwrócę na siebie uwagę. Pode-

szła do mnie hawańska aktorka, którą poznałem przed laty i zapytała, dlaczego jej nie odwiedziłem.

— Nie miałem czasu.

— Dla mnie?

— Dla ciebie.

Uśmiechnęła się niezdecydowanie i już nic więcej nie powiedziała odchodząc w cień. Kelner roznosił na tacy w ogrodzie rum bacardi pod nową nazwą caney. *Los caneyes* — po polsku Caneyowie, byli prekolumbijskimi mieszkańcami Kuby, już od wieków nie istnieją, kompletnie wyniszczeni. Teraz rum otrzymał ich imię. Kelner Jorge tylko na przyjęciach był kelnerem, w dzień grał inne role, występując jako kierowca, tragaż, pomocnik murarza, ogrodnik, a nawet jako przewodnik po Hawanie.

Krażyłem wśród gości, aby zapamiętać twarze tych, których lubiłem. Chodziłem po ogrodzie, aby jeszcze raz rzucić okiem na drzewa, które rodzą najdłuższe na świecie strąki. Wypić jeszcze jedną lampkę rumu, którego już nigdzie w całej Hawanie nie można dostać nawet na lekarstwo.

Przed północą zdałem sobie sprawę, że zostało mi kilkanaście godzin pobytu na wyspie i nie spotkam już Silvii. Wyminąłem tańczące na posadzkach ambasadzkich salonów pary i skryłem się w służbówce, aby wykręcić dawny numer Mulatki.

Nie wróciłem na przyjęcie. Wyszedłem na zupełnie pustą Piątą Avenidę, na której zachwycaly mnie doskonale krągłe strzyżone żywopłoty i doszedłem aż do mostu na rzece Almendares. Dobrze kilka kilometrów.

W hotelu nastawiłem znowu stację *Radio Reloj Nacional*, która nadawała o tej porze wiadomości i piosenki o uprawie kawy. Otworzyłem drzwi na balkon, żeby spojrzeć na uśpione miasto i zobaczyłem, że od morza nadciąga świt. Nad dachami domów krążył czarny sęp, aura tiñoza, szukający ofiary.

Kilka minut po piątej usłyszałem przez sen dzwonek telefonu. Wiedziałem na pewno kto mnie budzi. Silvia zapytała, o której wyjeżdżam na lotnisko.

Przed obiadem robiłem zdjęcia, które się nie udały i pojechałem z Enrique kupić upominki do Habana Vieja (Starej Hawany).

Sklepy były jednak puste. Znalazłem kilka masek z kokosów i dwa hawańskie diabelki z morskiej trawy. Punktualnie' o trzeciej Gustavo przyniósł mi obraz hawańskiego prymitywisty Matamorosa. Zaprosiłem go na obiad, który trzeba było prędko zjeść. Zwróciłem uwagę, że luksusowa Sala Ambasadorów zmniejszyła się o połowę, widocznie ustawiono nowe przegrody, bo gości było coraz mniej. Byliśmy przy kawie, kiedy wszedł do sali amerykański student-rewolucjonista, najwyraźniej podniecony podszedł do naszego stolika i wykrzyknął:

— Jadę robić rewolucję!

— Dokąd?

— Na zafre, do ścinania czciny cukrowej w prowincji Camaguey.

— Gratuluję, wreszcie na coś się przydasz.

— Najważniejsze są warunki do działania, reszta zależy ode mnie.

Wróciłem do pokoju i poprosiłem pokojówkę, aby pomogła mi poukładać rzeczy w walizce. Podarowałem jej za to zupełnie nową męską koszulę. Kończyłem się golić, kiedy Silvia zadzwoniła z dołu.

— Czekam na ciebie w hallu.

Zjechałem na dół z jesiennym płaszczem na ręku. Silvia stała przy aparacie telefonicznym i uparcie wykręcała jakiś numer.

Podbiegła do mnie zupełnie zrozpaczona:

— Nie mam czym jechać na lotnisko, czy mogę wsiąść z tobą do służbowego samochodu radiowego?

— Nie wiem.

Znalazłem kierowcę, który stał przy recepcji hotelowej i zapytałem:

— Mogę zabrać ze sobą Silvię?

— To nie ode mnie zależy. Proszę zapytać Luisa. Luis stał obok i już się zorientował w mojej szarpaninie.

— Musisz zapytać Pedro.

Pedro był szefem redakcji, która gościła mnie na stażu i przyszedł do hotelu, aby mnie pożegnać.

— Czy mogę zabrać do samochodu Silvię? Kto to jest Silvia?

Ta dziewczyna która stoi przy telefonie.

Tak, rozumiem, ale kim ona jest?

Robotnicą w fabryce cygar w Starej Hawanie.

Możesz ją zabrać, ale nie będzie mogła wejść do sali recepcyjnej dla zagranicznych gości na lotnisku.

Silvia usiadła razem ze mną na tylnym siedzeniu.

Kiedy ruszyliśmy w stronę Rancho Boyeros deszcz się rozpadał na dobre. Powiedziała szeptem nachylając mi się do ucha.

— Hawana płacze po tobie.

Łudziłem się nadzieją, że Iberia się spóźni i trzeba będzie czekać kilka godzin na odlot, jak tutaj często się zdarzało. Ale kiedy tylko wysiadłem z samochodu dało się odczuć ten gorączkowy ruch, który wskazuje na zbliżający się start. Zobaczyłem, że kończą tankować DC-8 Super.

Szukałem jeszcze drobiazgów na podarunki. W stoiskach handlowych można było dostać muszle, lampy z abażurami, torby z trawy morskiej, czerwone koralowce, a także sznury koralu Santa Juana.

Było to także jedyne miejsce na wyspie, gdzie ktoś wyjeżdżający za granicę mógł kupić rum i cygara. Stąd nagła pokusa, żeby ofiarować Mulatce na pożegnanie butelkę rumu caney.

Zapytałem ile butelek mam prawo kupić. Ekspedient postawił przede mną na ladzie aż pięć. Wówczas szepnąłem, chociaż ten szept był nieco za głośny:

— Chciałbym je podarować mojej przyjaciółce Silvii, która mnie odprowadza i teraz...

Sprzedawca przerwał natychmiast moje wyjaśnienie:

— Zapakuję rum do pudła i znajdzie pan je u siebie pod siedzeniem w samolocie.

— Nie trzeba, sam je wezmę, proszę się nic trudzić.

— Takie mamy zarządzenie. Nic na to nie poradzę.

Włożył rum do podłużnego kartonu z wymalowanym słońcem wyspy i owiązał sznurkiem. Podał mi numerek. Już wołali do odprawy celnej.

— Chciałem ci coś zostawić w upominku — powiedziałem do Silvii — ale nie mam nic prócz serca.

— To przecież najważniejsze.

Otworzyły się drzwi do wyjścia na pas startowy. Deszcz zahuczał ulewą. Kiedy dochodziłem do samolotu, tragarz chciał mi wręczyć, pudło z rumem caney.

— Proszę to oddać Mulatce Silvii! — krzyknąłem mu do ucha, aby zagłuszyć warkot motorów, ale człowiek niosący rum nie zrozumiał. Wtedy powtórzyłem i moje słowa musiały do niego dotrzeć, zaprzeczył jednak gwałtownie głową i biegł obok niosąc pakunek.

Oddałem stewardessie kartę startową i wszedłem na schodki samolotu nie oglądając się na niego. W chwili, kiedy zapinałem pasy, ta sama stewardessa podała mi elegancko opakowane pudło z rumem caney.

Deszcz padał bez przerwy. Silvia nie mogła wyjść na taras, ale nawet mimo deszczu musiała zobaczyć jak DC-8 Super poderwał się do lotu i skierował na północ, przecinając niebo nad miastem.

Księżniczka Yoruba

Wyszła z bocznego pokoiku bosa, w koszuli tylko, z głową w afro. Wymówiła w zdumieniu moje imię. Coś jeszcze dodała, ale nie rozumiałem. Odniosłem wrażenie jakby w dalszym ciągu nie była pewna z kim ma do czynienia. Postanowiłem przypomnieć jej szczegóły naszej znajomości. Wymieniłem kilka z nich, opisałem też „naszą” samotnię pośród kłaczy i korzeni nadmorskich drzew wtopioną w łachę piasku na plaży w Barracooa. Uśmiechnęła się ironicznie i podała mi swoją szczupłą, właściwie chudą rękę, po czym spojrzała na chłopca.

— Ulisses, przywitaj się z wujkiem. Chłopiec nawet się nie poruszył.

— Kochałaś się teraz? — zapytałem.

— Usłyszałam, że ktoś puka i zerwałam się z łóżka, aby zobaczyć kto przyszedł.

— Ale nie byłaś sama w tym łóżku — powiedziałem nonszalancko, a właściwie beczelnie.

Nic nie odpowiedziała. Nie udało mi się znaleźć odpowiednich słów, ani kontrolować tego co do nich

mówiłem. To zazdrość przeze mnie mówiła. W jednej chwili zrozumiałem, dlaczego musiałem tu przyjechać. Jeszcze raz, pewnie ostatni w życiu, ją zobaczyć. Był to niekontrolowany nakaz mojej podświadomości. Niezwykła uroda Silvii znowu mnie poraziła. Oparłem się o drewnianą ścianę i patrzyłem na Mulatkę, która stała przede mną na wpół obnażona w upale, który rozmiękczał mózg i pozbawiał rozsądku.

Wpatrywałem się w jej zbite jakby w kołtun włosy, gęste i lśniące w słońcu kolorem czerni przechodzącym w granat. Na jej brązową twarz Mulatki, na której wyraźnie rysowały się wystające kości policzkowe i nieco spłaszczony u nasady nos, grube wargi. Zachwycaly jej zielone oczy. Sam Pan Bóg musiał być przy poczęciu. Najwspanialsze były jednak nogi, nieskończenie długie, obnażone uda, które przyprawiały o zawrót głowy. Unikałem widoku jej rąk. Bałem się na nie spojrzeć. Palce i ręce ludzi kolorowych, a szczególnie kobiet, schną już po trzydziestce. Moje obawy były bezpodstawne, Mulatka nie miała jeszcze trzydziestu lat. Mogłem patrzeć na jej ręce, ale najbardziej podniecały mnie jej smukłe i błyszczące od potu uda. Oderwałem się od ściany i zbliżyłem do niej nie mogąc się opanować, a przecież wiedziałem, że nie wolno mi jej dotknąć. W tym domu z drewnianych i kartonowych ścian niczego nie da się ukryć. Nie mogłem także powiedzieć niczego, co mogłoby ściągnąć na nią jakiegokolwiek podejrzenia mężczyzny, który czekał za ścianą na jej powrót. Ściany

miały szpary, przez które wiał wiatr, sypał piaskiem, ciał deszczem. W tych ścianach nie było okien, tylko oczy i uszy. Pragnąłem dotknąć opuszkami palców jej skóry, gładkiej i błyszczącej czernią. Ileż razy myślałem

O okrucieństwie Boga, który dysponując tak wspaniałą gamą kolorów wybrał dla Silvii czarny, chcąc ją widocznie ukarać za winy jej przodków jeszcze zanim sama mogła czymkolwiek zgrzeszyć. Ale ten właśnie kolor jej ciała mnie zachwyił.

Dotknąć opuszkami palców jej skóry! Nie wolno mi tego zrobić, bo potem nie mógłbym się już opanować. W tym upale. W tej nostalgicznie teatralnej scenerii przygiętych wiatrem do ziemi, wystrzępionych także od wiaru, pożółkłych kokosowych palm.

W tym niezmiennym pejzażu popękanej i zniewolonej palącym słońcem ziemi miłość jest rzeczą tak naturalną, jak dojrzewanie kokosów.

Dotknąłem tylko jej twardych i gęstych włosów. Pochwyciłem wbity we mnie surowy wzrok Ulissesa.

— Jak tam Angel?

— Miguel Angel...

Mocno zmarszczyła czoło, jakby starała się przypomnieć sobie coś, co zdarzyło się bardzo dawno. Miguel Angel był przecież moim rywalem o jej względy. Wówczas zwyciężyłem, bo jestem biały. Nikt z nas trojga nigdy tego nie powiedział, ale przecież było to oczywiste. Miguel Angel zdawał sobie z tego doskonale sprawę, chociaż mogło się wydawać, że dla Silvii tylko on mógł być kimś

najbliższym, bo był czarny, a zatem swój; ale tylko obcy mógł ją stąd zabrać i wywieźć do nieznanego kraju. Pewnie tylko udawała, że nie pamięta. Mogłem ją zabrać z tej wyspy już wtedy, kiedy się poznaliśmy, kiedy nasza miłość gwałtowna i krótka dojrzewała w tym samym pejzażu żółtych palm kokosowych. Już wtedy rewolucja położyła swoją twardą rękę na prywatnym życiu wyspiarzy. Wówczas zwyciężyła w niej siła i nonszalancja młodości. Silvia przychodziła do hotelu, mimo że było to zabronione. Mimo, że groziło to jej wysłaniem do obozu pracy. Byłem jej wdzięczny, że przychodzi do mnie i wydawało mi się, że robi to z tęsknoty za mną i moimi pieszczotami. A dopiero nieco później zacząłem podejrzewać, że przyciągnęła ją do mnie nadzieja na wyjazd w nieznaną i kuszący świat. Nigdy jednak jej o to nie zapytałem.

— Usiądź jeśli chcesz — zaproponowała, ale w tonie jej głosu wyczułem prośbę, abym tego nie robił.

— Przypomnij sobie, byliśmy razem na lodach w Coppelii.

— Zwykle tam chodzę. Coppelia to jedyne miejsce, gdzie można się najeść lodami w różnych smakach i kolorach. Cała Hawana się tam spotyka. Skąd mogę pamiętać, że byłam tam właśnie z tobą.

W jej głosie kryła się uraza. Wiedziałem, że była spowodowana moim długim milczeniem. A milczenie brało się z niepewności, czy mógłbym ją przywieźć do Warszawy i być z nią codziennie przez miesiące i lata, w domu i na ulicy, wśród bliskich

i przyjaciół, wśród białych, bo wszyscy z nich są biali, a ona jedna kolorowa. Lęk przed tym, że nigdy nie zostanie zaakceptowana. Dzieci, które mi urodzi, też będą kolorowe, a zatem obce. W chłodnym klimacie i odmiennym pejzażu północnego kraju jej uroda może zgasnąć, urok rozwieje się wśród śnieżnych pól zimową porą. Jej skóra przestanie lśnić, a radosny uśmiech może zniknąć i prowokacyjna kobiecość przestanie być atrakcyjna. Silvia nie mogła o tym wiedzieć. Chciałem jednak o tym mówić, brnąłem coraz głębiej, aby wywołać z jej pamięci wspomnienia.

— Przychodziłaś wówczas do Habana Riviera w zielonej sukience i delikatnych hiszpańskich sandałkach...

— Nie mów tego. Przecież wiesz, że wyrzucili mnie z hotelu zanim zdążyłam zrzucić pantofle na dywan. Zadzwonili z portierni, abym natychmiast zjechała na dół, bo mi nie wolno przebywać z cudzoziemcem w pokoju. Grozili, że wylecę z roboty.

— Ale później udało się, nawet zamówiliśmy do pokoju rum i kawę.

— Nigdy się nie udało. Widocznie sprowadziłaś sobie inną, a teraz chcesz mi wmówić, że to byłam ja.

Wyczułem w jej głosie złość, a jednak nie dawałem za wygraną, aby sprawdzić co jeszcze zachowało się w jej pamięci. Stałem w dalszym ciągu opierając się o ramę drzwi.

— Usiądź, jeśli chcesz — powtórzyła i patrząc na chłopca czarniejszego od niej ponownie przypom-

niała, że to jest Ulisses, syn Miguela Angela, brat Alejandro.
Popatrzyłem na chłopca i powiedziałem:

— Bardzo urosłeś Ulissesie, nie poznałbym cię na ulicy.

— Nie znam pana — odrzekł chłopiec — mama mi o panu nie mówiła.

Mógłbym być jego ojcem, ale wówczas to nie byłby on. To nie byłby ten sam Ulisses, nawet jeśli nosiłby to samo imię. W każdym razie miałyby jaśniejszą skórę i być może gładkie, proste włosy.

_ Byłby inny... — powiedziałem do Silvii. — Pewnie miałyby niebieskie oczy i może nazywałyby się Jacek.

— Chciałeś mieć ze mną syna? — zapytała zaskoczona i coś jakby uśmiech rozjaśnił jej twarz. Może był to grymas, ale od tej chwili Silvia się zmieniła.

_ Z wyspy nie wolno wywozić chłopców, musiałyby zostać tutaj ze mną. Zapomniałbyś o nim, jak zapomniałeś o mnie. Wysłałam kilka listów, nie otrzymałam na nie odpowiedzi.

_ Nigdy tych listów nie dostałem.

— Prosiłam cię o lekarstwa, nawet się nie odezwałeś.

— Nic nie wiedziałem o twojej prośbie. Patrzyła na mnie z dezaprobatą nie wierząc ani jednemu mojemu słowu.

_ Przysięgam — powiedziałem — nie otrzymałem żadnego twego listu.

Ukląknę przed nią.

— Pół dnia cię dzisiaj szukałem w tym upale. Nelson także nie wiedział jak tutaj trafić. Nikt nie umiał wyjaśnić gdzie jest Czterdziesta Czwarta ulica, przy której mieszkasz.

— Kto to jest Nelson?

— Kierowca Ricarda, którego znasz.

— O tak! Znam Ricarda. Jest znacznie lepszy od ciebie.

— Nie rozczulaj się. Zostawię ci mój telefon do hotelu, jeśli chcesz, zadzwoń.

Nie zareagowała, nie poprosiła o długopis, czy ołówek i kawałek papieru. Patrzyła na mnie z rosnącym rozdrażnieniem, a nawet popłochem w oczach.

— Zadzwonisz?

Przemogłem wreszcie upał. Mój mózg zaczął pracować.

Skojarzyłem sobie, że regulamin hawań-skich hoteli zabrania aby mężczyzna i kobieta zatrzymali się we wspólnym pokoju hotelowym jeśli nie są małżeństwem. A już najzupełniej wykluczone, jeśli któreś z nich jest cudzoziemcem. Miłość hotelowa została zakazana. Pod windą stoi cerber, który domaga się od każdej osoby karty hotelowej. Jeśli komuś uda się bez niej wejść do windy, karty zażąda windziarka. Zakazy łamią najbardziej wytrwałych. Pozostają las posadas. Uświęcone obyczajem pokoje na godziny w podmiejskich hotelach i pawilonach. Można tam dojechać, jeśli ktoś ma odrobinę szczęścia i uda mu się złapać taryfę. Hoteliki te oblegane są przez niezliczone pary zakochanych. Ci, którym szczęśliwy los pozwoli dostać się do

środka przedłużają w nich swój pobyt w nieskończoność. Po prostu nie chcą z nich wychodzić. Kochają się dni i noce, aż do ostatecznego wyczerpania.

Mogłem zaproponować Silvii spotkanie w restauracji hotelu „Lincoln”, jeśli portier zechce ją wpuścić. Bynajmniej, bynajmniej! W hawańskich hotelach nie ma rasizmu obyczajowego. Nie o to chodzi, że Silvia jest Mulatką. Kolorowe dziewczyny są wszędzie mile widziane, ale nie w restauracjach, w których każda porcja jest skrzętnie obliczana, aby wystarczyło dla gości hotelowych.

Pozostaje jeszcze nadmorski bulwar, który tchnie nostalgią za niemożliwym, to znaczy wydostaniem się stąd na stały ląd.

Potężna bariera odgradza miasto od morza. Nawet w pogodne dni fale tłuką gwałtownie w beton, a wyspiarze stoją godzinami i wpatrują się w morską nieskończoność. Czasem i ja to próbuję robić, ale wzrok męczy się dość prędko, jeśli patrzeć w tę bezkresną przestrzeń.

Tubylców prześladowuje uczucie zamknięcia, trapi ich tęsknota za stałym lądem. A kiedy na lotnisku w Rancho Boyeros ląduje samolot, hurmem walą na taras, aby zobaczyć tych, którzy przylatują ze świata. Zwykle jednak stoją wpatrzeni w morze. Młodzi trzymają się za ręce, lub nieprzytomni z pożądania przyciskają się do siebie biodrami w półmroku rozproszonego światła. Dziewczyny siadają chłopcom na kolanach i tkwią tak godzinami w pozornym bezruchu. Inne kładą się na betonowej barierze opierając głowę na podbrzuszu męż-

czynn. Na Maleconie kwitnie ta sekretna miłość, którą zwykle noc bierze w swoją opiekę zakrywając wszelkie jej ułomności. — Przyjdź do hotelu „Lincoln” — zaproponowałem czując, że ogarnia mnie podniecenie na samą myśl, że Silvia wejdzie do mojego pokoju.

— Jeśli chcesz możemy pójść do night clubu. Myśl o nocnym klubie jeszcze bardziej mnie

opętała. Kochałem to fantastyczne i zrujnowane miasto, a częścią mojego zachwyty były night cluby kwitnące w podziemiach, pod ulicami w wydrążonych podziemnych tunelach i komnatach, w których jest tak ciemno, że ciemność przechodzi w zupełną czerń. Aby do nich wejść nie trzeba wbijać się w garnitur, ani wkładać krawatu. Nie wolno tylko wchodzić samemu, ani z drugim mężczyzną. Hawana jest chora na fobię homoseksualną.

W tych klubach panuje niezmienny rytuał. Otwierasz zazwyczaj ciężkie, nawet żelazne drzwi i razem z tobą wciska się do wnętrza smuga światła, która niknie po ich zamknięciu. Z ciemności wyłania się Murzyn, którego prawie nie widzisz. Snop światła z jego latarki pada ci pod nogi. Murzyn prowadzi cię do któregoś z pomieszczeń i wskazuje ci miejsce przy niskim i wąskim stoliku, przy którym zazwyczaj jest tylko jedna ławka z oparciem. Nic nie widzisz, dopóki twój wzrok nie przyzwyczai się do ciemności.

Wtedy dostrzegasz siedzące przy stolikach pary. Słyszysz szepty i śmiechy, od czasu do czasu głośną radość i triumfalny krzyk dziewczyny siedzącej na kolanach mężczyzny. W uszy wsącza

się dyskretna muzyka tropików. Zamawiasz rum bacardi, który na wyspie nazywa się caney, mimo że indiańskie plemiona Caneyów uległy eksterminacji przed wiekami. Murzyn przynosi po chwili zamówienie i świecąc sobie latarką nalewa do szklaneczek ostrożnie i powoli rum, nigdy za wiele. Stawia dwie małe buteleczki z kubańską canada dry i przyjmuje od ciebie pieniądze. Znika natychmiast i wówczas zostajesz sam na sam z partnerką, bo, mimo że w klubie jest wiele par, nikogo innego wokół siebie nawet nie dostrzegasz.

— Pójdziemy do „Arcoiris” albo „El gato tuerto”.

— „Gato tuerto” nie, bo...

Już wiedziałem o co chodzi, „Gato tuerto” nie był prawdziwym night clubem w rozumieniu hawańskim, a raczej salonem towarzyskim.

— Pójdziemy dokąd zechcesz.

Znowu nie mogłem się opanować i pogłaskałem ręką jej długie lśniące udo. Cofnęła się wskazując oczami Ulissesa. Postąpiłem za nią łamiąc tabu, naruszając panujący w tym domu porządek. Pragnąłem, aby poszła ze mną do samochodu i pojechała na plażę Santa Maria, El Nautico, albo Santa Fe. Chciałem znaleźć się z nią jak najprędzej pomiędzy wodą a lasem, wśród drzew, którym morze wymywa piasek spod korzeni. Te korzenie tworzą altanę i w czasie odpływu można przez wiele godzin z niej nie wychodzić. Pamiętałem jak zasypialiśmy wyczerpani miłością i budziła nas dopiero wieczorem bryza zwiastująca forpocztę przyływu. Silvia tuliła

się do mnie jak dziecko, w przeraźliwym strachu, że fala ją porwie w głąb oceanu. Była mokra i zziębnięta, ale szczęśliwa. Teraz chciałem zawieźć ją znowu w to samo miejsce. Wszystko inne było tylko kamuflażem rosnącego pragnienia, które sprawiło, że nie bardzo wiedziałem co mówię i język mi się plątał jakbym wypił kilka kieliszków mocnego rumu bacardi. Nie mogłem powstrzymać się od, przelotnego przynajmniej, dotknięcia jej ud i piersi. Takiego bardzo delikatnego dotknięcia, jak dotyka się dziecko, albo kogoś bardzo bliskiego. Czułem się jak w samolocie podczas burzy, kiedy nie wiadomo co za chwilę się stanie. Czekałem niecierpliwie co Silvia odpowie na moją propozycję.

Na jej twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi, nieco spłaszczonym nosem i wielkimi, gorącymi i wilgotnymi wargami pojawił się lęk. Być może bała się stać ze mną w tej niszy i wbijać wzrok w rozłupany owoc kokosu. Po jej lewej ręce przy ścianie była półka z książkami, stał tam zakurzony i wytarty egzemplarz Hemingwaya „Stary człowiek i morze”, w lichej broszurowej oprawie. Sięgnąłem ręką po książkę, ale tego było już dla niej za wiele.

— Nie mogę tak przerywać — wydusiła z siebie.

Wiedziałem, że chciała powiedzieć coś innego. Nigdy nie była wulgarna. Posiadała naturalną wrażliwość na wszystko, co ją otaczało. Na słowa, zapachy, kolory i gesty. Uraziła mnie teraz jej dosłowność, szarpnęła zazdrość.

— Idź, idź do niego. Wracaj do jego łóżka... Słowa zastygły mi w gardle. Nie miałem do nich

prawa. Każde następne trąciło bezsensem.

Staliśmy naprzeciw siebie. Byłem przy niej tak blisko, że prawie dotykała mnie piersiami. A jednak nie dotykała. Wiedziałem, że jeszcze chwila i nie zdołam się powstrzymać. Wyciągnąłem mimowolnie rękę, wymknęła się delikatnym unikiem. Wówczas pochyliłem się nad Ulissesem. Zanim zdołałem cokolwiek do niego powiedzieć, usłyszałem pytanie Silvii.

— Kiedy przyjechałeś?

— Wczoraj.

— Pytam, kiedy przyjechałeś do mnie?

W jej gorzkim półuśmiechu zobaczyłem bardziej niż cień zalotności, nerwowe skrzywienie ust. Spojrzałem na jej stopy, które zawsze mnie podniecały. Wąskie, szczupłe. Paznokci u nóg nie malowała. Poczulem także miłość do jej stóp, znowu, jak kiedyś. Już wiedziałem, że przez cały ten czas tęskniłem za jej stopami.

— Kto jadł kokos?

— Ulisses. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Przyjechałem do ciebie dzisiaj.

— Skąd masz samochód?

— Od Ricardo. Musisz go pamiętać, ten sam, u którego w domu spotkaliśmy się po raz pierwszy.

— Tak pamiętam. Dał nam wówczas pokój.

— Mogłem cię pocałować, też pamiętasz...

— Nie tylko — roześmiała się z pewnym przymusem. — Muszę już iść.

— Kiedy się spotkamy?

— Teraz nie mogę.

— A wieczorem?

— Wieczorem idę na fiestę z Miguelem Angelem.

— A jutro?

— Jutro Miguel Angel zabiera mnie do rodziców.

— W takim razie nie spotkamy się już nigdy...

— Muszę już iść, bo mnie zbije.

— Nie odważy się.

— On mocno bije. Ma prawo. Należę do niego. Odeszła

wyprostowana i jak zawsze znanym mi

tanecznym krokiem. Ulisses patrzył na obcego dorosłymi oczyma

dziecka. Zaprosiłem go, aby mi towarzyszył do samochodu. Na

szczęście przypomniałem sobie, że mam ze sobą dwie czekolady.

Chłopiec wziął je bez podziękowania. Nie mogłem pogodzić się z

myślą, że w tej chwili, kiedy daję Ulissesowi tę czekoladę Silvia

oddaje się Miguelowi Angelowi. Otwiera dla niego swoje

wspaniałe, lśniące od potu uda. Robi to z poczuciem winy, że

zostawiła go przez kilka minut samego. Ulisses pobiegł do domu.

Kiedy zbliżał się do furtki wyrwałem z notesu kartkę i napisałem

na kolanie: „Czekam o piątej w hotelu Lincoln. Przyjdź konie-

cznie”.

Podpisałem się i podałem kartkę Nelsonowi.

— Zanieś to Silvii.

— Czy mam czekać na odpowiedź?

— Nie, tylko daj to Silvii, najlepiej, aby nikt nie zauważył.

Wracaliśmy Maleconem, tuż nad samym brzegiem morza, na którego powierzchni pojawiły się zmarszczki. Od czasu, kiedy zobaczyłem ten nadmorski bulwar, przyciągał mnie jak magnes. Ilekroć byłem w Hawanie chodziłem, aby go zobaczyć w okolicach Białych Skał, u wylotu Dwudziestej Trzeciej w Vedado. Wieczorami i w nocy obserwowałem zakochanych i ich miłosne igraszki, wracałem samotnie do hotelu z rozbudzoną nadzieją, że coś się może zdarzyć jeszcze tej samej nocy. Zatrzymałem samochód na wysokości hotelu Habana Riviera. Tutaj poznałem Silvię. Zapamiętałem z tamtego czasu rosnący tuż przy podjeździe meksykański kaktus, który wywoływał we mnie wspomnienia jak motyw usłyszanej po latach melodii lub znany zapach perfum. Wówczas Silvia weszła do dużego hallu w zielonej powiewnej spódnicy i białej bluzce. Po raz pierwszy zobaczyłem jej długie uda ledwie zakryte spódniczką. Czekałem na nią pod taflą okna z przyćmionego szkła chroniącego przed szaleństwem tropikalnego słońca. Silvia podeszła do recepcji i nachyliła się mówiąc coś do portierki. Po chwili usłyszałem swoje nazwisko, właściwie nie tyle nazwisko było zrozumiałe, co imię wyraźnie wymówione przez mikrofon, chociaż z obcym akcentem.

Szliśmy po raz pierwszy Maleconem i Silvia mówiła o sobie. Nie wszystko rozumiałem, ale to nie miało znaczenia. Niepotrzebne mi były jej słowa. Patrzyłem zachłannie na jej piersi rozpychające niesfornie stanik, jej uda koloru palonej kawy,

kiedy wiatr od morza szarpał jej spódnicę i zarzucał na głowę. Zachwyty dla jej ciała pożerał wszystkie inne doznania.

Od Maleconu szła bryza. W dole za falochronem woda burzyła się, fale rozbijały się o barierę i rozpryskiwały na całą szerokość bulwaru. Powtarzałem w myślach słowa Silvii: „Nie chcę igrać z ogniem”.

Nelson ostro zahamował, bo naprzeciw wyskoczył amerykański krążownik szos, sprawiający wrażenie, jakby w każdej chwili miał rozpaść się na drobne kawałki, właściwie trup samochodu, z tych co do dzisiaj straszą, jak widma, na ulicach Hawany.

Minęliśmy „El Nacional” i „Dauville”, jechaliśmy w dalszym ciągu Maleconem aż do starej Hawany. Skręciliśmy dopiero przed hotelem „Dauville” i zaraz pokazał się „Lincoln”, perła hawańskiego hotelarstwa, do dzisiaj jego secesyjne sklepienia przypominają utraconą świetność.

Portier otwierał drzwi patrząc z uwagą w twarze wchodzących.

W hallu ustawiła się kolejka do sali restauracyjnej, mimo że do obiadu jeszcze sporo czasu i drzwi do jadalni są zamknięte.

Jedzenie ciągle jeszcze dość obfite. Najlepsze dania to doskonale przyrządzone białe ryby: *cherna* i *pargo*. O owocach czy warzywach trudno marzyć, ale czasem zdarza się, że bywają banany, ogórki i cienko krojone zielone pomidory.

Młode małżeństwa spędzają tutaj swój miesiąc miodowy zredukowany do tygodnia i w tym czasie nie muszą się martwić o jedzenie. Kelnerka przyjmuje także zamówienia na hawańskie wyborne

piwo. Najgłośniejsze i najbardziej gwarne są soboty, kiedy wprowadzają się do hotelu nowożeńcy. Kolorowe dziewczęta z umalowanymi karminem policzkami, upudrowane i eleganckie na wyspiarską modłę, opóźnioną w stosunku do mody kontynentalnej o całe lata. Miłe i potulne wobec swoich partnerów wciskają się do zatłoczonych wind, które nigdy nie stają na właściwym piętrze, zatrzymują się pomiędzy nimi lub zupełnie je ignorują' jeżdżąc bez celu z dołu do góry i z góry na dół. Kolorowe dziewczęta, których twarze w odcieniach poczynając od kawy z mlekiem do nieprzenikliwej czerni hebanu, w pokojach hotelowych stają się namiętymi kochankami domagając się pieśczoć i miłości. Noce wypełniają radosnym krzykiem szczytowania. Samotne nigdy nie zbliżają się do hotelu w obawie przed posądzeniem o uprawianie płatnej miłości, co jest uznane na wyspie za grzech śmiertelny. Umawiają się z cudzoziemcem kilkaset metrów od hotelu, w jakimś zaułku ulicznym, albo przed kinem, w Copelii, w kolejce po lody, czy też na plaży. Nigdy nie wiadomo, czy przyjdą na spotkanie. Szóstym zmysłem potrafią zwęszyć niebezpieczeństwo i ulotnić się w chwili zagrożenia. Rozleniwione w gorącym słońcu, ale chętne do miłości o każdej porze dnia i nocy, w ciepłej przybrzeżnej wodzie morskiej, w pokoju hotelowym, na opuszczonej plaży.

Natychmiast po wejściu do „Lincolna” spostrzegłem Mercedes, która podeszła do mnie zanim zdążyłem się rozejrzeć. Przyszła pożegnać się przed

odlotem do Meksyku. W luźnej bluzce, z wysoko upiętymi włosami i rozciętej do pół uda spódnicy, wyglądała jak urzędniczka na wakacjach i nikt nawet nie domyśliłby się prawdziwego celu jej wizyty na wyspie. Takich kobiet, jak Mercedes, nie zapomina się w życiu, nawet jeśli spotkać je tylko jeden, jedyny raz.

Zwierzyła mi się w którąś z tych upalnych nocy, która pokonała dzień wśród tropikalnej ulewy napełniając miasto zapachem ozonu, aż kwiaty wbrew naturze rozchyliły o zmierzchu swoje kielichy. Zwróciłem na nią uwagę w poczekalni na lotnisku w Meksyku. Siedziała jak przykładna nauczycielka lub akwizytorka loterii fantowej, trzymając na kolanach torebkę. Patrzyła w jeden punkt przed sobą, nie zwracając na nikogo uwagi. Kiedy wszedłem już tam była. Cubana de Aviación zwlekała z odlotem, stosując wypróbowane tricki, żeby uniknąć zamachu bombowego. Samoloty kubańskie na całym świecie odlatają wcześniej, albo później. Nigdy o właściwym czasie.

Coraz częściej spoglądałem na tę domniemaną urzędniczkę, zaskakującą upartym spokojem i zupełnym zagłębieniem się w sobie. Wszedłem tuż za nią do samolotu, ale miejsce miałem w ogonie i musiałem szukać jej wzrokiem wśród pasażerów.

Zauważyłem, że jest tak samo jak przedtem skupiona na sobie, czy zagłębiona w siebie. Zdecydowałem się nawiązać znajomość bodajże już nad brzegami wyspy, gdzieś w okolicach Varadero, kiedy samolot schodził do lądowania. Nie miałem przez dłuższy

czas śmiałości, ale nadszedł ten ostateczny moment. Jeśli bym go nie wykorzystał, byłoby już za późno. Podszedłem do rzędu foteli, w którym siedziała, i zapytałem w jakim hotelu zatrzyma się w Hawanie. Była zaskoczona, ale uśmiechnęła się i obiecała mi powiedzieć po wylądowaniu samolotu. W ten sposób nawiązałem znajomość. Na lotnisku w Hawanie towarzyszyłem jej przy wypełnianiu kwestionariusza pobytowego na Kubie. Czekałem aż odpowie na wszystkie pytania. Patrzyłem na nią i coraz bardziej urzekała mnie jej uroda, szczególnie indiański profil. Niestety nie знаła jeszcze nazwy hotelu, w którym miała zamieszkać. Przyleciała z całą grupą na wycieczkę do Hawany i zależało to od Cuba Tour. Obiecała zaczekać na mnie po drugiej stronie bariery migracyjnej. Nie mogła jednak tego zrobić, bo jej autokar odjeżdżał natychmiast do śródmieścia, a moja walizka ciągle jeszcze była w samolocie. Kiedy wreszcie zdjąłem ją z taśmy transportera pobiegłem do stoiska turystycznego Cuba Tour i zapytałem dokąd pojechali Meksykanie. Podejrzliwy urzędnik zamiast udzielić mi informacji odpowiedział dość opryskliwie: Po co panu to wiedzieć? Znalazłem jednak Meksykankę jeszcze tej samej nocy w hotelu „Dauville”, tuż obok mojego „Lincolna”, stojącym nad samym Maleconem, z oknami na wzburzone morze. Zadzwoiłem z recepcji i natychmiast pojawiła się w hallu. Wyszliśmy na bulwar i rozmawialiśmy oparci o barierę falochronu. Wówczas powiedziała mi jaki jest jej rzeczywisty cel przyjazdu do Hawany.

W tę noc dziewczęta obdarzały swoich chłopców namiętymi pocałunkami, zarzucały im ręce na szyję. Zdejmowały biustonosze, aby nie krępowały ich piersi, zrzucały bluzki aby odsłonić gładką, aksamitną skórę. Rozpinały błyskawiczne zamki spódnic i wyzwalały się z nich prędko i radośnie opuszczając je na trawę wśród zarośli parkowych lub na chłodny już o tej porze piasek okolicznych plaż.

Meksykanka Mercedes powiedziała mi, że przyleciała do czarnoksiężnika palero, aby zemścić się na mężu. Za godzinę wybierała się do Guanabacoa, hawańskiego przedmieścia, aby wziąć udział w seansie czarnej magii, która miała pozbawić jej męża męskości. Nie mogła mu darować zdrady i opuszczenia. Nie mogła też wybaczyć tej drugiej kobiecie, która się z nim związała. Jej także poprzysięgła zemstę.

Noc zapadła nad Hawanę, w oddali migotały tylko światełka statków na redzie. Dotknąłem jej piersi. Nie odsunęła się. Zaproponowałem jej spacer po nocnych ulicach starego miasta. Szliśmy Avenidą Infanta, na której z rzadka świeciły latarnie. Unosił się odór nie wywiezionych śmieci rozkładających się w upale. Pod arkadami przemykali nieliczni przechodnie w zupełnej ciemności. Dziewczyny stały na rogach ulic i chodnikach czekając — nie czekając, bo nie mają właściwie tutaj na kogo czekać. Nikt nie przyjdzie, chyba że przypadkiem uda się im kogoś upolować. Były jednak delikatne, z rzadka któraś prosiła o papierosa.

Właściwie nikt nikomu nie ma tu nic do zaoferowania, najwyżej kobieta mężczyźnie swoje ciało, ale za darmo? Za nic? Może to zrobić tylko z pragnienia, aby nie masturbować się w samotności. Doszliśmy do hotelu. U wejścia nie było portiera i winda stała jak zamurowana. Otwarte były wewnętrzne schody. Mercedes zachnęła się. „Nie pójdę z tobą do pokoju”. „Nie pójdę”, powtórzyła, ale nie zatrzymała się w hallu. Klucz miałem w kieszeni. Weszliśmy na górę., Obawiałem się, że może ją zrazić sam pokój, w którym nie było klimatyzacji, a tylko wiatraczek umocowany w oknie, który zamiast wietrzyć właczał z ulicy rozgrzane powietrze. Zamiast tapczanu stało przy ścianie wysokie żelazne łóżko.

Mercedes poprosiła o papierosa, zaciągnęła się nim jak przed egzaminem wstępnym na uczelnię. zaproponowałem, aby usiadła, ale w dalszym ciągu stała, marszczyła czoło jakby się nad czymś głęboko zastanawiając. Nawet w słabym świetle żarówki, pod kiepskim żyrandolem, podziwiałem jej szlachetne rysy i czułem, że w jej żyłach pulsuje krew Azteków zmieszana przez pokolenia z krwią Hiszpanów. Ukląknę przed nią. I wówczas Mercedes patrząc mi w oczy powiedziała powoli cedząc słowa, co nadawało im specjalnego znaczenia i smaku:

— Jeśli to zrobię, to tylko z zemsty na Estebanie.

Zaciągnęła się jeszcze mocniej papierosem. Powiedziała te słowa, aby mnie upokorzyć, czy też chciała w ten sposób zniechęcić mnie do siebie? A może tylko wypróbować, sprawdzić jak mocno jej pragnę.

— Mogę to zrobić z tobą, jeśli bardzo chcesz, ale to nie będzie z miłości...

Wówczas rozpiąłem jej bluzkę i~ pocałowałem nabrzmiewające z pragnienia piersi. Sama zdjęła pantofle i zrzuciła spódnicę. Mówiła jednak ciągle i powtarzała, jakby chcąc się upewnić w swoim przekonaniu.

— Chcę abyś wiedział, chcę abyś wiedział, że zrobię to z nienawiści do Estebana, tylko z tego powodu. Tylko dlatego. Wyłącznie, wyłącznie...

I przyłgnęła do mnie, odrzuciła papierosa, zsunęła się z łóżka, zdjęła majteczki i otworzyła uda, nogi opierając o podłogę. Przechyliła się całym ciałem do tyłu i w ten sposób otwierając się czekała aż w nią wejdem, a kiedy to zrobiłem, przyjęła mnie w siebie z radosnym oddaniem. Jeszcze szeptała: „Robię to z...”, ale już nic więcej nie słyszałem tylko czułem jej pulsujące wilgotne wnętrze, coraz mocniej i mocniej, aż do zupełnego zapamiętania. Wreszcie usunęła się w omdleniu na łóżko.

Teraz Mercedes czekała na mnie w hallu hotelowym, aby mi powiedzieć, że wraca do Meksyku. Za godzinę musi być na lotnisku w Rancho Boyeros. Była rozluźniona, uśmiechnięta i wyraźnie zadowolona. „Musiałam tu przyjechać. Nie było innego wyjścia. Tylko *palero* mógł mi pomóc. Mój mąż mnie więcej nie zdradzi. Nie będzie mógł”.

Z fotela pod oknem podniósł się klawesynista, który obiecał mi pokazać swoje fotografie z czasów, kiedy grał w hotelowym barze i z całej okolicy schodziły się gracze, aby go podziwiać.

Dagerotypy

były poźólkę, on sam zaś w niczym nie przypominał na nich wychudłego starca, który stał przede mną mówiąc drżącym głosem: „Zobacz to zdjęcie mister. Cała Hawana mnie znała, ludzie kłaniali mi się na ulicy. Dziewczęta całowały mnie po udach”.

Patrzył mi w oczy melancholijnie i wyznawał: „Nazywali mnie Augustem, proszę zapytać kogo pan tylko zechce, moim przyjacielem był sam Bolo de Nieve.

— Ten największy perkusista wszechczasów?

— zapytałem, upewniając się, aby mu sprawić przyjemność.

— Ten sam mister, ten sam, o którym pan myśli.

— Przeżył pan wspaniały czas — odrzekłem

— czego pan najbardziej żałuje?

— Czego ja żałuję? Dlaczego pan ze mnie kpi, mister? Niczego nie żałuję. Tęsknię za kobietami z tamtych lat, które tu czekały na mnie, aby

O brzasku pójść ze mną do łóżka.

Ustawiłem się w kolejce, bo już Negrita otwierała drzwi do jadalni. Kościsty starzec stał przy mnie

1 szeptał mi do ucha o swej tęsknocie za tamtym co minęło.

„Świat się dla mnie skończył, kiedy przestał mi stawać, mister”.

Negrita wskazała mi stolik przy drzwiach. Miejscowym zwyczajem nikt tu się nie dosiada do cudzego stolika, nawet gdyby znajdowała przy nim tylko jedna osoba. Mogłem mieć pewność, że zjem spokojnie obiad, kiedy zobaczyłem stojącego przy drzwiach poetę Federico. Szukał wzrokiem wolnego miejsca.

Skinąłem głową mu i podniosłem rękę. Zauważył mnie. Zanim Negrita przyniosła kartę zdążył mi powiedzieć, że przeżył w nocy niezwykłą przygodę. Nie pamiętał jednak, że bardzo długo w noc byliśmy razem, po dniu spędzonym na kiermaszu w Santa Clara kapaliśmy się w basenie hotelowym, a potem sączyliśmy rum w restauracji „Pod parasolem”. Federico siedział przy mnie zanim przyszła dziewczyna, którą podrywał przez całe popołudnie. Przypuszczałem, że była miejscową poetką, nauczycielką literatury, a może tylko i wyłącznie muzą Federico.

Zapamiętałem ją bardzo wyraźnie, była szczupła i cała w błękitnych muślinach. Pokazała się „Pod parasolem” około północy i Federico nie zapraszając jej do stolika natychmiast się zerwał z krzesła i podbiegł do niej.

Teraz Federico wyjął z kieszeni kartkę i zaczął czytać poetycką relację z nocy spędzonej w hotelu w Santa Clara, do którego udało mu się wprowadzić miejscową piękność. W obsesyjnie erotycznym wierszu zdierał z wybranki swego serca muśliny i ściągał z niej koronkowe dessous, w czym mu z zachwytem pomagała. Wpuściła go pomiędzy swoje namiętne pełne uda i dziękowała całując jego wyprężoną męskość. Wielbił jej bezgraniczną czułość, którą go obdarzyła.

Skończył czytać i podniósł na mnie swój promienny i szczęśliwy wzrok.

— Zaraz tu przyjdzie i będziesz mógł porównać oryginał z moim opisem. Przekonasz się, że nic a nic nie przesadziłem.

— Obawiam się, że się dla mnie nie rozbierze, mój drogi Federico.

Nie zważał na moje słowa, wsłuchany jeszcze w swój głos recytujący poemat. Kelnerka stała przed nami z otwartą kartą, a on ciągle mówił o szczęściu, jakim obdarzyła go wspaniała Dulcynea. Utrzymywał, że nad ranem jest najpiękniej, kiedy wschodzą zorze i pieją koguty.

Zamiast obiadu zamówił butelkę piwa, w oczekiwaniu na wybrankę swego serca. W drzwiach restauracji zamiast niej pojawił się jednak nasz wspólny znajomy krytyk literacki głośny w kręgach hawańskiej elity artystycznej Chucho el Rico. Był kiedyś jednym z najbogatszych ludzi na wyspie, a fama o jego bogactwie przetrwała do naszych dni! Ciągle się tutaj opowiada, że miał zwyczaj pierwszym porannym samolotem lecieć na śniadanie na Florydę, a stamtąd na obiad do Paryża. Człowiek, który przez dziesiątki lat swojego życia nie rozumiał co znaczy nie mieć pieniędzy i który jako jedyny spośród hawańskich literatów bywał gościem Ernesta Hemingwaya, kiedy ten mieszkał pod Hawaną. Wyróżnienie szczególne zważywszy, że wielki Amerykanin otaczał się wyłącznie torreadorami i rybakami na plażach Cojimar.

Kiedy w 1959 roku brodacze zdobyli wyspę i postanowili uszczęśliwić jej mieszkańców Chucho el Rico wpadł w zachwyty nad zwycięzcami. Stał się ich gorącym wyznawcą. Nie dopuścili go do siebie, ale znacjonalizowali mu majątek i stał się tak samo biedny jak wszyscy. Kiedy podziękował, że jego

dobra zostały mu odebrane wysłano go na wieś, na zafrę, do ścinania trzciny cukrowej. Ale tam okazał się niebezpieczny i to zupełnie z innego powodu.

Dawni przyjaciele i znajomi patrzyli na niego jak na powietrze. Stracił całą swoją moc. Nie mógł już latać na śniadanie do Miami. W ogóle nie mógł wyjechać z Kuby, a jego wolność osobista skurczyła się do granic wyspy.

Stanął w drzwiach hotelowej restauracji i rozejrzał się po sali poszukując wzrokiem kogoś znajomego. Skinąłem mu ręką, zapraszając do stolika. Federico ulotnił się tak prędko, że nawet nie spostrzegłem, kiedy to się stało. Chucho el Rico zapytał tylko: „Czy tutaj siedział Federico?”. Skinąłem głową.

— Masz kroplę rumu?

— W pokoju.

Wziąłem klucz z recepcji i zapraszając Chucho podszedłem do windy. Nie zmyliłem tym jednak czujności cerbera Urbano, który zerwał się natychmiast ze stołka w swoim boksie i podskoczył do mojego gościa.

— Dokąd?

Powstrzymałem go ręką mówiąc: Zaprosiłem przyjaciela na lampkę rumu do numeru. Spojrzał na mnie jak na przestępcę. Powtórzyłem dodając, że Chucho el Rico jest pisarzem. W dalszym ciągu piorunował mnie wzrokiem. Wreszcie wykrztusił z siebie:

— Pański gość musi mieć przepustkę.

— To zupełny absurd — krzyknąłem. I głośno dodałem: — To śmieszne.

— Inaczej nie wejdzie.

Cerber Urbano okazał się nieugięty.

— Chucho el Rico był przyjacielem Hemingwaya — tłumaczyłem.

— Proszę okazać przepustkę — żądał Urbano.

— Gdzie jest dyrektor?

— U siebie w gabinecie.

Wzburzenie popchnęło mnie do gabinetu dyrektora, okazało się jednak, że nie ma go w hotelu. Chucho el Rico powiedział wówczas z kamiennym spokojem:

— Wpadnę kiedy indziej - i majestatycznym krokiem wyszedł z hotelu. Kiedy tylko zniknął za drzwiami Urbano podszedł do mnie i okazując mi zaufanie, a nawet pewną poufałość, wyszeptał do ucha:

— Kogo pan chciał do siebie zaprosić?

— Chucho el Rico.

— No właśnie.

— Co właśnie, mówiłem panu, że Chucho el Rico jest poetą i doskonałym tłu...

— Tfu... — przedrzeźnił mnie Urbano. Chucho el Rico jest pedałem.

Te słowa w jego ustach zabrzmiały jak oskarżenie o morderstwo.

Obmyśliłem śmiały plan wprowadzenia Silvii do pokoju.

Powiem cerberowi Urbano, że Silvia jest aktorką i przyszła do mnie na lekcje dykcji. Jeśli zażąda karty hotelowej, wtedy ją dla niej wykupię. Ponadto postanowiłem zaprzyjaźnić się z Urbano.

Wiedziałem, że był zapalonym rybakim. Rozmawiałem z nim o morzu i pytałem, czy któregoś dnia zabierze mnie na polowanie na marlina. Prosiłem aby mi opowiedział jak pomagał Hemingwayowi w złowieniu jego wielkiej ryby, z którą mistrz figurował na zdjęciu w Barlovento. Urbano wpadał w trans, oczy mu błyszczały jak w gorączce i opowiadał jak wychodził z wielkim pisarzem w morze. Było to wierutne łgarstwo, ale bardzo sympatyczne.

Zapytałem, czy będzie miał dyżur po południu, a kiedy z wahaniem potwierdził, mogłem już wyjść na ulicę.

Chciałem znaleźć gdzieś czynny telefon, bo hotelowy nie działał i nie można było wydostać się z niego na miasto. Miałem zamiar zadzwonić do Nelsona, bo zapomniałem go zapytać co Silvia powiedziała, kiedy doręczył jej moją kartkę. W starej Hawanie co najmniej od roku telefony były zepsute, mówiło się, że pracowniczka centrali spowodowała w niej pożar ze złości na narzeczonego, który ją zawiódł. Szedłem podcieniami Avenidy Infanta. Zapewne pamiętały jeszcze dawną, mieszczańską Hawanę. Drewniane kolumnienki z trudem podtrzymywały na wpół zgniły dach. Odpadające tynki i liszaje zupełnie zmieniły charakter dawnej arterii. Szukałem z uporem budki telefonicznej, a mój wzrok napotykał rozpadające się w gruzy stare miasto. Od wysypisk śmieci roznosił się gryzący smród. Ktoś mi powiedział, że pod Hawaną drąży się tunele i że wewnątrz będzie ona niedługo wyglądać jak ser szwajcarski. Mają to być schrony

na wypadek wojny. Kto wie, czy to prawda, żadnego wejścia do tunelu nigdy nie widziałem. Zaczął padać deszcz, zatrzymałem się pod gontowym dachem i patrzyłem na jaskrawoczerwony neon, w którym niewyraźnie poprzez strugi deszczu widziałem co trzecią literę, nie sposób było odczytać jego sensu. Od czasu do czasu pokazywał się jakiś samochód. Przechodnie spieszyli uciekając przed deszczem, najczęściej jednak wstępowali do widocznej po drugiej stronie ulicy apteki i równie prędko z niej wychodzili. Pomyślałem, że być może w aptece jest telefon. Poprzedniego dnia widziałem jak po jej pustych półkach goniły się *cucarache* i można było kupić tylko tabletki od bólu głowy. Wszedłem do niej z nadzieją na dostanie się do telefonu. Za mną wpadło natychmiast kilku innych klientów. Telefonu jednak nie było. Każdy z przybyłych podchodził do kontuaru i pytał o coś sprzedawczynię, a potem zaraz wybiegał. Podeszedłem także i ja mając zamiar poprosić o jakiś środek na bezsenność. Zanim jednak otworzyłem usta ekspedientka mnie uprzedziła.

„Prezerwatyw już nie ma”, poinformowała bez pytania lekko rozdrażnionym głosem.

Dopiero wtedy przypomniałem sobie pogłoskę, że w staromiejskich aptekach pokazały się prezerwatywy i trzeba się spieszyć, bo nagminnie wykupują je radzieccy piloci i wywożą do Moskwy.

Deszcz rozpadał się na dobre, a telefonu w dalszym ciągu nigdzie nie mogłem znaleźć. Pod arkadami było na szczęście sucho, dach nie przeciekał

i jacyś ludzie porozkładali się na chodniku na starych gazetach. Niektórzy siedzieli na nich, inni nawet leżeli. Nie były to jednak kochające się pary. Bynajmniej. Najbliżej mnie siedział młody człowiek, z podciągniętymi pod brodę kolanami, na oficjalnej gazecie „Gramma” i studiował encyklopedię. Zbliżyłem się do niego i zapytałem co porabia. Grzecznie mi odpowiedział, że czeka na telefon. Aż podskoczyłem z radości.

— Telefon, gdzie? — zawołałem.

Wskazał mi ręką mały budynek pocztowy, tuż pod arkadami, którego nie zauważyłem. Lojalnie mnie też uprzedził, abym nie rwał do niego jak koń wyścigowy, bo jest to telefon specjalnego przeznaczenia, jedyny w całej Hawanie.

— Nie rozumiem — odrzekłem.

— Tylko dla tych, za których rozmowę zapłaci abonent — ściszył głos — to jest telefon do Stanów Zjednoczonych. Czekamy na wywołanie.

— Długo pan czeka?

— Już dwa tygodnie, inni czasem znacznie dłużej. Ale ja mam szansę na rozmowę. To prawie pewne.

Bardzo miło się do mnie uśmiechnął. Spojrzałem na zegarek, było wpół do piątej. Wróciłem do hotelu. W hallu stało tylko kilka osób, które przyszły wcześniej, aby załapać się na kolację. Drzwi do restauracji hotelowej otwierano jednak dopiero o szóstej.

Wziąłem klucz z recepcji, aby wjechać na górę. Pod drzwiami mojego numeru znalazłem wsuniętą dzisiejszą „Granmę”. Był to podarunek

od dyrekcji hotelu. Położyłem ją na stoliku, na którym stało skrzeczące i chrapiące radio. Deszcz przestał padać i natychmiast powrócił zaduch wąskich uliczek starej Hawany. Otworzyłem drzwi na korytarz w obawie, że Silvia może się pomylić, lub nie będzie mogła znaleźć pokoju. Myślałem o jej aksamitnej skórze, grubych wargach, smukłych udach, wiotkiej sylwetce i tanecznym kroku. Radosnym śmiechu i beztroskiej spontaniczności, jej talencie zupełnego zatracenia się w miłości. Rosło we mnie niemożliwe do opanowania pożądanie.

Wyszedłem na korytarz i przez chwilę stałem w otwartych drzwiach. Naprzeciw mnie szli nowi lokatorzy, których jeszcze nie znałem. Mężczyzna podążał pierwszy, z torbą w ręku. W drugiej ścisła rękę dziewczyny, która nie mogła za nimi nadążyć, prawie biegła. Obydwoje pędzili korytarzem spiesząc się jak na wyścigach, aby prędzej dopaść pokoju i łóżka. Ja sam zaś zbiegłem na dół kuchennymi schodami, z których korzystałem, kiedy brakowało mi cierpliwości, aby czekać na windę.

W portierni dyżurowała blada twarz, Claudia. Jasnowłose, miłe stworzenie, które nie wiadomo jakim sposobem się tam znalazło. Rozmawiałem z nią wieczorem, kiedy zamierał ruch w hotelu. Wówczas podchodziłem do kontuaru i prowadziliśmy rozmowy o życiu. Teraz uśmiechnęła się do mnie najpiękniejszym ze swoich uśmiechów. Powiedziałem, że na kogoś czekami i proszę, jeśli przyjdzie ta osoba, aby skierowała ją do mnie na górę. Claudia popatrzyła na mnie zaskoczona.

— Kto to ma być?

— Moja znajoma.

Jej uśmiech zanikł na twarzy. Więcej się nie odezwała. Wróciłem na górę i w dalszym ciągu czekałem odpalając papierosy jeden od drugiego.

Za ścianą usłyszałem dźwięki rytmicznego sprężynowania łóżka i nagły, rozdzierający krzyk dziewczyny. Tej samej, która przed chwilą biegła korytarzem ze swoim chłopcem. Rozległo się pukanie. Serce mi załomotało. Otworzyłem drzwi, czarny boy hotelowy stał na korytarzu.

— Ktoś do pana na dole.

— Proszę powiedzieć, niech przyjdzie.

— Będzie lepiej, jeśli pan zejdzie na dół.

— Dlaczego lepiej?

Boy ulotnił się bez słowa.

Silvia stała przed portiernią. Chciałem ją pocałować w policzek, ale się odsunęła.

— Cieszę się, że przyszłaś, bardzo się cieszę. Dlaczego nie wjechałaś na górę?

Pokazała wzrokiem Claudię.

— Zabroniła ci?

Nie odpowiedziała. Podszedłem do Claudii i zapytałem, czy mogę wynająć pokój dla mojej znajomej. Claudia była teraz lodowato zimna. Poinformowała mnie jak zegarynka, nie patrząc mi w oczy.

— Wszystkie pokoje są zajęte, jeśli coś się zwolni, będzie pan mógł to zrobić.

Przeszła nieoczekiwanie na „pan”, mimo że od kilku dni mówiliśmy już sobie na „ty”.

— W takim razie proszę dla niej o przepustkę, aby mogła wjechać do mnie na górę.

— To nie zależy ode mnie.

— A od kogo?

— Te sprawy podlegają regulaminowi i decyduje
o nich dyrektor hotelu.

Mówiła tak, jakby nigdy w życiu mnie wcześniej nie widziała i jakbym nie był osobą fizyczną. Do hallu wtargnęła horda młodzieży. Zrobiło się hałaśliwie i tłoczno. Dałem Silvii klucz od pokoju. Wmieszała się w tłum, który parł do windy. Śledziłem ją wzrokiem. W swojej obcisłej spódniczce uwydatniającej sterczące pośladki i bluzce opinającej ciasno piersi podniecała samym widokiem. Zauważyłem, że jakiś czarnuch stojący przy mnie też ją obserwuje. Ślini się, a ręka błądzi mu w okolicy rozporka.

Winda zjeżdżała w dół, zatrzymała się na pierwszym piętrze i po chwili była już na parterze. Wypluła ze swego wnętrza stłoczonych pasażerów, na których parli ci z przodu, którzy chcieli się teraz do niej dostać. Zrobiło się potworne zamieszanie i przepychanka, kto kogo. Silvia wmieszała się pomiędzy nich i zniknęła mi z oczu. W końcu winda ruszyła w górę i wtedy zobaczyłem Urbano jak sprężystym skokiem psa gończego dopadł już zamkniętych drzwi. Znowu światelko zapaliło się na pierwszym piętrze zanim zdołał ją ściągnąć na dół. Nikomu nie pozwolił do niej wejść. Ruszył natychmiast sam na górę.

Śledziłem ruch windy. Stała na pierwszym piętrze. Młodzież z prowincji, wojskowi w mundurach i czapkach uszytych na wzór radziecki, kilku Czechów, Niemiec i dwóch Rosjan czeka-

ło na jej powrót. Rosjanin nachylił się do ucha drugiego i wyszeptał: „Szukają przestępcy”. Mimowolnie się uśmiechnąłem. Ciągłe paliło się światelko na pierwszym. „Pewnie jakiegoś szpiona” dodał.

Światelko zgasło. Winda zjechała na dół. Wsiadł z niej Urbano. Jakimś nieznacznym, sobie wiadomym gestem, przywołał chłopaka, który zaraz dał nura w tłum oczekujących. I znowu migały światelka zatrzymującej się na piętrach windy. Pięła się w górę, spadała trzy, cztery piętra, podniosła się i stanęła pomiędzy piętrami. Przed wejściem do windy coraz bardziej niecierpliwie tłoczyła się młodzież. Skierowałem się do schodów kuchennych, którymi mogłem wejść na moje pierwsze piętro. „Tutaj nie ma wejścia dla gości hotelowych, proszę pokazać kartę pobytu” powiedział do mnie jakiś funkcjonariusz hotelowy, a kiedy mu ją podałem schował do kieszeni i już mi jej nie oddał. Bez karty nie mogłem wjechać na górę. Zbliżyłem się do Urbano, który tkwił w swoim boksie i zapytałem, gdzie jest Silvia. Spojrzał na mnie z niechęcią i odpowiedział: „Nie wiem o kogo panu chodzi”. W tej samej chwili wyrósł przede mną jakiś typ i zażądał, abym szedł za nim. Okazał się dyrektorem hotelu i u siebie w gabinecie pokazał mi zadrukowaną kartkę papieru. Zapytał czy ją czytałem. Chodziło o regulamin. Wzruszyłem ramionami. Wówczas poinformował mnie, że w pokoju nie wolno przyjmować gości bez zgody dyrekcji hotelu.

— Złamał pan regulamin — wykrzykiwał będzie pan za to odpowiadał — ujadął jak brytan.

W tej samej chwili zabręczał telefon i brytan podskoczył do słuchawki. Z tamtej strony ktoś mówił tak głośno, że rozumiałem słowa:

— Zablokowaliśmy windę. Teraz się nam nie wymknie.

Brytan odłożył słuchawkę z wyraźną satysfakcją.

— Słyszał pan?

Ponowne brzęczenie dzwonka. Znowu wyraźnie słyszalny głos w słuchawce.

— Uciekiniarka chce się przedostać na dach. Sytuacja staje się niebezpieczna.

— Narobił pan bigosu!

Piorunował mnie wzrokiem. Podskoczył do aparatu, coś mówił cicho i tajemniczo. Odwrócił się do mnie i w zdenerwowaniu chciał mi wyjąć papierosa z pudełka, ale cofnął rękę. Staliśmy naprzeciw siebie, w jego lewym oku pojawił się nerwowy tik. Nie wyobrażałem sobie, którędy Silvia wspina się na dach i co chce ze sobą zrobić. Pewnie za chwilę przyjedzie wóz strażacki i zmyje ją z dachu strumieniem wody, jak wielkiego robaka. Obława trwała. Rzucili się za nią jak psy gończe, bo sprzeniewierzyła się jedenastemu przykazaniu: „Nie będziesz się kochać z obcymi”.

— Zazdrościsz mi — powiedziałem do brytana — widziałeś jej nogi i piersi i nie możesz mi wybaczyć, że przyszła tylko do mnie.

Zamurowało go. Wybałuszył oczy, a jego tik nerwowy wykrzywił mu usta.

— Zazdrościsz mi, zazdrościsz! — powyórzyłem. W tej samej chwili Silvia mogła spaść z dachu

wprost na bruk ulicy. Brytan nie odezwał się, ale moje słowa, czy też sytuacja zagrożenia, w jakiej znajdowała się Silvia spowodowały, że zawołał Murzyna i kazał mnie do niej zawieźć. W hallu zgromadził się tłum ludzi. Usłyszałem jak ktoś mówi wskazując na mnie palcem:

— To on, zobacz, to on.

Ktoś inny: — Widzisz go, to ten! Jakiś głos powtarza: — pieprzony blondas!

Tłum ogarnia podniecenie. W otwartej windzie czeka Urbano, wskazuje mi gestem, abym do niej wszedł. Murzyn ulatnia się natychmiast. Winda rusza. Mijamy piętra, na żadnym się nie zatrzymując, aż po ostatnie. Na dachu jest odkryta kawiarnia. Od ulicznej studni oddziela ją tylko barierka sięgająca mężczyźnie do bioder. W głębi ustawiono donicę z palmą.

— Gdzie ona jest? — pytam Urbano, ale ten zdążył się już zmyć. Ktoś mi wskazuje ręką w kierunku palmy. Biegnę przez całą salę i potykam się o czyjś wystający but. Niewątpliwie wyrzwałbym twarzą o posadzkę, ale ktoś inny podtrzymuje mnie za ramiona. Silvia stoi na krawędzi donicy, wychylona poza balustradę kawiarni, na zewnątrz. Naprzeciw niej agenci hotelowi. Nie mogą jej dostać. Jeśli się do niej zbliżą puści palmę, której się trzyma i spadnie w przepaść ulicznego kanału. Jest w transie, nie poznaje mnie. Krzyczy przeraźliwie:

— Nie dotykaj mnie, mówię ci, tylko mnie nie dotykaj, bo skoczę!

— Silvio, nie mogę się dostać do pokoju. Ty masz klucz — mówię to bardzo łagodnie.

Spogląda na mnie przytomniej.

— Co mam zrobić?

— Chodź do mnie.

Wyciągam do niej rękę. Przez chwilę się waha, ale wreszcie podaje mi swoją. Przyciągam ją do siebie i stawiam na posadzce. Obejmuję ją w talii i prowadzę przez całą tę kiszkowatą kawiarnię do wyjścia, to znaczy do windy. W windzie zamiast Urbano jakaś obca kobieta.

— Proszę pierwsze piętro — mówię zdecydowanie.

Wstrząsają mną radość i niepewność. Mocno obejmuję Silvie. Jej ciało drży. Zaraz będę wiedział, czy windziarka spełni moje polecenie. Winda leci na dół jak torpeda. Błyska światełko na pierwszym piętrze.

— Proszę się zatrzymać — krzyczę — słyszy pani!

Chwytam windziarkę za rękę. Jest jednak za późno, winda przeskoczyła jedynekę i dobija do parteru hamując przyspieszenie. Silvia wychodzi pierwsza, ja za nią. Spostrzegam moją walizkę stojącą pod portiernią. Towarzyszy nam triumfujący wzrok Claudii. Urbano siedzi w swoim boksie i nie spuszcza z nas oka. Podnoszę walizkę i kierujemy się do wyjścia. Hall pełen gapiów, tworzą szpaler i przepuszczają nas poszturchując. Silvia przede mną. Na ulicy jeszcze ich więcej usiłuje nas zatrzymać. Rozlegają się gwizdy. Roz-

cięta na pół uda spódnica Silvii wprawia kibiców w amok.
Przestają nad sobą panować.

— Hańba siostrzyczko — krzyczy jakiś urwis i chwyta ją za udo.
— Hańba — skanduje tłum.

Po drugiej stronie ulicy widzę stojącą taksówkę. Trzymam Silwię mocno za rękę i przedzieramy się do niej przez tłum. Kierowca otwiera drzwiczki i wciskamy się do środka razem z walizką.

Tłum osacza samochód i nie chce nas wypuścić, wygląda to na owację zgotowaną młodożęcom. Ale jeszcze ciągle huczy ten absurdalny okrzyk: hańba! Rzucam kierowcy:

— Hotel „Deuville”.

— Dolarowy — syczy taksówkarz.

— Hotel „Dauville” — akcentuję z całą mocą. Silvia przyciska się do mnie, jakby chciała uniknąć jakiegoś niewidocznego ciosu.
— *Traidora*). — krzyczy tłum, co znaczy zdrajczyni.

Taksówkarz przebija się zdecydowanie na pierwszym biegu.

Gapie powoli ustępują. Wydostajemy się na Avenidę Infanta.

Na podjazd hotelowy wybiega boy w brązowym, lamowanym uniformie. Otwieram drzwiczki i wskazuję walizkę. Silvia wychodzi pierwsza. Obejmuję ją w talii, ciągle jeszcze drży z emocji. Pytam, czy ma przy sobie jakiś dokument.

— Tylko legitymację szkoły wieczorowej.

W hallu hotelu „Dauville” przy samych drzwiach stoją amarantowe róże w wysokim wazonie. Wyj-

muję jedną i podaję Silvii. Ruszamy na podbój recepcji. Ona z różą, ja z mocnym postanowieniem, że nie pozwolę, aby nas stąd wyrzucono.

Tuż obok nas drobnym truchtem biegnie bagażowy w podobnym do urbanowego uniformie, ale mniej wyświechtanym.

Podchodzimy do recepcjonistki. W dalszym ciągu trzymam Silvię mocno w talii.

— U nas tylko za dolary — mówi nie znana mi, blada twarz, patrząc twardo w oczy.

— Zgadzam się.

— Jaki ma być pokój?

— Apartament.

— Na którym piętrze?

— Poproszę z widokiem na morze. Dziewczyna szuka w swoim grafiku wolnego pokoju.

— Ma pan szczęście, jest na dwudziestym trzecim.

— A dlaczego to szczęście?

— Widać stamtąd Jamajkę — usiłuje się do mnie uśmiechnąć, ale zaraz jej twarz kamienieje.

— Wspaniale, będziemy każdego ranka i każdej gwieździstej nocy wychodzić na balkon. W życiu nie widziałem Jamajki.

Twarz dziewczyny z recepcji jest w dalszym ciągu kamienna. Nie wiem co się stało. Zachwycam się jeszcze przez chwilę możliwością oglądania Jamajki, ale recepcjonistka staje się coraz bardziej spięta. Zauważam, że Silvia ma zamiar wyjąć swoją legitymację i powstrzymuję ją ruchem ręki. Pytam

jeszcze o basen. Okazuje się, że jest zamknięty i recepcjonistka znajduje pretekst, aby powiedzieć, że znacznie wygodniej będzie mi zamieszkać w hotelu „Habana Riviera”. Tam basen jest czynny przez cały dzień, można z niego korzystać także w nocy. W „Habana Riviera” jest też fińska sauna na najwyższym piętrze, a co najważniejsze można wynająć pokój dla dwóch osób różnych narodowości.

— Nie rozumiem, czyżby tutaj było to niemożliwe?

— Nasz hotel jest wyłącznie przeznaczony dla cudzoziemców.

Wtedy wykrzyknąłem: — To wspaniale, to nadzwyczajnie. Ma pani przed sobą nigeryjską księżniczkę Yoruba.

Dziewczyna zza kontuaru recepcji poderwała się na równe nogi i spojrzała na Silwię. Na wspaniałą Mulatkę Silwię, która mogła przylecieć zarówno z Nigerii, Angolii czy Mozambiku.

— Księżniczka Yoruba płaci naturalnie w dolarach.

— To oczywiste.

Recepcjonistka poderwała się ponownie ze zgrabnie przyklejonym uśmiechem.

— Bardzo mi miło poznać princessę.

Silvia zamieniła się w posąg. Jeśli tamta zażąda paszportu, będzie koniec. Odda ją w ręce policji.

— Czy mam wpisać princessę na pański paszport? — słyszę słodki głosik.

— Tak, proszę to zrobić.

Idziemy do windy. Windziarka skłania głowę. Bąka coś, co ma oznaczać radość. Do windy chce wejść z nami kilka osób, ale ich zatrzymuje, wchodzimy tylko we dwoje. Ona za nami.

Na naszym dwudziestym trzecim piętrze winda zatrzymuje się miękko i delikatnie. Windziarka odprowadza nas aż do pokoju, kłaniając się dwukrotnie przed samymi drzwiami.

— Zasłużyła na dolara — mówię do Silvii po angielsku. Żadna z nich nie rozumie.

Apartament jest trochę za ciasny jak dla księżniczki. Stoją w nim dwa łóżka, dwie szafki, nocny stolik, lampa, dwa foteliki. Drzwi na balkon są otwarte. Z balkonu widać morze. Obejmuję księżniczkę Yoruba na balkonie i patrzymy szczęśliwi na błękit morza zlewającego się na horyzoncie z niebem.

Całuję Silvię mocno w usta i ona oddaje mi pocałunek. Wydaje się z tej wysokości, że trzymając się za ręce można wyskoczyć z balkonu, przeskoczyć w powietrzu Malecon i znaleźć się w granatowych przybrzeżnych falach.

— Kochałaś się kiedyś w morzu?

— Musisz mnie o to pytać?

— Tak, muszę.

— Kochałam się w morzu z tobą, zapomniałaś? Doskonale pamiętam, ale przecież wiem, że nie tylko ze mną kochała się w morzu. Nawet wyobrażam sobie, że musiała to robić od bardzo dawna ze swoimi czarnymi narzeczonymi, chociaż nie wiem tego na pewno. Pamiętam jak objęła mnie za

szyję i ściągnęła w głąbię. Nawet kiedy nabrałem wody w płuca i zacząłem tonać, ścisnęła mnie coraz mocniej, bo okazało się, że nie umie pływać. Razem szliśmy na dno. Będę to pamiętał w najdrobniejszych szczegółach do czasu, kiedy mnie pamięć zawiedzie.

A kochaliśmy się znacznie później, w ciepłej i płytkiej wodzie przybrzeżnej. Ujeżdżała mnie jak rumaka, wraz z nadchodzącym przyływem.

Wróciliśmy do pokoju i Silvia podeszła do lustra, aby poprawić włosy. Podniosła do góry ręce i jej sukienka także podniosła się odkrywając uda. Objąłem ją od tyłu i przechyliłem głowę. Jej mięsiste wargi przywarły do moich. Ciągłe jeszcze drżały i serce tłuło się jak oszalałe.

— Teraz niczego się nie bój, jesteś nigeryjską księżniczką Yoruba. Brakuje ci tylko bransolety z kości słoniowej i naszyjników z zębów drapieżników. Pójdziemy je zaraz kupić. Przyciągnąłem ją do siebie i objąłem jej pośladki tak, że przywarła do mnie swoim gorącym seksem, który również drżał. Dotykając wargami jej czekoladowej skóry nabywałem pewności, że nic piękniejszego nie może istnieć na świecie. Gdybym był artystą rzeźbiłbym uda Silvii przed stosunkiem i po stosunku. Przed miłością i po miłości. Napięte i rozluźnione, po których spływa moja sperma.

Wodziłem wargami po jej piersiach, które wyłuskałem z bluzki, całowałem szyję, na której pulsowały nabrzmiące krwią ciemne żyły. Żaden najbardziej przenikliwy inkwizytor nie odkryje w moim życiorysie sekretów miłości z Silvia.

Obejmowałem jej uda, przyciągałem ją do siebie i penetrowałem gorące wnętrze rozsuwając językiem jej wargi sromowe.

Oszałamiał mnie intensywny zapach jej skóry. Była cudem stworzonym na miarę wyobraźni samego Boga, i sama była bóstwem i naczyniem rozkoszy. Wolna od grzechu obłudy i hipokryzji nieokiełznaną dzikością serca i zmysłów. Zachłanną urodą tropikalnych kwiatów, które też nie wiedzą co to kłamstwo czy oszustwo. W jej żyłach płynęła gorąca krew czarnych kobiet i mężczyzn, których w ubiegłym wieku zakutych w dyby przywieziono z Afryki. Sama wolna, jak górski wiatr, swobodna, jak morskie fale i jak one nieujarzmiona. Oddaje się tylko tym, których pragnie. Nie wstrzymuje jej żaden przesąd, ani zabobon. Łańcuchy nie skuwają jej stóp ani serca.

Paradoks. Wielki paradoks jej rasy. Czyżby paradoks? W genach odziedziczyła dumę. Wystarczy spojrzeć jak idzie tańcząc, wyprostowana, z głową podniesioną do góry. Ten sposób chodzenia odziedziczyła po swoich babkach i prababkach. To one w pejzażu baobabów nad afrykańską rzeką Kwanza nosiły na głowach miski, garnki, kosze z owocami, to samo noszą dzisiaj jej afrykańskie rówieśniczki. Na plecach przewiązane chustą dziecko. Jej przodkowie mieli prawo tańczyć raz do roku wokół świętego drzewa selvy w starej Hawanie, ale nie mieli prawa podnosić wzroku na swoich panów i właścicieli. Silvia patrzy każdemu prosto w oczy. Jest tak piękna, że ma prawo domagać się, aby noszono ją w lektyce ulicami Hawany czy Nowego

Jorku. To właściwie nie ona oddaje się mężczyznom, to ona ma prawo ich sobie brać. Nie pasuje do niej powiedzenia, że ktoś ją wziął, lub posiadał.

To właśnie biali powinni ją nieść w lektyce przez szerokie avenidy Vadado. Zadaje się z tą czarnuchą, wychowaną w jakimś ślepych kącie tego miasta. Nigdy stąd nie wyjedzie, bo każdy mieszkaniec wyspy jest własnością państwa. Zadawać się z taką czarnuchą jak Silvia, nawet tutaj, nie uchodzi wśród artystów i pisarzy, i wielkich malarzy, i wybitnych twórców. Można wprawdzie rznąć taką czarnuchę jak Silvia, ale nie wypada się z nią pokazywać.

Mój Boże, cipkę ma tak samo gorącą, jak każda biała, biodrami porusza tak sprawnie jak najlepsza primabalerina. Nikt by się jej nie oparł, chyba jakiś świński rasista. Silvia jest darem bożym i kto tego nie widzi, ten jest ślepy. Każdy wie, że największym nieszczęściem jest nie mieć z kim położyć się do łóżka. Robi się czarno przed oczyma, jeśli pomyśleć, że nie masz z kim się popieścić. Ogarnia cię smutek tak wielki, że życie w tobie zamiera, a serce przestaje bić. I zbliża się dla ciebie koniec świata. Mieć natomiast kogoś takiego jak Silvia, rznąć ją od przodu i od tyłu, całować jej seks, kiedy robi szpagat jest największym szaleństwem. Wdychać zapach jej potu tak ostry, że zapach jałówki, której dosiada buhaj jest niczym w porównaniu z doprowadzającym cię do zawrotu głowy zapachem jej sromu, kiedy świdrujesz go językiem i zlizujesz jej ostre soki.

Podniosła się jeszcze bardziej i mocniej do mnie przylgnęła. Tańczyła biodrami w rytm ruchów mojego języka w jej cipce. Co by na to powiedział Waldo Godoya? On, najłagodniejszy z moich przyjaciół. Waldo Godoya jest tak delikatny, że nie potrafi popełnić najmniejszego nietaktu. Kiedyś zadzwoniła do niego dziewczyna i nie wiedząc, że jest czarna zaprosił ją do domu. Kiedy przyszła i zobaczył ją przez wizjer, uciekł tylnymi drzwiami. Zapytałem go, czy nie działa na niego niezwykła uroda kolorowych kobiet. Odrzekł, że może z nimi przebywać w towarzystwie, siedzieć przy jednym stoliku w kawiarni, ale nie potrafi sobie wyobrazić, że mógłby wziąć czarną dziewczynę do łóżka. Sama myśl o tym napawała go przerażeniem. Usłyszałem szmer w pokoju, jakby ktoś był z nami. Jakby się schował, ukrył gdzieś w pokoju. Wstałem i szmer umilkł, ale pozostał niepokój. Otworzyłem szafę, okazała się pusta, znajdowało się tam kilka drucianych wieszaków, których nie znoszę. W łazience też nie było nikogo. Wróciłem do Silvii, leżała na boku z przymkniętymi oczyma. Jej buzia z lekko wystającymi kośćmi policzkowymi przypominała nadąsane dziecko. Zielona bluzka leżała oparta na poręczy krzesła, rozpięty biustonosz odsłaniał duże twarde piersi, z czarnymi sutkami, krótka spódniczka podsunięta wysoko na udach i białe stopy z jasnymi podeszwami. Znowu poraziła mnie swoją urodą. Położyłem się przy niej i natychmiast przytuliła

się do mnie kocim ruchem. Była mi tak samo bliska jak wówczas, kiedy kochaliśmy się na plaży Santamaría. Pieściła mi teraz członek pod cienką materią spodni. Robiła to bardzo delikatnie i z coraz większym zapamiętaniem. Otworzyła błyskawiczny zamek i wydobyła go na wierzch. Pochyliła się i dotknęła wargami. Wzięła do ust i zaczęła bardzo delikatnie ssać.

Ktoś zapukał do drzwi i Silvia natychmiast zmartwiała. Podniosła niespokojnie głowę. Jej ciało zeszywniało. Odsunęła się ode mnie i wskazała drzwi. Nie miałem najmniejszego zamiaru otwierać. Pukanie powtórzyło się. Wstałem z tapczanu. W przedpokoju przymknąłem za sobą drzwi i otworzyłem wejściowe. Stał w nich dystyngowany Mulat, który natychmiast wpakował się do środka. Postąpił dwa kroki do przodu, aby wejść do pokoju, w którym była Silvia, ale drzwi były przymknięte. Zatrzymał się i patrzył na mnie tak przenikliwie, jakby miał oczy policjanta albo żmii.

Mruczał przy tym swój tekst powitalny. „Jeszcze nigdy w naszych progach nie gościła *camarada princessa*”. Wpadłem mu natychmiast w słowo: „Princessa Yoruba nie jest camarada, jest księżniczką”.

Splunął na podłogę, aby tym dowieść, że przeprasza. Wyciągnął przed siebie bukiet i potrząsnął nim jak chorągwią.

— U nas na wyspie nie ma księżniczek, a żadna obca księżniczka nigdy w tym hotelu nie mieszkała.

Wymachiwał bukietem, świdrował mnie swoimi

sprytnymi oczkami, i rozglądał się bystro po przedpokoju.

— Mogę pozdrowić księżniczkę? — zapytał delikatnie, ale właściwie chytrze.

— Księżniczka ma migrenę właściwą księżniczkom.

Zanim jednak zorientowałem się, on udając, że nie wie co zrobić z kwiatami pchnął drzwi i znalazł się w sypialni. Spojrzeliśmy równocześnie na łóżko Silvii na nim nie było. Przybysz lustrował wzrokiem pokój, wreszcie przeniósł wzrok na balkon, który był także pusty. Pozostała jeszcze szafa, ale nie sądziłem, aby odważył się ją otworzyć.

— Yoruba widocznie wyszła, kiedy kontemplowałem panoramę Hawany. Od kogo te kwiaty?

— Od dyrektora hotelu „Dauville”.

W tej samej chwili wyciągnął przed siebie drugą rękę, w której trzymał szkatułkę. Otworzył ją, abym zobaczył muszle, wisiory, białe i różowe korale, obręcze na nogi i ręce.

— Dziękuję w imieniu księżniczki Yoruba.

— Dokąd mogła pójść?

— Nie wiem, księżniczki mają swoje kaprysy, ale pewnie poszła kupić pomarańcze.

— Sama? — zapytał z wyrazem zaskoczenia.

— Bardzo lubi chodzić sama i do tego przebrana za robotnicę z ubogiej dzielnicy Guanabacoa.

— U nas nie ma ubogich dzielnic. Poziom życia został wyrównany.

Księżniczka lubi się przebierać w strój robotnicy z ludowej dzielnicy Guanabacoa — poprawiłem się.

— U nas wszystkie dzielnice są ludowe — odparł z dumą.
— Być może poszła kupić pomarańcze do Vedado, na Dwudziestą Trzecią, w okolice zakładu pogrzebowego.
— Na Dwudziestej Trzeciej nie ma takiego zakładu.
Spojrzałem na niego, aby ocenić ile może mieć lat, wyglądał na kogoś pomiędzy trzydziestką a pięćdziesiątką.
— Ale był...
— Teraz jest tam Pałac Ślubów. Zakłady pogrzebowe nie mogą straszyć w śródmieściu.
— Lepiej niech straszą na przedmieściach. Kiedy to powiedziałem, wydało mi się, że prawe ucho Mulata zaczęło rosnąć. I to wyraźnie. Zaniepokojony powiadomiłem o tym właściciela. Nie-speszony odrzekł, że czasem mu się to zdarza, ale ucho wraca do normy, kiedy ustaje przyczyna.
Położył na stoliku szkatułkę i podał mi jakiś papier i długopis.
— Proszę pokwitować w imieniu princessy. Zaprotestowałem. Wyjaśniłem mu, że może ją przynieść później jeśli zechce, albo w ogóle nie przynosić. Spojrzeliśmy po sobie i Mulat zdecydował, że ją zostawi bez pokwitowania. Po czym natychmiast zniknął.
— Wcale nie przebieram się za robotnicę
— oświadczyła Yoruba wychodząc zza kotary.
— Jestem robotnicą.
Spojrzała na szkatułkę. Jej oczy zabłyśły. Wyjęła

z niej klejnoty i podeszła do lustra. Założyła obręcze na szyję i na rękę. Otworzyła radio i zaczęła tańczyć zupełnie tak samo kręcąc biodrami jak jej czarne siostry podczas karnawału w Rio. Kiedy muzyka umilkła ona tańczyła dalej wsłuchując się w huk morza, który teraz wdzierał się do pokoju. Stała naprzeciw mnie w tym przybraniu z koralami i obręczami.

— Nie można być kimś innym niż się jest, prawda?

— Można grać różne role.

— Ale trzeba być sobą, sam to powiedziałeś.

— Można grać będąc sobą.

— Nie umiem grać.

— Teraz jesteś księżniczką Yoruba.

— W twojej wyobraźni. Podeszła do lustra.

— Brakuje mi tylko buba, nigryjskiego zawoju.

— I czego jeszcze?

— Złoty pantofelków.

— Chodźmy je kupić.

— W Hawanie? Ty chyba oszalałeś.

— To przynajmniej niech będą pozłacane.

— Nie, muszą być złote!

Rozpromieniła się, ale już po chwili spojrzała na mnie pytająco.

— Masz dolary, aby je kupić?

— Kupię ci najpiękniejsze złote pantofelki, jakie znajdziemy w diploshopie.

— Dobrze wiesz, że żadnemu Kubańczykowi, ani Kubance nie wolno wejść do diploshopu. Tam sprzedają tylko za dolary, których nam nie wolno posiadać.

— Ty przecież jesteś nigeryjską księżniczką, i masz prawo wejść dokąd zechcesz.

— Zrobię to po raz pierwszy w życiu. A jeśli zażądamy ode mnie paszportu, co wtedy będzie?

— Wejdiesz ze mną.

Znowu zaczęła tańczyć, mimo że w radiu nie nadawali już muzyki.

— Tak wejdę z tobą. I dokąd jeszcze mogę z tobą wejść jako księżniczka? Zabierzesz mnie do Europy? Powiedz, zrobisz to? Czy w Polsce nie będą cię wytykać palcami, że przywiozłeś sobie czarnuchę?

— Nie będą.

— Powiedz: jak mamę kocham.

— Jak mamę kocham.

Objęła mnie obydwojema rękami i z niedowierzaniem patrzyła mi w oczy.

— Chcesz, żebym ci uwierzyła?

— Przecież masz męża.

— On nie jest moim mężem. Jestem z nim, bo przecież trzeba z kimś być, ale to wszystko.

— I sądzisz, że cię wypuści?

— Jestem wolna i mogę wyjechać z tobą, jeśli mnie zabierzesz.

Patrzyła na mnie tak, jak patrzy człowiek zamieniony w pająka, przydeptany czyimś butem. Uczułem, że wzbiera we mnie coś dziwnego, coś mnie dusi w gardle. Najbardziej obrzydliwe jest kłamstwo. Zawiedziona nadzieja jest gorsza od braku nadziei.

Staje się udręką.

Odzywa się telefon, ale nie podnosimy słuchawki. Pewnie znowu dzwoni dyrektor hotelu. Telefon

jednak nie przestaje dzwonić. Tak uporczywy, że staje się denerwujący. Kiedy podnoszę słuchawkę, telefonistka hotelowa mówi, że na dole czeka na księżniczkę Yoruba jej rodak. Proszę go do telefonu i mówię, żeby przyniósł naszyjnik z kości słoniowej, to będzie mógł zobaczyć księżniczkę. Odkładam słuchawkę.

Powinniśmy już schodzić, aby nie spóźnić się do diploshopu. Przypuszczam, że Nigeryjczyk zaczepia wszystkie czarnuchy zjeżdżające do hallu. Kiedy zobaczy Silwię, już się od niej nie odczepi.

Patrząc na stopy Silvii i wiem, że powinienem jej kupić modne sandaalki zamiast złotych pantofelków, których nigdzie nie znajdę. Fascynuje mnie brąz jej skóry, wkładam pod sukienkę rękę i dotykam jej gorącego i mokrego seksu. Jest jednak zaaferowana myślą o wizycie w diploshopie, która ma dla niej smak zakazanego owocu. Bardzo to przeżywa.

Zjeżdżamy na dół. Winda zatrzymuje się gdzieś w połowie drogi i nie chce ruszyć. Nikt się jednak specjalnie nie denerwuje.

Trzeba tylko poczekać. Ktoś ją ściągnie na dół. Serce mi się tłucze jak oszalałe, mimo że nic się nie dzieje. Silvia ściska mi jednak rękę. Młoda para obok całuje się jak opętana. Czarny chłopak trzyma ręce na pośladkach dziewczyny i przyciska ją do siebie łonem nie zwracając na nikogo uwagi. Dla nich winda mogłaby tak stać w nieskończoność. Silvia pyta, która godzina. Mnie serce tłucze się zawzięcie i wydaje mi się, że zaczynam się dusić. Jasnowłosa dziewczyna,

która stała pod przeciwległą ścianą windy, być może Szwedka albo Niemka, osuwa się na podłogę bez jednego słowa. Chcę ją podtrzymać, ale jej ciało jest zupełnie bezwładne.

Naciskam po kolei wszystkie guziki, które oznaczają piętra, alarm, wezwanie pomocy itd., przebiegam po nich palcami jakbym grał na pianinie. Winda stoi jak zamurowana. Zaczynam tłuc pięściami w drzwi, ale to nic nie pomaga. Silvia rozpina mi guziki koszuli i przytula się do mnie bardzo delikatnie.

— Nie jesteś samotny — szepcą jej wargi — jestem z tobą, — przykładą rękę do mojego serca i znowu szepce: — uspokój się, uspokój się...

Winda rusza, ale o dziwo jedzie do góry i przyspiesza bieg, coraz szybciej i szybciej, aż osiąga pułap dwudziestego piątego piętra, odbija się i wraca pędząc ku ziemi, przed oczami migają mi tylko światełka pięter. Silvia coraz mocniej się do mnie przytula, czuję podniecający zapach jej skóry. Na dole zdaje się zwalniać, mijamy najniższe piętra, pojawia się „parter”, od którego odbijamy się i lecimy znowu do góry. Trwa to w nieskończoność, wydaje się, że winda już nigdy się nie zatrzyma.

Niespodziewanie staje na trzecim piętrze, tam gdzie znajdują się wielkie sale restauracyjne, balowe i konferencyjne. Pół żywi wychodzimy z niej i wspólnym wysiłkiem wynosimy zemdloną blondynkę. Schodzimy wewnętrznymi schodami wprost do wielkiego hallu. Na szczęście Nigeryjczyk się gdzieś zapodział i nikt nie zatrzymuje Yoruby. Przed

hotelem stoi na podjeździe czarna wołga w charakterze taksówki. Do niedawna jeździli nią ludzie z Pałacu. Teraz wsiada do niej nigeryjska księżniczka. Taksówkę prowadzi kobieta. Jedna z tych, które uprawiały wolny zawód, a potem poddano je resocjalizacji. Ledwie ruszyliśmy, a Silvia chce już wysiąść. Ściska moją rękę w swoich ciemnych i kruchych, bardzo kostycznych palcach.

Dojeżdżamy do Miramaru, kroczące drzewa wyglądają jak wielbłądy. Mijamy polską ambasadę, w której ktoś mi powiedział, abym nie odważył się przyprowadzić na coctail czarnej dziewczyny. Wjeżdżamy na dziedziniec diploshopu, który wobec ubóstwa miejskich sklepów wydaje się meksykańskim Palacio de Hierro czy madryckim El Corte ingles, czyli najbogatszym i najbardziej eleganckim magazynem. Tutaj jest ten inny świat, choć w rzeczywistości dość żałosna namiastka zachodniego luksusu. Można tu jednak wybierać, a nawet przebierać za waluty wymienialne. Czasem wydają resztę starymi dolarami z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. SiWię zatrzymują w drzwiach strażnicy, ale wystarczy to jedno magiczne słowo: „Princessa Yoruba”, abyśmy zostali wpuszczeni z honorami. W diploshopie kręcą się też poddani moskiewscy, prascy i sofijs-cy w sporych ilościach, nie mówiąc o warszawskich. Królami jednak są tu Afrykanie, którzy kupują swoim hawańskim przyjaciółkom delikatną zachodnią bieliznę, zwykle kolorową i w szokujących wzorach.

Oglądaliśmy z Yorubą afrykańskie zawoje, kiedy usłyszałem tuż obok, jak ktoś syknął: „Silvia”. Sądziłem, że się przesłyszałem, ale jakiś czarnuch przystanął obok nas i już otwierał usta, aby coś do Silvii powiedzieć, kiedy zobaczył mnie i cofnął się w tłum. Podeszło dwóch sprzedawców i zapytali zwracając się do mnie, czy jestem z księżniczką Yoruba. Kiedy potwierdziłem ich przypuszczenia przyjęli rolę przewodników po sklepie i pomogli znaleźć zawój, jakiego Silvia nigdy w życiu nie widziała. Zaprosiła mnie do przymierzalni. Patrzyłem na nią i na jej odbicie w lustrze. W luźnych afrykańskich szatach jej ciało obiecywało nadzwyczajną rozkosz. Objąłem ją delikatnie, aby nie zgnieść tej szeleszczącej krochmalem i świeżością odzieży i już nie mogłem się opanować, aby nie wziąć do rąk twardej granatowej piersi. Rozwinąłem zawój i na wpół rozebrana była jeszcze bardziej podniecająca. Od ciekawskich spojrzeń odgradzały nas cieniutkie ściany zwiewnej materii zasłon. Nie zważałem na to, zapragnąłem jej tak mocno, jak wówczas, kiedy siedziała na moich kolanach, w czarnym jak noc night clubie. Zapomniałem, że istnieje świat, tuż obok nas jest pełno ludzi, i pewnie już tworzyła się kolejka do przymierzalni. Ktoś podniósł zasłonę. Silvia syknęła i wstydliwie zasłoniła zawojem piersi. Stała przed lustrem i malowała kredką grube wargi. Wyszliśmy z kabiny i wówczas zobaczyłem kilka dziewcząt wpatrujących się w Yorubę tak intensywnie, jakby zazdrościły jej chwili szczęścia, którą ze mną przeżyła.

Taksówkarka czekała na parkingu. Poprosiłem, aby zawiozła nas do „Habana Libre”. Dawniej ten hotel nazywał się „Habana Hilton”. Wjechaliśmy na jego podjazd od Dwudziestej Trzeciej. W wielkim hallu pod oszkloną kopułą znajdowała się oranżeria, z niewidocznych głośników sączyła się przyciszona muzyka, na pierwszym piętrze za bambusową ścianą krył się bar, oddzielony od otwartego basenu tylko szklaną taflą szyb. Wyplatane krzesła i fotele, niskie stoliki, po środku okrągły kontuar, wewnątrz niego uwijający się kelnerzy, a wokół wysokie stołki. Tutaj podawano „cuba libre”, rum z hierba buena. Obok wejścia do baru była sala balowa, w której każdej nocy królował show czarnych baletnic. Powiedziała że uwiera ją bucik, który przed chwilą kupiliśmy w diploshopie. Ukląknę przed nią i zdjęłem jeden, potem drugi jej pantofelek. Stała się bosą księżniczką. Klęczałem u jej stóp ściągając na siebie wzrok obecnych w barze mężczyzn. Nikt jednak nie reagował. Pochyliła się nade mną i głaskała moje włosy. Objąłem ją na oczach tych wszystkich, którzy się w nas wpatrywali. Ktoś syknął. Pojawił się kelner i zamówiłem dwie porcje krewetek. Wtedy wskazał wzrokiem na Silię i zapytał czy ona jest gościem hotelowym, a kiedy odpowiedziałem przecząco, odmówił przyjęcia zamówienia. Powtórzyła się sytuacja sprzed lat.

— Tylko dla gości hotelowych.

Kiedy odszedł Silvia wyszeptała ledwie poruszając wargami:

— Zabierz mnie stąd.

Zaproponowałem, abyśmy pojechali na dwudzieste piąte piętro do klubu „Pico Turbino”, ale już w windzie usłyszałem, że wszystkie miejsca są zajęte. „Pico Turbino” jest bowiem największą i trudno dostępną atrakcją hawańczyków.

— Powiemy, że jesteś księżniczką i na pewno nas wpuszczą — szepnąłem jej w windzie. Zaprotestowała ostro i zdecydowanie, niemalże krzyżąc:

— Nie jestem Yorubą, nie chcę być księżniczką. Mam już dosyć udawania. Prędzej czy później ktoś mnie rozpozna, nazwą mnie oszustką i postawią przed trybunałem. Za karę ześlą mnie do obozu pracy w prowincji Pinar del Rio.

— Nikt cię nie rozpozna w tym zawoju.

— Nie chcę, już nie chcę! Jeśli będziesz, mnie zmuszać, ucieknę i nigdy mnie już nie znajdziesz.

Zjeżdżamy na parter. Sączy się tutaj nieustannie przyciszona muzyka z niewidocznych głośników. Wśród palm i tropikalnych krzewów oranżerii zewnętrzny świat przestaje istnieć. Odbieram ten hotel wszystkimi zmysłami, jest jak statek, który razem z wyspą unosi się na falach Karaibskiego Morza. Sam jest wyspą komfortu, której nie masz ochoty opuszczać.

Naprzeciw hotelu był kiedyś neon reklamujący „Tropicane”, największy kabaret zachodniej półkuli. Na przestrzeni lat coraz mniej liter się w nim świeciło. Wreszcie zaczął straszyć jak człowiek z czarnymi dziurami w uzębieniu. Pożółkły też. śródmiejskie palmy, ale po każdym tropikalnym deszczu dyszą wilgocią i odradzają się do życia.

Zapadający zmierzch rozpala namiętności, wywołuje tęsknoty i rozbudza wyobraźnię. We mnie wyzwala potrzebę odgadnięcia przyszłości. Stoimy jeszcze ciągle przed „Habana Libre”, bo nie sposób się stąd wydostać. Taksówki nie nadjeżdżają, a jeśli jakaś się pojawia okazuje się, że przywozi lub odwozi VIP-ów.

Aby wyzwolić się z tej beznadziejności ruszamy na piechotę Dwudziestą Trzecią w dół, aby złapać autobus do starej Hawany. Idziemy w niekończącym się korowodzie wieczornych spacerowiczów, którzy wylegli na ulice Vedado. Dzieciaki proszą o cukierki, jacyś młodzieńcy proponują wymianę dolarów, mimo że jest to surowo zakazane.

Jest już zupełnie ciemno, kiedy wspinamy się po marmurowych schodach kamienicy na hawańskiej Starówce. Wszystkie moje wizyty u Viernes trzymam w ścisłej tajemnicy. Wróżyc tutaj nie wolno, ani też słuchać wróżb. Viernes jest rewelacyjny, właściwie nigdy nie zawodzi. Niedawno zapowiedział śmierć kogoś mi bliskiego i też się nie pomylił. Alejo Carpentier powiedział kiedyś: „Nigdy nie wiesz kto i nie wiesz gdzie, ale zawsze ktoś ci szykuje szubienicę”.

Wspinamy się po marmurowych schodach na bardzo wysokie pierwsze piętro, jak na piramidę. Silvia nigdy tu nie była. Nie wiem jak Viernes ją przyjmie. Mieszka za przepierzeniem z kartonu, czy też dykty, które odgradza jego mieszkanie od klatki schodowej. Hoduje czarne koguty, na ścianie wisi

obraz Matki Boskiej. Viernes jest człowiekiem religijnym, przed każdym seansem każe składać ręce do modlitwy. W młodości studiował teologię w seminarium duchownym, ale odezwał się w nim zew Afryki. Afryka go woła. Duchy jego przodków Bantu, te same, które mu wskazują drogę życia.

Należy zapukać w dyktę i wówczas drzwi otwiera siostra Viernesa. Nieoczekiwanie pojawia się on sam. Przepuszczam przed sobą Silwię i przedstawiam mu ją: „Księżniczka Yoruba”. Silvia w afrykańskim lamowanym zawoju wygląda ceremonialnie. Wielki pajak maszeruje wzdłuż ściany i znika za świętym obrazem. Silvia stoi nieśmiało w progu, Viernes zaprasza mnie do sanktuarium Chango za przepierzeniem. Tutaj pieczę nade mną powierza swoim afrykańskim duchom zmarłych. RzUCA muszelki przywiezione z Czarnej Afryki: „Mówią mi, że ona cię nie zdradzi. Możesz być tego pewien. Ona nie zna pojęcia zdrady. Pragnie miłości, bez której uschłaby jak roślina pozbawiona wody. Naucz się rozumieć jej duszę i ciało”.

RzUCA ponownie dwanaście muszelek, które odziedziczył po nieżyjącym afrykańskim wróżbicie Bantu.

„Mówią mi, że twoje drogi są otwarte, ale jest ktoś obok ciebie, kto źle na ciebie wpływa. Chce tobą zawładnąć, chce cię mieć na własność. Rozstań się z tą osobą”.

— Mogę jeszcze o coś zapytać?

— Obawiam się, że jest za późno. One już odeszły.

Muszelki straciły swoją magiczną moc i stały się tylko zwykłymi przedmiotami.

Teraz Silvia wchodzi do Viernes. Czekam słuchając radia „Reloj”, które informuje, że dziś rano został stracony były bohater narodowy, były generał, były dowódca wojsk kubańskich w Angoli, Arnaldo Ochoa, za przemyt narkotyków.

Silvia wraca i tuż za nią pojawia się Viernes, aby pożegnać nas kreśląc na naszych czołach znak krzyża. Już na marmurowych schodach Silvia mówi, że nie wolno jej wracać do hotelu „Dauville”.

Wsiadamy do autobusu, który dowiezie nas do Avenidy Reyna. Teraz muszę zdać się na Silvię, bo zupełnie straciłem orientację w plątaninie ulic starego miasta. Autobus jest wypełniony do ostateczności, trudno się wcisnąć do środka. A mimo to Silvia stoi wyprostowana i smukła jak palma królewska. Nikt jej nie dotyka, pasażerowie zrobili jej miejsce. Swoim afrykańskim strojem budzi ich pożądlive zainteresowanie, a mężczyźni rozbierają ją wzrokiem.

Mulat stojący obok zdejmuje z niej te luźne afrykańskie szaty, pieści jej piersi i ssie sutki, otwiera swoimi wielkimi jak placki dłońmi jej uda. Noc zapada gorąca i parna. Autobus wyrzuca nas na chodniku pustej ulicy.

Bezruch powietrza sprawia, że czuję się nim oblepiony.

Nadjeżdżające samochody omiatają nas reflektorami swoich świateł. Silvia idzie przede mną kilka kroków. Stanowczo zabroniła mi się do siebie zbliżyć. Dom, do którego wchodzimy musiał kiedyś

należąc do zamożnych lokatorów, zostały kolorowe witraże w oknach. W zakamarkach ścian i futrynach drzwi strzygą wąsami brązowe *cucarache*. Na drugim piętrze Silvia naciska trzykrotnie dzwonek u drzwi. Widzę czyjeś oko w wizjerze.

Wchodzimy do mieszkania pełnego bibelotów i bujających się foteli. Spod okien spoglądają na nas grzbiety książek w tanich, popularnych wydaniach. Amfitriona wita nas kabotyńskim uśmiechem bajzel mamy. Jest to jejmość tłusta, obleśna i z trudem poruszająca się po mieszkaniu. Sprawia wrażenie, jakby oczekiwała gości, ale nie nas. Mówi jednak do Silvii: „Cieszę się, że przyszłaś mnie odwiedzić, gołąbeczko, z twoim amerykańskim przyjacielem”. Po czym zaprasza, abyśmy usiedli w tych bujających się fotelach i pyta, czy chcemy napić się kawy. Przypuszczam, że poda nam ją w maleńkich filiżaneczkach z cieniutkiej porcelany. Nie spieszy się jednak z jej zaparzeniem. Nastawia za to adapter i pokój wypełnia się kubańskim bolero. Wyciągam z podręcznej torby puszkę rozpuszczalnej kawy i stawiam na stole. Wyraźnie ją sobie tym ujmuję. Wychodzi z nią do kuchenki. My zaś patrzymy w telewizor, który warczy i rzeźi na ostatnim chodzie, ale obraz jest jeszcze widoczny. Wyjmuję z torby czekoladę i podaję Silvii. Otwierają i łamię na kawałki. Za drzwiami sąsiedniego pokoju słychać odgłosy jakby walki, zmagania, sapanie i porykiwanie. Kiedy amfitriona zauważa moje zainteresowanie dla tego co się tam dzieje, podkręca gałkę telewizora, a mimo

to ciągle słycać jakąś szamotaninę, jęczenie i stękanie, aż z tego wszystkiego wyrywa się ku górze i rozlega po całym mieszkaniu okrzyk radości i uniesienia: Jesus Maryja. Tamta dziewczyna za drzwiami szczytuje. Podnieca mnie do tego stopnia, że nieopatrznie kładę rękę na kolanie Silvii i zaczynam przesuwając ją do góry. Amfitriona patrzy na mnie szeroko rozwartymi żrenicami, aż Silvia także krzyczy: „Przestań Bella, przestań robić miny. Jego się nie bój”. Wskazuje na mnie — On przyszedł tutaj ze mną. Nikt nas nie obserwował. Nie bój się. Mówię ci, nie bój się.

Tamta dziewczyna za ścianą ciągle krzyczy. Jej krzyk rozkoszy wwierca się w dyszącą jeszcze upałem dnia tropikalną noc. Bella tłumaczy mi swój lęk: „Od czasu, kiedy mąż Silvii zginął w Angoli nie wolno jej utrzymywać z nikim żadnej więzi. Ona jest patriotyczną wdową. Nie ma prawa rozporządzać swoim ciałem, które należy do Adriana”. Bella otwiera usta jak duża ryba, chcąc jeszcze coś dodać, ale milknie. Przebrzmiewają także dźwięki bolera, adapter piskliwie skowyczy. Dziewczyna za ścianą znowu szczytuje.

— Ma pan dobry gust — mówi Bella. — Wystarczy spojrzeć na Silvie, aby przekonać się, że takiej drugiej nie znajdzie pan w całej Hawanie. A już jej nogi! Może występować w Tropicanie. Ale ją pan wystroił — patrzy z podziwem na Silvie.

— Nie wygłupiaj się Bella, nie musisz mówić takich rzeczy — protestuje Silvia.

Stara znowu spogląda na mnie niespokojnie i szepcze: — Tamci zaraz skończą.

Przypominam sobie, że mam jeszcze w torbie pomarańcze, wysypuję je do koszyka znajdującego się na stole. Jedna złocista kula toczy się i spada na podłogę. Bella patrzy na mnie urzeczona.

— *Naranjas!* Nie widziałam ich od czterdziestu lat.

— Co ty mówisz Bella? — wtrąca się Silvia.

— To jest prawda, niech on wie — wskazuje na mnie głową. — Od czterdziestu lat nie widzieliśmy pomarańczy, bananów ani grejpfrutów. Od czasu kiedy przyszli ci z brodacze nigdzie już nic nie ma.

Wpatruje się jak zahipnotyzowana w pomarańcze, ale żadnej z nich nie dotyka.

— On je przyniósł dla ciebie, przestań się skarżyć.

— Czy to prawda co mówi Bella?

— O czym myślisz?

— O tym, że twój mąż zginął i ty nie możesz.

— Nie wolno mi zadawać się z nikim, a już szczególnie z cudzoziemcem. Nie wolno mi przyjmować od niego podarunków. Nie wolno mi iść z nim do łóżka. Wystarczy ci?

— A tamtym wolno? — wskazuję na pokój, w którym dziewczyna krzyczy ze szczęścia.

— Oni są tutejsi, obydwój. To nie jest zabronione. Nie wolno tylko iść z innym, jeśli mąż wyjedzie na zafrę już ci to mówiłam. Wtedy z nikim nie wolno. To jest zakazane przez Komitety Blokowe.

Bella przynosi kawę i podaje cukier.

— Dużo nie wsypuj — szepcze do mnie Silvia.

Amfitriona zbliża się do drzwi pokoju, w którym tamta dziewczyna krzyczała. Stuka dość mocno, chociaż dyskretnie. Nie musimy już długo czekać. Tamci skończyli się kochać i teraz zapewne się ubierają. Ciekawy jestem czy dziewczyna zasłoni sobie twarz. Zwykle kobiety nie chcą, aby ktoś obcy patrzył na nie wiedząc, że przed chwilą się kochały. Dziewczyna idzie pierwsza i patrzy na mnie nie tylko z odsłoniętą twarzą, ale wyzywająco. Kiedy wychodzą mówię do Silvii:

— Tak na mnie spojrzała, jakby chciała mi coś powiedzieć.

— Jej mąż jest na zairze.

— Szpanuje, bo się boi.

Bella idzie uprzątnąć dla nas pokój. Zostaję sam z Silvia.

Telewizja zaczyna nadawać wiadomości meteorologiczne z basenu Karaibów. Pieści opuszkami palców moją rękę. Powietrze międli rachityczny wiatraczek. Bella woła nas, aby pokazać jak nakrywa łóżko świeżym prześcieradłem, jak zmienia kopertę długiego jaśka, otwartego z obydwu brzegów, którego tutaj używa się zamiast poduszki. Robi to w skupieniu. Także bez słów podchodzi do ściany i zasłania ręcznikiem twarz Marii Dziewicy na obrazie. Figurkę świętego Antoniego nakrywa kawałkiem zielonego jedwabiu. Pokazuje nam łazienkę. Objaśnia, że w kranie nie ma wody, ale zostało trochę przygotowanej w kuble i jest miska do mycia. Nie ma mydła, ale na talerzyku znajduje się popiół, którego używa się w zamian. Wyciągam z torby dwa kawałki pachnącego mydła. Przez

chwilę ogląda je, jakby skrepowana, wreszcie kładzie na widocznym miejscu w łazience. Opuszcza nas szybko i dyskretnie.

Silvia staje przed lustrem zmatowiałym od starości i podnosi do góry ręce jakby chciała poprawić swoją afro. Jej włosy są twarde i gęste, i nic nie da się z nimi zrobić. Obejmuję ją od tyłu.

Natychmiast się

O mnie opiera. Zdejmuję z niej ubranie. Robię to pospiesznie, nie mogę się już doczekać, kiedy się ze mną położy. Wyczuwa nerwowość moich rąk. „Nie spiesz się tak, przecież ci nie ucieknę”.

Mamy przed sobą tropikalną noc i sączącą się z głośnika muzykę Karaibów. Łoże jest szerokie, mogłyby się na nim pomieścić nawet trzy pary. Rozbieram teraz Silvię ostrożnie, aby nie zniszczyć jej afrykańskiego stroju. Dotykam jej czarnej, błyszczącej skóry. Całuję jej piersi już odkryte. Przyciągam ją, aby całować jej uda i seks i wówczas uderza mnie w nozdrza jej przejmujący zapach. Żadna biała kobieta tak nie pachnie.

Pociągam ją na siebie

i przewracam się na plecy. Teraz jest na mnie, ja pod nią.

Obydwoma rękoma obejmuję jej pośladki. Pożądanie staje się silniejsze od nieskończoności świata. Wejdę w nią i cały świat zamknie się pomiędzy jej udami. Nastąpi zupełne zapomnienie. Odurzający zapach jej seksu z każdą chwilą jest silniejszy, to ja go rozbudziłem. To jej pożądanie go wyzwala.

Czarna skóra Silvii pokrywa się kropelkami potu. Jej pot miesza się z moim potem. Przyleciałem z tak daleka, z innego świata, aby ją osiąść w tym

obskurnym pokoiku starej Belli, w łożu torturowanym niemiłosiernie przez spragnionych kochanków każdej nocy i każdego dnia. Silvia całuje mnie swoimi wilgotnymi wargami Mulatki. Łaskoczą mnie włosy jej wzgórka łonowego. Wkładam rękę pomiędzy jej uda i otwieram palcami jej wargi sromowe. Jej ręka wędruje do mojego penisa i poczyną go obejmować i pieścić. Czuję jak rośnie i grubieje w jej dłoni.

Odczuwam wobec niej niepohamowaną czułość, patrzę na jej twarz z lekko spłaszczonym nosem, wydatnymi kośćmi policzkowymi. Patrzę w jej zamglone od pożądania oczy. Teraz to sobie przypominam ciągle inaczej. Coraz więcej szczegółów podsuwa mi pamięć.

Silvia podeszła do lustra, podniosła ręce do swojej afro fryzury.

Objąłem ją od tyłu. Wziąłem w dłonie jej piersi, były twarde i krągłe. Dotknąłem jej sutek. Jej piersi zaczęły się prężyć.

Odsunąłem się, aby patrzeć z boku na jej niezwykłą urodę.

Doskonale harmonijny profil, którego sam Bóg by lepiej nie wymodelował. Pieściłem opuszkami palców jej skórę, dotykałem jej wargami. Ukląkłem i podciągnąłem na udach jej luźną afrykańską szatę. Położyła na mojej głowie obydwie ręce.

Podniosłem ją i rzuciłem na łóżko. Tak właśnie: rzuciłem, bo w ostatniej chwili nie mogłem jej utrzymać. Natychmiast ją za to przeprosiłem i pocałowałem w stopę. Jej stopa była także erogenna. Całowałem jej odkryte piersi, ale nie pozwoliła dotknąć seksu. Odsuwała moją rękę. Wówczas poprowadziłem jej

dłoń niżej, do mnie, i kiedy dotknęła mojego penisa, już jej nie cofnęła, objęła go i ścisnęła w skupieniu, czując w nim moją pulsującą krew. Po czym uwolniła się ze wszystkiego i błyszcząca czerń jej skóry zafalowała w moich oczach. Mimo to zacisnęła uda, aby mnie nie wpuścić do środka.

Wyrobione miłośniczo łóżko było miękkie i wyboiste od ciągłej młócki. Stary sprężynujący materac, przetarty w wielu miejscach. Świadek radosnych figlów, powiernik wyznań, wybuchów radości i szaleństwa miłosnych pchnięć. Nic nie miało wspólnego ze zwykłym, a nawet pokornym łóżkiem małżeńskim. To było łóżko rogate, zazdrosne o swoje tajemnice, których za nic na świecie nie wyda. Doświadczone pożądaniem i przesycone spermą. Objąłem Silvię i pociągnąłem ją na to torturowane dzień i w nocy, o zmierzchu i o świtaniu łóżko miłości, które wydawało mi się żywym organizmem, dzielącym z ludźmi bezmiar ich rozkoszy i udręki. Sprzedajne łóżko, które zarabia w dni powszednie i świąteczne noce dolę dla Belli. Łóżko—warsztat do robienia pieniędzy.

Niespodziewanie Silvia wysunęła się z moich objęć i zmartwiała. Zaskoczył mnie nagły bezwład jej ciała. Położyłem rękę na jej sercu. Tłukło się niemilosierdzie. Jej ręka zastygła w moich włosach.

— Ty już tutaj nie wrócisz Robercie — powiedziała. — Wiem, że już cię nigdy więcej nie zobaczą moje oczy.

— Skąd to wiesz?

Ogarnął mnie ponownie wybuch czułości. Całowałem jej twarz, jej szyję, piersi, jej ręce. Znowu jej twarz, po której spływały powoli wielkie krople łez.

— Nie wrócisz do mnie. To jest nasza ostatnia noc. Innej już nie będzie.

— Czy Viernes ci to powiedział?

Jej ciało stało się mokre, jakby płakała wszystkimi porami skóry.

— Nie wyjadę stąd bez ciebie.

Przytuliła się gwałtownie, rozpaczliwie, szaleńczo. Całowała mnie swoimi wargami w usta. Jej gibkie ciało owinęło się wokół mnie.

Włożyłem rękę w jej fryzurę afro. Pragnąłem czuć na sobie jej piersi. I jej biodra na moich.

Podniosła głowę, patrzyła na mnie półprzytomnie, w jej oczach był popłoch.

— Oni nas śledzą. Mnie śledzą. Mówiłam ci, że nie wolno mi z tobą być.

— Nie bądź śmieszna. Kogo to może obchodzić?

— Śledzą mnie od chwili, kiedy weszłam do hotelu „Lincoln”. Śledzili nas w „Dauville” i dip-loshopie.

— Może zmieniali się, abyś ich nie mogła rozpoznać.

— Nie kpij. Zapamiętałam twarz jednego z nich. Był w diploshopie, a potem jechał za nami do Viernesu i znalazł się w autobusie, którym tutaj przyjechaliśmy.

— Pewnie jakiś zazdrośnik.

— Mówię ci, nie kpij. Oni mnie rozpoznali. Robię coś bardzo złego. Zadaję się z obcym.

Zerwała się z łóżka i stanęła na nim tak gwałtownie, że sprężyny materaca podrzuciły ją w górę. Upadła na łóżko. Usiadła na nim podciągając nogi pod brodę.

— To, co robię z tobą, jest zabronione. Rozumiesz! Jest niemoralne, bo mój mąż Adrian zginął w Angoli.

Wstrząsały nią dreszcze mimo tej upalnej nocy zwrotnikowej.

— Mauricio chodzi za nami, notuje w zeszycie, aby nie zapomnieć szczegółów. Teraz też stoi pod drzwiami tam na dole, albo siedzi przy wyjściu z windy. Będzie na mnie czekał, żeby się upewnić, że wychodzę z tobą.

— Zostaniemy tutaj do rana. Chcesz?

— Mauricio mnie prześladowa z osobistej zemsty. Jechaliśmy razem windą i on ją zatrzymał pomiędzy piętrami. Zerwał mi bluzkę i wepchnął mi kolano między uda. Wcisnął mnie w sam róg klatki. Nie udało mu się mnie wziąć, bo ktoś na dole się wściekł i na siłę ściągnęli windę. Od tego czasu mnie gnębi. Mauricio jest czarny i nienawidzi, że zadaję się z kimś białym. Uklękła na łóżku i zastygła z bezruchu. Przewróciłem ją na plecy. Całowałem jej nagie ciało tak długo, aż przestała drżeć. Jej piersi, jak para małych zwierzątek, preżyły się zalotnie. Przesuwałem palcami po jej wklęsłym brzuchu i dotykałem niewidocznej łechtaczki.

Pieściła swoimi cieniutkimi jakby kruchymi palcami moje włosy. Jej wzgórek łonowy posypany

talkiem pachniał aromatem potu zmieszanego z perfumami. Zapach ten opętał mnie i zmuszał, abym znowu całował jej seks. Leżała z przymkniętymi powiekami na wznak znowu ciasno zaciskając uda. Nakryłem ją sobą i wówczas objęła mnie mocno ramionami. Leżeliśmy w ten sposób spoceni, rozgorączkowani i nieruchomi. Odniosłem wrażenie, że tuliła się do mnie szukając opieki czy pomocy. Czułem jak jej serce trzepotało się w klatce piersiowej. Otworzyła oczy i patrzyła w oczekiwaniu na coś, co miało się stać niezależnie od jej woli. W pewnej chwili rozluźniła ramiona i wymknęła się z mojego uścisku.

— Nic o mnie nie wiesz. Nie zapytałeś co się ze mną działo w ciągu ostatnich lat. Nie znałeś Adriana.

— O kim ty mówisz? — zapytałem nieprzytomny.

— Adrian był moim prawdziwym mężem, z którym wzięłam ślub w Urzędzie na Miramarze. I był biały. Zupełnie jak ty.

Zamilkła.

I wtedy zapytałem.

— Zostawił cię, czy tak?

— Opuścił mnie na zawsze. Zabili go w Angoli, na samym południu pustyni Namibe. Mam jego listy, pisał je z piasków. Tam go osaczyli i dopadli. Znam kogoś, kto widział jak wykończyli Adriana. Jego krew wsiąkała w piasek pustyni i zaraz pojawiły się na jego ciele skorpiony i mrówki. To był znak.

Rozumiesz mnie?

Teraz ja milczałem. Nie dotykałem jej. Silvia klęczała nade mną. Wreszcie zapytałem.

— Dlaczego on się pchał do Angoli?

— Kazali mu jechać na ochotnika. Po śmierci dostałam za niego czterdzieści pesos i jestem wdową po bohaterze.

Zerwała się z łóżka.

— Nie wolno ci przyjeżdżać do mnie do domu. Rozległo się stukanie do drzwi.

— Bella — wyszeptała Silvia i podeszła do drzwi. Otworzyła je na szerokość szpary na dwa palce. — Dlaczego nam przeszkadzasz, Bella?

Nie słyszałem, co odpowiedziała. Silvia prędko zamknęła drzwi. Wróciła do mnie.

— Ktoś dobija się do drzwi. Bella będzie musiała otworzyć.

W pośpiechu wkładała bieliznę. Narzuciła na siebie strój nigeryjskiej księżniczki. Wszystko po ciemku, aby nie zapalać światła. Czekala, aż się ubiorę.

— Musimy wyjść. Chodź, poprowadzę cię.

Otworzyła drzwi do ciemnego korytarzka. Wydało mi się, że za ścianą w pokoju Belli słychać czyjeś głosy. Skierowała się w przeciwną stronę. Weszliśmy na klatkę schodową, na której nie było nikogo. Nacisnęła przycisk windy, która prawie natychmiast przyjechała. Zawiozła nas na górę. Znaleźliśmy się na dachu, który połączony był kładką z bliźniaczym budynkiem. Silvia podała mi rękę i pociągnęła za sobą.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem czarną studnię.

— Nie pójdę, nie wejdę na tę kładkę. Jeśli chcesz, idź sama, ja wrócę na dół, skąd przyjechaliśmy. Nie przejdę przez tę cholerną kładkę, w dodatku dziurawą.

— Nie wrócisz, bo oni już ściągnęli windę na dół. Staliśmy trzymając się za ręce, na płaskim dachu sześciopiętrowego budynku. Nie wiedziałem, co począć, zrobiło mi się głupio, że boję się przejść te kilkanaście metrów po kładce.

— Żartuję, przecież żartuję, wcale się nie boję, czego to się bać, chodźmy!

I pierwszy postawiłem nogę na kładce trzymając się naciągniętego w miarę sznura na wysokości moich bioder, który miał asekurować przejście. Ręka Silvii była gorąca i wilgotna. Szedłem śmiało, aby nie przyszło jej do głowy, że się boję i mogę ją ściągnąć w przepaść.

Po chwili byliśmy już na dachu bliźniaczego domu, zjechaliśmy windą na sam dół. W hallu było pusto. Przed domem nikogo. Kiedy uszliśmy kilkadziesiąt metrów w stronę nieco oświetlonej ulicy usłyszałem czyjś gwizd. Przyspieszyliśmy kroku i Silvia zaczęła biec. W ten sposób dotarliśmy do przystanku autobusowego. Zatrzymaliśmy się pod blaszaną tablicą na słupie, wtulając się w siebie. Pieściłem ręką jej piersi przez cienki zwój materiału, który był jej książeczą suknią nigeryjską. Rozejrzałem się za taksówką. Miałem wielkie szczęście, bo jakaś nadjeżdżała. Podniosłem rękę i wybiegłem na jezdnię. Taksówkarz zatrzymał się. Granoczyło to z cudem. Zapytał przez otwarte okno:

— Płacisz w dolarach? Skinąłem głową.

— Pytam czy płacisz w zielonych?

— Tak, w zielonych.

Natychmiast nas wpuścił do środka. Silvia zadysponowała, aby zawiózł nas do *funeraria* w Vedado. Pamiętałem tę *funerarię*, czyli dom pogrzebowy mieszczący się w jednym z dawnych pałaców z przestronnym hallem i marmurowymi schodami.

Jechaliśmy przez puste ulice starego miasta i centrum.

Taksówkarz brał ze swadą zakręty. O nic nie pytał. Ożywiły nas światła Rampy, czyli Dwudziestej Trzeciej. Skręcił w prawo nie dojeżdżając do hotelu „Habana Libre”.

Po kilku minutach zatrzymaliśmy się przed *funerarią*. Od razu wszystko zrozumiałem. Dom Pogrzebowy w Vedado był jedynym o tej porze miejscem, w którym można było dostać kubeczek czarnej, smolistej i piekielnie słodkiej kawy i to przez całą noc. Za bezcen, za kilka centów.

Bryza rozpryskiwała fale przyływu o potężny falochron odgradzający brzeg wyspy od oceanu. Ściszona muzyka sączyła się z night clubów i lokali luksusowych hoteli. Wyszczerbione neony świeciły pojedynczymi literami. W hotelowych salach występowały w feerii jaskrawych świateł czarne balet-nice, śpiewały miłosne pieśni Meksykanina Manzanero. Piękności nocy czekały w zaułkach i bramach domów, policja objeżdżała najruchliwsze ulice i najbardziej uczęszczane miejsca, hotel Capri, bar Monseñor, Dwudziestą Trzecią i Siedemnastą, i zgarniała kwitnące na ulicach orchidee.

Zeszliśmy z chodnika Dwudziestej Trzeciej po schodkach do night clubu „23”, który mieści się w podziemiach naprzeciw wystawowego pawilonu Cuba. Pod żelaznymi drzwiami ustawiła się kolejka.

— Jeśli nigdy więcej cię nie zobaczę — powiedziała Silvia — chciałabym, abyś wiedział, że będę cię kochała do śmierci.

Jej głos zawisł w powietrzu i wydawało się, jakby skakał po jego niewidocznych, rzedrganych cząsteczkach.

Kiedy drzwi się dla nas otworzyły Silvia potknęła się na wystającym progu. Zdażyłem pochwycić ją w ramiona ratując przed upadkiem.

Murzyn prowadził nas czarnym korytarzem świecąc pod nogi do salki, w której panowała zupełna ciemność. Poświecił przy zajmowaniu miejsca na drewnianej ławce za stolikiem pod ścianą i zniknął. Po chwili zjawił się kelner. „Dla mnie — powiedziała Silvia — rum *à la roca*”, czyli rum z lodem. Zaskoczyła mnie tym, bo Hawanki zamawiają zwykle likier, albo słodką anyżówkę. Dość szybko przyniósł zamówienie, na chwilę poświecił latarką, aby ustawić szkło na stoliku i ulotnił się. Mechaniczna muzyka wypełniała salkę, nie psując nastroju intymności. Chroniła ją nieprzenikniona ciemność. Czułem gorącą bliskość ciała Silvii. Dotknąłem opuszkami palców jej odsłoniętych kolan i ud, głaskałem je otwartą dłonią.

Przesuwałem ręką wyżej. Czułem jak wzbiera we mnie gorączka pożądania, najwspanialszej namiętności, która stanowi o celu samego życia. Natrafiłem koniuszkami

palców na figi, nie mogłem się opanować i włożyłem pod nie rękę. Otwierałem delikatnie i bardzo powoli płatki jej warg i czułem pod palcami gorącą wilgoć drżącego seksu.

Silvia objęła mnie za szyję i całowała. Jej usta przypominały mi w wyobraźni jeżyny z polskich lasów. Otworzyła błyskawiczny zamek moich spodni. Jej ręka dostała się do środka. Dotknęła penisa. Delikatnie pocierała go ręką. Poczulem elektryzujący prąd. Coraz mocniej go pieściła. Usiadła mi na kolanach i wbiła się na mój członek.

Ktoś naprzeciw nas zapalił papierosa. Światło zapałki odśłoniło na moment twarze i zgasło. W ciemności jarzył się tylko ognek papierosa, wirował mi w oczach i oddalał się gdzieś w nieskończoność, jak nieskończona była rozkosz, która mnie obezwładniła. Starąłem się wedrzeć jak najgłębiej w jej ciało, wypełnić jej pochwę do granic możliwości.

Ona sama ciasno obejmowała mnie za szyję, poruszała biodrami i wgniatała mnie w oparcie ławki. Przyciągałem ją do siebie, ale nie miałem już wpływu na samoistnie rytmiczny ruch jej bioder. Ona też nad nim nie panowała. Odniosłem wrażenie, że nasze ciała już nas nie słuchają. Rządzą się swoimi własnymi, niezależnymi od nas prawami. Jej biodra poddawały się rytmom muzyki. Coraz szybciej oddychała zbliżając się do szczytu, jakby przy wejściu po stromizmie na wierzchołek góry. Wbijała się we mnie w nieustających uderzeniach miłosnych. Rozwierałem dłońmi jej uda, aby być w niej coraz

głębiej. Jej ciałem szarpnął spazm rozkoszy. Krzyknęła tak głośno, że jej krzyk przedarł się przez burzę dźwięków muzyki wypełniającej night club. Mój penis darzył ją wytryskiem gorącej spermy, którą przyjmowała w siebie z radością, pokrywając moją twarz pocałunkami.

Wysunęła się z uścisku i przylgnęła do mnie tuląc się całym ciałem.

Świt pachnie rybami. Woda marszczy się krótką falą, uderza o brzeg, jakby morze budziło się także ze snu. Jego świeżość przynosi ukojenie rozedrganym nerwom. Bezsenna noc pozostawiła osad zmęczenia, które gorące słońce wzmoże już za chwilę, ale teraz dopiero wstaje, podnosi się w oparach mgły rzeński ranek, powodując złudzenie, jakby życie rodziło się na nowo. Morze wyrzuca na plażę niezliczone ilości drobnych, nadmuchanych powietrzem pęcherzyków, zielone łodyżki roślin morskich, planktonu. Wyrzuciło także na mokry piasek śnięte ryby, które prąd przyniósł od niezbyt odległych pól naftowych, tam gdzie woda jest już skażona trucizną.

Silvia odbija się od mokrego piasku jasnymi podeszwami swoich stóp i biegnie. „Goń mnie!” Podążam za nią wzdłuż łąchy piaskowej i ona coraz szybciej pokonuje przestrzeń, oddala się ode mnie. Morze nie sięga już szczytu łąchy, złości się i pozostawia swoje dąsy w postaci piany gdzieś po środku pasma białego piasku. Silvia ginie mi z oczu. Piasek zwęża się i w miejscu, w którym morze styka się ze

świerkowym lasem woda podmywa korzenie drzew i tworzy wśród nich altany i kryjówki, w których podczas odpływu można skryć się na wiele godzin.

Niespodziewanie słyszę jej głos gdzieś z dołu i spostrzegam w zakolu miniaturową zatoczkę w wyrwie, którą morze odebrało lądowi. Na powierzchni szamoce się targana prądem tratwa zbita z desek, przycumowana jakąś linką czy sznurem do wystającego korzenia świerku. Silvia stoi na niej i złamane wiosło wbija w dno płytkiej wody. Woła do mnie przekrzykując szum morza: — Na tej tratwie odpłynę stąd na zawsze. Tylko dziewięćdziesiąt mil dzieli nas od Florydy. Jeśli będę miała szczęście, dotrę do jej brzegów.

— A jeśli szczęście cię opuści?

— Wiem o czym mówisz. Golfstrom potrafi znieść nie tylko tratwę, ale nawet statek, który zepchnięty prądem minie Florydę i zniknie w Atlantyku. Na zawsze. Ja to wiem. Statek może ktoś dostrzec, ale kto zauważy moją tratwę... to chcesz powiedzieć. Prawda? Dlatego chcę abyś popłynął ze mną. Obiecuj mi, że będziemy razem. Nikt nas nie zatrzyma. Najwyżej — nagle roześmiała się — kula strażnika, który zechce wysłać nas na tamten brzeg prędzej niż dopłyniemy tratwą. Ja jestem gotowa. Czekam tylko na ciebie. Popłyniesz ze mną?

— Tak! — Zawahałem się. — Popłynę! Silvia wyskakuje na brzeg zatoczki ze złamanym wiosłem w ręku. Podbiega do mnie, obsypuje mnie pocałunkami.

— Wiedziałam, że mnie nie opuścisz. Uciekniemy stąd na zawsze. Będziemy szczęśliwi, będziemy bardzo szczęśliwi. Powiedz: będziemy bardzo szczęśliwi.

— Tak Silvio.

— Spotkamy się jutro o północy. Nikt nas nie złapie. W telewizji zapowiedzieli deszcz i burzę. Przysięgnij na swoją matkę, że przyjdiesz.

— Przyjdę na pewno.

— Przysięgnij.

— Przysięgam.

— Uklęknij i przysięgnijmy razem, że się tutaj spotkamy jutro o północy.

Ukląknę przy niej, podniosłem rękę do góry i powiedziałem: „Przysięgam”. Silvia powtórzyła za mną. „Przysięgnij na Boga, w którego wierzysz”. „Przysięgam”. Silvia powtórzyła moje słowa.

Tropikalna ulewa, która następnej nocy zalała miasto uniemożliwiła mi dostać się na plażę. Kiedy rano odnalazłem zatoczkę, nie było w niej tratwy. Silvii też już nigdy w życiu nie spotkałem.

Mścicielka

Poznałem ją podczas wojny w Nikaragui. Ani na chwilę nie odkładała karabinu. Nie była to bynajmniej nowoczesna broń z gatunku używanych pod koniec naszego wieku. W żadnym wypadku garand, ani zdobyczny galil, czy szybkostrzelny M-16, ale sfatygowany belgijski FN Fal. Dziewczyna miała na sobie przepocony żołnierski mundur i ciężkie buty nie czyszczone od urodzenia. Kazała mówić na siebie Amanda, nigdy nie dowiedziałem się jakie było jej prawdziwe imię.

Weszła do hotelowego pokoju tuż przed zachodem słońca i przyglądała mi się wielkimi smolistymi oczyma ze sporą dozą melancholii. Mieszkałem wówczas na szóstym piętrze hotelu Intercontinental z widokiem na jezioro Managua, w pogodny dzień było widać z balkonu także wierzchołek wulkanu Momotombo.

Hotel w kształcie piramidy był zamieszkały w niezwykły sposób. Ósme i siódme, najwyższe piętra zajmował rząd, od szóstego aż po parter mieszkali dziennikarze z wielu krajów świata, naj-

więcej jednak Amerykanów i Latynosów, byli także Francuzi, Włosi, Niemcy i Austriacy. Na parterze mieściły się restauracje „Regency” i „Brasserie”, oraz bar „La Citta”. Na wszystkich korytarzach porozkładali się młodzi żołnierze obojga płci, którzy strzegli rządu, a przy okazji także i dziennikarzy. Starsi goście hotelowi pamiętali jeszcze śmierć amerykańskiego dziennikarza Billa Stewarta, który mieszkał w pokoju 525 zajmowanym teraz przez Biankę Jagger, była żoną Mike'a Jaggera, gwiazdy „Rolling Stonesów”. Zapamiętałem, że w uszach nosiła brylantowe butony.

Amanda należała do służby wartowniczej, do tych kilkuset chłopców i dziewcząt w mundurach, którzy w dzień stali ze swoimi galilami i Falami na każdym zakręcie korytarza i w każdej windzie, a w nocy rozłożeni na korytarzach drzemali z półotwartymi oczyma i bronią na kolanach. Tej broni nie wolno im było odkładać ani na chwilę. Nie mogli też odwiedzać gości hotelowych. Obowiązywał ich surowy żołnierski regulamin. Proponując Amandzie, aby mnie odwiedziła w numerze, narażałem siebie na nieprzyjemności, ją zaś na konsekwencje służbowe za naruszenie dyscypliny. Nie mogłem się jednak oprzeć pokusie, kiedy zobaczyłem tę czarnooką i kruczoczną piękność stojącą pod ścianą z FN Fałem w ręku.

Zapukała pół godziny później i weszła patrząc poza siebie na korytarz. Wiedziałem, że łamię dyscyplinę, której rygorystycznie przestrzegano i naraża się na surową karę. Ledwie zamknęła za

sobą drzwi, wskazała gestem ręki, abyśmy wyszli na balkon, który był oddzielony od sąsiednich wysokimi płytami zapewniającymi całkowitą izolację. Można nas było zobaczyć tylko od strony wzgórza „EL Chipote”, czyli dawnego bunkra dyktatora Somozy, ale i to ze względu na szóste piętro z daleka, przez lornetkę. Przypuszczam, że Amanda poczuła się w miarę bezpieczna, nie na tyle jednak, aby odłożyć karabin, który kurczowo ścisnęła w rękę.

Słońce zachodziło w jeziorze. Był to landschaft stworzony przez naturę. Staliśmy patrząc na tę otaczającą nas sielankę i powiedziałem, że słońce się kąpie w wodzie.

— Przecież to niemożliwe — zareplikowała rzeczowo — woda by wyparowała.

Przyznałem jej rację. Powodowała się elementarną logiką.

Zauważyłem również, że to, co mnie wydaje się sielanką: słońce, jezioro, drzewa laurowe i migdałowce, krzewy jaśminu i wielkie kwiaty gwiazdy betlejemskiej, buganville, ona kojarzy z czymś wyzwalającym w pamięci grozę. Kiedy powiedziałem kilka słów o pięknie pejzażu, ofuknęła mnie jak naiwniaka:

— Nawet o tym nie mów.

FN Fal trzymała pomiędzy kolanami. zaproponowałem, aby zaniósła go do pokoju i położyła na fotelu, na stole lub na podłodze. Mogła umieścić go także na stosie gazet, które uzbierały mi się podczas kilkutygodniowego pobytu. Nie dała się jednak przekonać. Nie dopuszczała nawet myśli, że mogła-

by to zrobić. Patrzyła na jezioro i mówiła, że jest szalone. Wyjdzie z brzegów, jak podczas ostatniego trzęsienia ziemi, ale się nie zatrzyma, zaleje ruiny śródmieścia, bunkier i te wszystkie cele więzienne, które dyktator zbudował dla swoich przeciwników, jak na urągowisko zostanie tylko na powierzchni wzgórze Tiscapa.

Wskazała ręką kępę ukwieconych na fioletowo drzew.

— Tylko to wzgórze — mówiła, które dyktator zamienił w twierdzę, przetrwa, kiedy woda pokryje całe miasto. Podejdzie wyżej, aż do pomnika Roosevelta, który wzniósł jego ojciec ku czci amerykańskiego prezydenta. Podniesie się aż do najwyższych pięter hotelu piramidy i pochłonie apartamenty, w których mieszkał amerykański dziwak, znany na całym świecie multimilioner Howard Hughes.

Roześmiała się głośno, jakby tym śmiechem chciała wyzwolić się od koszmaru, który mi opowiedziała. I zupełnie niespodziewanie przyłgnęła do mnie. Poczuję intensywny zapach przesyconego oliwą munduru. To była tylko chwila, bo kiedy chciałem ją objąć, wymknęła mi się spod ręki.

Spojrzała na swoje buty i zapytała, czy mam pastę.

Skomentowała to pytanie.

— U nas nie ma jej od dawna. Niektórzy nawet nie wiedzą, jak wygląda.

Znowu się roześmiała.

— Nie wytrzymałbyś w tych butach, a ja muszę w nich chodzić codziennie i nie wolno mi ich

zdejmować nawet w nocy, kiedy śpię na korytarzu po zmianie warty.

Patrzyła na mnie drwiąco i obiecująco zarazem, jakby chciała mnie dopuścić do swojej wielkiej tajemnicy. Jej oczy mówiły „chcę tego samego co ty”, ale coś ją powstrzymywało.

— Kiedy ten dziwak Howard Hughes uciekał z Managui mnie zasypało w ruinach śródmieścia i przez trzy dni nie mogłam się spod nich wydostać. To tylko kilkaset metrów stąd, teraz śródmieście już nie istnieje. Rośnie tam dzika trawa. Przedtem miałam sen, a dla mnie sny są ważniejsze niż jawa. To był proroczy sen. Przewidziałam trzęsienie ziemi jak teraz cyklon „Federico”. Miałam też sen związany z tobą. Staliśmy na poboczu szosy, w wysokiej trawie tak wysokiej, że można się w niej kochać i nikt nie zobaczy. Był duży wiatr i ty powiedziałeś, że musimy zatrzymać jakiś samochód, aby dostać się do Managui. Powiewałam chustą, ale żaden z kierowców nie zwracał na to uwagi. Wreszcie zatrzymał się jakiś jeep. Jego pasażerowie wymierzyli w nas karabiny. Cofnęliśmy się do rowu, ale oni otworzyli do nas ogień. Próbowaliśmy uciekać, ale nasze nogi nie posuwały się do przodu i staliśmy w miejscu jakby nas ktoś zaczarował wóczas spostrzegłam, że jesteś zupełnie przedziurawiony, w wielu miejscach i otwory napełniają się krwią.

— Przecież mnie wóczas nie znałaś Amando.

— Ale cię wyśniłam i kiedy zobaczyłam cię tutaj na korytarzu od razu poznałam cię z tamtego snu. Dlatego do ciebie przyszłam.

Wróciliśmy do pokoju i zapytałem, czy chce się napić whisky, którą miałem w lodówce. Amanda odrzekła, że jest przecież w mundurze, a to znaczy, że nie może pić nawet piwa. Regulamin na to nie pozwala.

— A kawę możesz pić?

— Tak, kawa mi dobrze robi — przystała z entuzjazmem.

— Mam rozpuszczalną, woda wprawdzie jest z kranu, ale wrząca zabija ameby. Zaraz włączę grzałkę.

— To śmieszne co mówisz, my pijemy wodę deszczową, albo z rzeki.

Radio grało na przemian melodie wojskowe i muzykę taneczną. Odsunąłem krzesło, aby nie zawadzało i przyciągnąłem Amandę do siebie razem z jej karabinem. Zaczęliśmy tańczyć na dywanie. Poczulem znacznie silniej niż przedtem intensywny zapach jej przepoconego munduru, oliwy i smaru. Karabin trzymała przewieszony przez ramię na rzemieniu. Argentyńskie tango z portowych lupanarów Buenos Aires wyczarowane przez Carlosa Gardela pozwoliło nam zbliżyć się do siebie bardziej niż wszystkie wypowiedziane do tej pory słowa. Zanikł głos Carlosa Gardela i usłyszeliśmy komunikat o zaginionych w czasie wojny. Amanda przytuliła się do mnie w lęku, że za chwilę wymienią kogoś z jej bliskich.

Deszcz tłukł o szyby i za oknem zrobiło się zupełnie ciemno, jak możliwe to jest tylko w tropikach. Ktoś zapukał do drzwi i Amanda zmartwiała

w moich ramionach. Tamten ktoś czekał, czując zapewne naszą obecność w pokoju. Nie zapytałem „kto?” ani nie otworzyłem. Zgadywałem, kto to mógł być. Może ktoś ze znajomych, albo wartownik tak samo jak Amanda z karabinem. Odezwał się dzwonek telefonu. Naliczyłem jedenaście sygnałów wywoławczych. Amanda sięgnęła po papierosa. Usiadła na tapczanie i ścisnęła kolanami swojego Fala. Radio rozbrzmiewało pełną gamą melodii Carlosa Mejiya Godoya w wykonaniu zespołu muzycznego PANCASAN. Znowu rozległo się pukanie.

Pochyliłem się nad dziewczyną i przez bluzkę dotknąłem jej piersi. Zacząłem je pieścić, czułem jak nabrzmiwiają pod moją dłoń. Z trudem odpiąłem jej górny guzik od munduru i wówczas powstrzymała moją rękę. Nakryła ją swoją i słuchała muzyki Mejiya Godoya. Sama przerwała milczenie.

— Czy wiesz jak kochaliśmy się na wojnie? Nie odpowiedziałem, a ona wybuchła najzupełniej niespodziewanym spontanicznym śmiechem.

— Gdzie popadło i kiedy się udało. Nigdy nie było na to czasu ani miejsca. Nawet w nocy, pomiędzy wartami, chyba że godziny się zgadzały — ale rzadko się to zdarzało. Czy wiesz jak Guillermo mnie kochał? Tchu nie mogłam złapać. A potem nie miałam siły podnieść karabinu, nawet iść nie mogłam i bałam się, że ktoś to po mnie pozna. A przecież tego nie widać, prawda?

Znowu się zaśmiała.

— Ślub wzięliśmy jak Pan Bóg przykazał. W gó-

rach byliśmy razem z Guillermo i ślub dał nam przełożony, przysięgaliśmy sobie wierność na skrzyżowaną broń. Ja powiedziałam: „żona” i Guillermo powiedział: „mąż”. Przełożony ogłosił, że zostaliśmy mężem i żoną, i będziemy nimi aż do czasu, kiedy rozłączy nas kula wroga.

Amanda podniosła się i zaczęła tańczyć z karabinem. Zbliżyła się do mnie i powiedziała:

— Zrobiło się gorąco.

Przytuliłem ją do siebie i rozpiąłem kilka guzików jej żołnierskiej bluzy, pod którą pokazały się śniade piersi. Nie nosiła biustonosza.

— Pocałuj — wyszeptała głosem grymaszącego dziecka — pocałuj je, proszę — powtórzyła niecierpliwie — bołą...

Ukląknę przed nią i dotknąłem wargami sutek jej piersi.

Oszło mi intensywny zapach jej ciała. Nie miałem kobiety od miesiący i ogarnął mnie zawrót głowy. Jej spocone pod mundurem ciało pachniało oliwą i smarem, wydzielając aromat najbardziej wyszukanych perfum.

Pochyliła się, aby zdjąć swoje żołnierskie buty. Robiła to jedną ręką, w drugiej trzymając belgijskiego Fala. Pomogłem jej rozsznurować wojskowe kamasze, pod którymi nie nosiła skarpetek. Jej bose stopy stanęły na ciemnej klepce hotelowej podłogi.

— Oprzyj go o stół.

— Nie!

To jej uporczywe i zdecydowane „nie” było wszystkim, co powiedziała. Całowałem jej piersi i brzuch. Smukłe ciało dziewczyny poddawało się

moim pieścizotom. Objęła mnie za szyję i przechylając się do tyłu pociągnęła za sobą na podłogę. Była teraz pode mną wiotka i równie jak ja oszołomiona zbliżeniem. Rozpinała jedną ręką guziki mojej koszuli, pomagając sobie wargami i przez cały czas trzymając w lewej ręce Fala.

Kiedy zdejmowałem koszulę patrzyła na mnie swoimi smolistymi oczyma kobiety południa, której pragnienie jest silniejsze od wszystkiego, co może jej przynieść życie. Położyła się na wznak na dywanie i obserwowała mnie spod zmrużonych powiek. Pochyliłem się, aby ją objąć, ale nie dopuściła mnie do siebie. Wymknęła się błyskawicznie i usiadła na tapczanie, gdzie znalazła paczkę papierosów i poprosiła o ogień. Zaciągnęła się kilkakrotnie i oddała mi żarzący się papieros.

— Kogo kochałeś w życiu? — Zapytała z mocą jakby moja odpowiedź była jej koniecznie do czegoś potrzebna, ale nie czekała na nią.

— Jak miała na imię kobieta, którą najbardziej kochałeś?

— Maria — odrzekłem.

— Czy byłeś z nią szczęśliwy?

— Tak, ale bardzo krótko.

— Dlaczego?

— Odeszła ode mnie.

— Dlaczego to zrobiła?

— Pokochała kogoś innego.

— A ja kochałam tylko Guillermo. Jego jedyne. Zabrali mi go i już do mnie nie wrócił.

— Kto ci go zabrał? Inna kobieta?

— Nie. Zabili go tamci, przeciw którym powstaliśmy potajemnie, wydał go nasz sąsiad Jacinto.

— Dlaczego go wydał?

— Jacinto był szpiclem. Płacili mu za to. Dwadzieścia dolarów za skuteczny donos. To było sporo pieniędzy.

Znowu sięgnęła po papierosa, nie mogła zapalić i podałem jej ogień. Ktoś dobijał się znowu do drzwi, ale już nie zwracała na to uwagi. Deszcz tłukł w okno grubymi kroplami, zamieniał się w grad, co w tej szerokości geograficznej się zdarzało.

Teraz Amanda nie mogła utrzymać papierosa w palcach, chciała go odłożyć, ale upadł jej na podłogę. Podniosłem go i włożyłem do popielniczki.

— To co ci powiem będziesz pamiętał, nawet jeśli zapomnisz mojego imienia i to, że spotkałeś się ze mną w tym pokoju. Przyciągnąłem ją do siebie drżącą teraz, na wpół rozebraną, ciągle pachnącą oliwą i smarem, ze sterczącymi sutkami piersi, bosą w żołnierskich spodniach. Nie wrywała się z moich objęć, ale nie poddała się moim pieszczotom. Była wewnętrznie spięta i zdrętwiała. Nieczuła na dotyk moich rąk i ust.

— Muszę ci to powiedzieć, abyś wiedział czy wolno mi się kochać z kimś kogo więcej nie zobaczę w życiu? Jeśli to zrobię, abyś wiedział dlaczego. Jeśli nie, abyś także zrozumiał. Nigdy nie miałam białego mężczyzny, ale wcale nie muszę mieć.

To ostatnie zdanie powiedziała gniewnie, zerwała się i stanęła naprzeciw mnie.

— Mojego męża zabili na zboczu wzgórza Mokoron, bo doniósł na niego Jacinto Perez, z którym Guillermo grał w piłkę na podwórku od wczesnego dzieciństwa. Wiedziałam, że muszę go pomścić. Było to moim obowiązkiem, Bóg mi świadkiem, że zwlekałam przez kilka miesięcy. Nie mogłam się oswoić z myślą, że to mnie los wyznaczył do tej roli. Chodziłam wokół jego domu, zataczałam kręgi, coraz bliższe i bliższe, jak ranne zwierzę. Dwa razy zajrzałam w okna, kiedy się w nich świeciło. Musiałam to zrobić, nie było odwołania.

Okrzyżyliśmy dom. Weszłam do środka z Camilo Vazquezem. Jacinto siedział przy stole i stawiał karty. Powiedziałam, aby przestał. Podniósł głowę i spojrzał najpierw na mnie, potem na Camilo. Wówczas Camilo mu wyjaśnił, że jeśli chce, może się przygotować, bo przyszła jego pora.

Patrzył mi w oczy i zapytał, co ma przez to rozumieć, ale już było widać, że się boi. Wargi mu zbielewały i krew odeszła z twarzy. Staliśmy przed nim i widział nas w świetle lampy. To było w ostatnich dniach ofensywy i nie zasłaniaлиśmy już twarzy chustami. Wpatrywał się w nas, jakby nigdy w życiu nas nie widział. Powiedziałam:

— Jacinto, nie udawaj, że mnie nie poznajesz. Wówczas zaczął się podnosić zza stołu. Robił to powoli i niezdecydowanie, jakby czekając, że mu każe usiąść. Minę miał niepewną i na ustach głupawy uśmiech.

— Jacinto — zapytałam — czy pamiętasz mojego męża Guillermo, z którym razem graliście w pił-

kę od szczenięcych lat i do jego studni zawsze przychodziłeś po wodę?

— Pamiętam go — odrzekł — ale nie wiem co się z nim stało.

— Czy sądzisz, że mój mąż musiał umrzeć i zostawić mnie i nasze dwie córeczki, to znaczy Dorę Marię i Glorię?

Odpowiedział, że nie wie. W ogóle nic nie wie i nie rozumie o czym ja mówię. Nic mu też nie wiadomo o śmierci Guillermo, który być może zginął w segowiańskich górach, albo wyemigrował do Hondurasu, a może jeszcze gdzieś dalej, do Meksyku, czy do Stanów Zjednoczonych. Wtedy mu powiedziałam: „Kłamiesz!” I powtórzyłam: „kłamiesz! Dobrze wiesz, że mój mąż leży na zboczu wzgórza Moko-ron. Wiesz dokładnie, w którym miejscu. Dwieście metrów poniżej wejścia do starych lochów, naprzeciw bramy uniwersyteckiej, po drugiej stronie szosy w zbiorowej mogile”.

Usiłował zaprzeczyć, że nic mu o tym nie wiadomo. Wtedy krzyknęłam: — Ty go wydałeś na śmierć!

Błyskawicznie wyskoczył z za tego stołu i ukląkł przede mną.

Objął mnie za nogi. Nic przez chwilę nie mówił, a potem zaczął prosić, aby darować mu życie w imię Boga. Przypadł ustami do mojego buta, o tego — wskazała na jeden z żołnierskich kamaszy stojących obok tapczanu — i zaczął go lizać, czepiając się ciągle moich nóg. Wtedy rzuciłam mu: «sapo!» Co u nas znaczyło, szpicel. Klął się znowu na Boga i swoje dzieci, że nic nie wie i że

nigdy niczego złego nie zrobił. I usiłował nam tłumaczyć, że Guillerma bardzo lubił i nigdy nie wyrządził mu żadnej przykrości.

Powiedziałam wówczas: — Nie wymawiaj słowa „nigdy”, bo obrazasz tylko Boga. A Camilo dodał, że już dosyć. Wówczas powtórzyłam: „sapo!” i nacisnęłam spust, jak umówiliśmy się z Camilo. Guillermo mógł już być spokojny, pomściłam go.

— To ten sam Fal? — zapytałem i wskazałem na karabin, który trzymała w zaciśniętej dłoni.

— Ten sam. Teraz już wiesz wszystko, to znaczy wiesz, że musiałam to zrobić. Nie było innej rady, nie było innego wyjścia, inaczej Guillermo nie zostałby pomszczony. Nie darowałby mi tego wówczas, kiedy znowu się spotkamy.

W palcach Amandy żarzył się jeszcze niedopałek. Zgasiła go w doniczce z kwiatami. Wypiła dwa, czy trzy łyki kawy, która już zdążyła ostygnąć. Patrzyła na mnie błyszczącymi oczyma stojąc boso w tych żołnierskich spodniach na parkiecie hotelowej podłogi. Zwycięska mścicielka przemieniona z bojowniczki w uwodzicielkę. Sama natura zdała się przez nią przemawiać, nieokiełznane piękno tropikalnej wspaniałości. Już wiedziałem, dlaczego w tych stronach ludzie nazywają najpiękniejsze dziewczęta imionami kwiatów. Amanda wydała mi się dziką różą, wyzwaniem tropików. Miałem przed sobą mścicielkę, która nie zawaha się przed niczym. Nikomu nie ustąpi.

Staliśmy naprzeciw siebie w odległości dwóch kroków zaledwie i czułem, że moje pragnienie

dorównuje jej tęsknocie. Pojawiła się jednak niewidzialna ściana, która nie pozwoliła nam zbliżyć się do siebie. Wyrósł mur nie do pokonania. Przecież wiedziałem, że jej tęsknota nie mnie dotyczy, jej pragnienie nie do mnie jest skierowane. W jej zmysłach odżywa inna miłość. Stałem nieruchomo nie mogąc się poruszyć. I już wiedziałem, że jeśli ona nie wyjdzie mi naprzeciw nie będę potrafił pokonać tej bariery, która wyrosła pomiędzy nami, niewidoczna, a przecież niemożliwa do przebycia.

Wydawało mi się, że w gorących oczach Amandy widzę tamtą miłość, odbicie wielkiej namiętności, która nie znała granic, ani przeszkód. Widziałem Guillermo biegnącego do niej i ją mylącą strażę, przekradającą się pomiędzy namiotami, pełznącą dnem transzei, uchylającą się przed pociskami, aby tylko dotrzeć do niego i w największym pośpiechu zrzucić z siebie odzież i przyłgnąć dziewczęcą nagością do jego ciała.

Niespodziewanie usłyszałem swój głos, mimo że nie miałem zamiaru nic mówić.

— I nie bałaś się Amando?

— Czego miałabym się bać? — odpowiedziała pytaniem nie wiedząc o co mi chodzi. Czego miałabym się bać? — powtórzyła.

— Mówię ci, że musiałam to zrobić. Było to absolutną koniecznością wyznaczoną mi przez los.

— Czy w chwili zemsty — zapytałem również ku własnemu zaskoczeniu — myślałaś o miłości, o tym, że już nie będziesz nigdy z Guillermo i dlatego strzeliłaś?

— Zawsze będę z Guillermo w moich snach. Przymknęliśmy sobie dożgonną wierność, a prawo do innej miłości tylko wówczas, jeśli któreś z nas wcześniej zginie. Pod warunkiem, że pomści śmierć drugiego. Bez tego nie wolno mi było zbliżyć się do innego mężczyzny. To był warunek.

Teraz jej oczy płonęły blaskiem, który można dostrzec u kobiety tylko w chwili największego pragnienia. Wówczas, kiedy nie jest w stanie o niczym myśleć, ani mówić, ani cokolwiek innego robić.

— Pomóż — wskazała na rzemień żołnierskiego pasa, którego nie mogła rozpiąć.

Otworzyłem klamrę. Jej spodnie, za duże na nią, opadły na podłogę odsłaniając wąskie biodra i długie, szczupłe uda.

Przewróciłem ją na tapczan i całowałem jej stopy i kolana, i uda, i ręce, najbardziej usta i seks. Ogarnęła mnie fala rozczulenia, pieściłem jej drobne piersi w całkowitym zapamiętaniu i zupełnym zapomnieniu, gdzie jestem. Rozpierała mnie radość, że jestem z dziewczyną tak doskonale piękną. Amanda zamknęła oczy, zacisnęła powieki, objęła mnie ramionami i przycisnęła do siebie, przylgnęła z mocą, jakiej nie mogłem się po niej spodziewać. Całowałem jej powieki, jej usta i szyję, i znowu piersi. Już wiedziałem, że nikt nam nie przeszkodzi, że nic się nie stanie i nikt nie potrafi mi jej odebrać. To było jak wieczność. Amanda rozluźniła uścisk, i sama szukała moich ust, pieściła mnie wargami, sutkami swoich piersi,

drażniła seksem. Rozwarła uda i podniosła się całą sobą. A kiedy to się stało, z jej ust wyrwało się jedno, jedyne słowo: Guillermo! Wówczas wypuściła z ręki karabin.

Złota arka

Przywiozłem kwiaty Thunia i Calanthe, a także orchidei paphiopedilum i phalaenopsis, które nie posiadają żadnych narządów przystosowanych do gromadzenia zapasów. Na lotnisku przywitał mnie mój hamburski klient, przebywający w Kolumbii, Alfred Holtz. Nie przepadam za Niemcami i zwykle wykazuję rezerwę wobec nich, chociażby za to, co zrobili z moją rodziną, ale muszę przyznać, że Alfred Holtz jest porządnym Niemcem.

Kiedyś mi powiedział, że ojciec wysłał go w latach ostatniej wojny z Bogoty do Berlina, aby nabrał narodowego szyku obawiając się, że może się zlatynizować, a to znaczy stać się człowiekiem niezdolnym do czynu. Może postradać wolę i zdolność walki. Tym bardziej, że mały Alfred miał skłonności do tworzenia poezji i to w dodatku refleksyjnej i nostalgicznej, a to znaczy łzawej.

Trudno teraz wyrokować, czy Alfred Holtz nabrał tam manier hitlerjungowskich, ale nie ulega wątpliwości, że kiedy po latach znalazł się ponownie na nowym kontynencie, odróżniał się pozytywnie

od swych dawnych kolegów już samą sprężystością kroku, dumnym uniesieniem głowy, radosnym pokrzykiwaniem „heil!”. Skłonność do poezji nie przeszła mu jednak nigdy.

Nie lubi tego wspominać, choć wiadomo, że przeszedł dość skuteczną zaprawę. Nie o tym zresztą chcę mówić i ani do głowy mi przychodzi cokolwiek mu wypominać.

Teraz jest solidnym kupcem i moim najlepszym klientem, kupującym nasiona i sadzonki orchidei, które nazywa dziećmi światła i powietrza, i wysyła specjalnym samolotem do Hamburga.

Zupełnie nie mam pojęcia, jak to się stało, że razem z nim przyjechała na lotnisko Mariola Wróbel, nazywana przez Holtza „La polaca”. Stała razem z nim w hallu dla przylatujących i trzymała w ręku dwa goździki, jeden biały a drugi czerwony, obydwie na tej samej łądyżce. To zresztą zauważyłem później, bo najpierw zobaczyłem jej długie nogi i nadzwyczajnie krótką spódniczkę, niezupełnie zakrywającą srebrne figi.

— Witam rodaka! — zawołała Mariola i dygnęła przy tym, niczym uczennica z dziesiątej klasy.

— Pani z kraju, czy zagranicy? — zapytałem, aby coś powiedzieć i czegoś się o niej dowiedzieć.

— Jestem z kraju, a także z zagranicy — odrzekła aksamitnym głosem, z całym niepoohamowanym wdziękiem swojej młodości, ale najważniejsze były jej nogi, od których nie mogłem oderwać wzroku.

Alfred Holtz od razu z hali bagażowej wziął trzy worki nasion orchidei i zapewnił mnie, że zgłosi się

do mnie po sadzonki i zapłaci za całość w ciągu trzech dni, a z objaśnieniami sposobu hodowli tych boskich kwiatów może poczekać. Nie przewidywałem jeszcze żadnych komplikacji, więc bez protestów się na to zgodziłem. Natychmiast zaprosił mnie i Mariolkę na lunch do śródmiejskiej restauracji „Mediodia”.

Mariolka zamówiła chateaubriand i pilznera, a ja wybrałem meksykańskie posolę, co najmniej pięć razy tańsze, i szklaneczkę pisco sauer. Wiedziałem już z doświadczenia, że porządny Niemiec, Alfred Holtz może mi potrącić ten obiad z należności, jeśli uzna, że wybrałem coś zbyt drogiego.

Mariolka, którą poprosiłem, aby wstawiła goździki, a właściwie goździk do flakonu przyniesionego przez kelnera, zawładnęła moim uczuciem od pierwszej chwili. A jeśli nie uczuciem, to w każdym razie moją erotyczną wyobraźnią. Obawiałem się, że odejdzie razem z Holtzem, kiedy ten spojrzy na zegarek i zawołał „Na mnie już czas, za pięć minut muszę być w drugim krańcu miasta”.

Zapytała, spoglądając mi w oczy swoimi migdałowymi ślepiami, co mam jeszcze na zbyciu oprócz orchidei; zauważyłem, że w równej mierze zainteresowało to Alfreda Holtza.

— A co pani chciała by nabyć?

— Sprzęt elektroniczny i komputerowy z Panamy, Hongkongu, Tokio albo Nowego Jorku oraz hawańskie cygara.

— Zastanowię się przy następnej okazji.

Kelner jeszcze nie zrealizował zamówienia i Mariolka zapaliła papierosa. Holtz jako porządny Niemiec nie palił nigdy, czasem tylko wychylał kieliszek sznapsa.

Siedziałem naprzeciw Marioli i patrzyłem, jak zaciąga się dymem, to znowu dotyka tylko papierosa wargami. Dość niespodziewanie podniosła się i pochyliła nade mną.

— Schowaj to!

Usiadła natychmiast na swoim krześle i odseparowała się od nas kartą menu. W tej samej chwili spostrzegłem, że wprost na nas idzie dwóch policjantów i ukryłem niedopałek w dłoni, zupełnie tak samo, jak podczas lekcji francuskiego w moim liceum. Policjanci przeszli obok nas, nie zwracając uwagi. Mariolka podniosła głowę znad jadłospisu.

— Zwróć, co moje — zażądała z uroczym, pełnym wdzięku uśmiechem.

Alfred Holtz bardzo się spieszył, a mimo to z grzeczności zaproponował, że odwiezie mnie do hotelu „Tequendama”, który mi osobiście zamówił. Nie mogłem się jednak zgodzić na ten hotel, był dla mnie za drogi, i podziękowałem mówiąc, że chcę jeszcze się napić kieliszek pisco-sauer. Poprosiłem go też o numer telefonu, żebym mógł do niego zadzwonić. Mariolka milczała, nie wstała razem z nim, kiedy podnosił się od stolika. Skinęła mu głową. Kiedy wyszedł, nie robiła tajemnicy ze swego życiorysu i prędko, po polsku, dowiedziałem się, że pochodzi z Chorzowa, obecnie zaś przyjechała tutaj ze Stanów Zjednoczonych, zbierając zamówienia na

sprzęt elektroniczny. Jak wiadomo, przyszłością świata jest pamięć komputerowa.

Uśmiechnęła się przy tym miło i rozczulająco i dodała, że zajmuje się tym fachem, bo postanowiła do trzydziestego roku życia się wzbogacić nie pracując zawodowo. Praca nie tylko ją nudzi, ale napawa niechęcią i obrzydzeniem.

Była czarująca, w niezwykle elegancki sposób umiała zakładać nogę na nogę, by widz mógł przy tym jeszcze coś zobaczyć.

Pomogła mi znaleźć inny hotel „Torre blanca”. tańszy, ale dość przyzwoity. Był to wysoki i wąski wieżowiec — wydawało się, że nieustannie chwieje się w podmuchach wiatru.

Zameldowałem się w recepcji, zostawiłem boyowi hotelowemu bagaże i moje bezcenne sadzonki orchidei, a potem poszliśmy rozejrzeć się na miasto.

Zapytałem Mariolkę, w jaki sposób poznała Holtza? Zbyła moje pytanie żartem, mówiąc, że Holtz jest wystarczająco wysoki, aby wystawać nad innych. Łatwo się daje zauważyć. Nie chciała powiedzieć, gdzie Holtz mieszka, udawała, że nie wie.

Chodziliśmy wśród wąskich uliczek handlowej starej dzielnicy.

Mariolkę interesowały sklepy ze szmaragdami i złotem, a można je było tutaj spotkać na każdym kroku. Przystawała też przed kantorami wymiany walut i spisywała różnice w kursach.

Okazała się w tej dziedzinie perfekcjonistką. Nie kupowała zielonej waluty ani zielonych kamyków, ani też pierścionków ze szmaragdami. Oglądała je tylko i pytała o cenę, notując ją natychmiast w dzienniczku. Kilka razy odniosłem wrażenie, że

ktoś za nami idzie. W oknach wystawowych sklepów ze szmaragdami często pojawiało się odbicie twarzy młodego człowieka ostrzyżonego na „buddyjskiego” mnicha. Nie mówiłem jednak o tym Mariolce, być może także go widziała... Wyznała mi, że sama nie ma odwagi chodzić po tych ulicach; w każdej chwili mogą ją napaść. Przechodnie patrzą na nią zachłannie i rozbierają oczami.

Nie wiem, czy zdawała sobie sprawę, że sama to prowokuje, bo nosiła się jakby szła na plażę, albo za pięć minut miała pójść z kimś do łóżka. Widocznie jednak sprawiało jej przyjemność eksponowanie swoich długich nóg. Na przykład, kiedy załatwiałem formalności paszportowe, Mariolka usiadła w fotelu, postawiła stopy na jego siedzeniu, podnosząc w ten sposób wysoko kolana —jej spódniczka zsunęła się, odsłaniając wspaniałe opalone uda. Każdego mogła urzec jej swoboda bycia i naturalna, nieco buńczuczna radość młodości.

Powtarzała przy tym, że przyszłością świata jest pamięć komputerowa. Omijała skrzątnie wielkie księgarnie, jakby kryły w sobie wirusa AIDS. Przechodziła nawet na drugą stronę ulicy, manifestując w ten sposób pogardę dla słowa drukowanego i mówiąc, że książki jej szkodzą, bo jest uczulona na kurz, który na nich osiada. Nawet nie może patrzeć na książki, bo dostaje na całym ciele wysypki. Nowoczesny człowiek, według niej, powinien obcować wyłącznie z komputerem, który pod koniec XX wieku stanowi szczyt kreacyjnej myśli technicznej.

Oprócz komputerów zajmowały ją mieniące się w słońcu i strzelające odbitym blaskiem szmaragdy. Swoim zachwytem potrafiła zarażać, swoim ciałem wzbudzać emocje i obezwładniać patrzącego. Przypuszczam, że jako modelka telewizji mogłaby przynieść niebывały majątek projektantom mody. Umiała cieszyć się jak dziecko, wybuchać spątaniczną radością, to znowu pochmurnieć, a wówczas jej cudowne czoło marszczyło się i zwiastowało burzę. Wpadała w złość, kiedy cena szmaragdu przekraczała jej możliwości. Mówiła wówczas: Ileż trzeba mieć pieniędzy — tylko Christinę Onassis było na to stać. Jej wargi powtarzały jakieś słowo, a kiedy im się przypatrzyłem, odczytałem w nich powtarzające się „mieć, mieć, mieć! I mieć!” Kiedy to mówiła, poczułem się pomniejszony, wiedząc, jak niewiele będę mógł wyciągnąć z moich najpiękniejszych orchidei Cattleya i Dendrobium.

Usiedliśmy na wysokich stołkach w tawernie „Piscosauer”. W tej samej chwili stanął w drzwiach roznosiciel gazet. Na widok długich nóg Mariolki cały stos czasopism wysunął mu się z rąk. Nie mógł ich pozbierać, bo ręce trzęsły mu się jak w febrze. — Zobacz, jak go to wzięło — zauważyła Mariolka — oni wszyscy tak reagują. Nie mogą się opanować. Latynosi są jak dzieci.

Gazeciarz pozbierał w końcu sterty zadrukowanego papieru i niezdecydowanie zbliżył się do Mariolki. Podał jej kolorowy tygodnik „Caretas”, a kiedy chciała sięgnąć do portmonetki, padł na kolana i począł ją błagać, aby pozwoliła mu pocało-

wać się w kolano. Wybuchnęła śmiechem, podsunęła mu kolano, a kiedy się nad nim pochylił, kopnęła go, aż się zatoczył pod ścianę.

— Śmierdzący gówniarz! Myślał, że to dla niego! Natychmiast zebrał się tłumek i kilku mężczyzn z wybałuszonymi oczyma wpatrywało się w jedno jedyne miejsce pomiędzy udami Mariolki.

— Zapłać i chodźmy stąd, bo robi się gorąco.

Usiłowaliśmy precyzyjnie się dół wyjścia. Wyglądało na to, że mamy pewne szanse, ale nagle któryś położył się na podłodze, obydwoma rękoma uchwycił jej uda i wdarł się pomiędzy nie ustami. Ktoś inny całował jej stopy. Tłum mężczyzn zaczął głośno skandować jakieś niezrozumiałe słowa. Nastrój zrobił się seksualno-ekstacyjny. Mariolka szarpnęła się, usiłując rozłączyć się z mężczyzną klęczącym pomiędzy jej udami. Tamten nie puszczał. Wtedy z gracją aktorki Hollywoodu ścisnęła mu kolanami głowę i rąbnęła pięścią w nos. Wówczas puścił, a tłum zawył: „Różo snów naszych, nie opuszczaj nas”. I ktoś wyrecytował solo „Śliczna dziewczeczko, miej litość nad nami zebrzącymi twojej łaski”. Mariolce udało się wyrwać z obłapiających ją rąk, przeskoczyć podstawione nogi i tylko roz-nosiciel gazet zdążył klepnąć ją w prawy pośladek, trzymając pod pachą lewej ręki stos gazet. Na ulicy oszołomienie Mariolki objawiło się gwałtownym poszukiwaniem telefonu. Przepychała się w tłumie, przeskoczyła wózek inwalidzki, wpadła do apteki i nie zatrzymując się, z marszu chwyciła słuchawkę telefonu.

— Pogryzł mi majtki, skurwiel! — krzyknęła, nie wykręciwszy nawet numeru.

Patrzyłem na nią. Tak wzburzona była o wiele bardziej podniecająca, niż przedtem. Okazało się, że telefon nie działa i wtedy zdecydowała:

— Zadzwonimy od ciebie, tak będzie lepiej. Kiedy wyszliśmy, krzyknęła patrząc na kogoś, kto się do niej rwał: „to ten, zawołaj policjanta!”, ale wytłumaczyłem jej, że uległa złudzeniu. Złapaliśmy taksówkę i Mariolka z tupetem dziewczyny z Bródna, albo Czerniakowa rozkazała jechać na ulicę Rio Magdalena za dwadzieścia pesos, mimo że kurs wynosił co najmniej sto. 1 taksjarsz pojechał, najpierw dostał oczopląsu, potem ogarnął go kompletny stan amoku, nie mógł oderwać oczu od jej ud. Zaproponowałem mu, że będę prowadził, ale się uparł, że on sam i spocony z podniecenia, rąbnął gablotą w krawężnik — na szczęście, niewysoki.

W recepcji hotelu „Torre blanca” miał dyżur Moby Dick.

Wyglądało na to, że na mnie czekał. Podał mi klucz i wyszeptał:

— Panie Cienąewiś, niech Panu Bóg da zdrowie, pan ma wielki talent.

Mariolka mogła by zaświadczyć, że samowolnie nie podszyłem się pod nazwisko wielkiego pisarza. W jednym z antykwariatów tuż obok kwiaciarni na wolnym powietrzu, którą zainteresowałem się ze względów zawodowych, udało mi się kupić „Ogniem i mieczem” w starej barcelońskiej edycji. A było to tak: w kwiaciarni znalazłem sadzonki orchidei Thunia z amazońskiej puszczy, co przywio-

dło mi na myśl, że nie jestem jedynym dostawcą tych wspaniałych kwiatów, i starałem się dociec w rozmowie ze sprzedawcą, skąd są jego kontrahenci. Niczego mi nie powiedział. Nieco zdenerwowany idąc na szklaneczkę pisco, po drodze wstąpiłem do najbliższego antykwariatu i natknąłem się na arcydzieło Sienkiewicza.

Pochwaliłem się tą książką Moby Dickowi, biorąc klucz z recepcji, i wówczas zapytał, czy mu ją sprzedam. Podarowałem mu „Ogniem i mieczem” bezinteresownie. Na drugi dzień poprosił o autograf. Wyjaśniłem, że nie jestem autorem powieści, ale mimo to uparł się, abym mu ją podpisał. Co w końcu żartując uczyniłem.

Mariolka stała po przeciwnej stronie hallu, nie chcąc zbliżyć się do recepcjonisty. W hotelu „Torre blanca”, aby wejść do windy, trzeba było przejść przez długi hall, wziąć klucz z recepcji, a następnie wejść białymi marmurowymi schodami na pierwsze piętro, skąd była już winda. W hallu znajdowało się stoisko ze szmaragdami. Mariolka pociągnęła mnie do niego. Tutaj szmaragdy były o wiele droższe niż w sklepach, ale oprawa kamieni bardziej kunsztowna. Mariolka nie umiała mówić po hiszpańsku, a mimo to wszędzie usiłowała się nim posługiwać. Przy stoliku ze szmaragdami poprosiła jednak, abym zapytał, ile dają rabatu i czy mogliby sprzedać na raty. Mówiła długo i żądała, abym to wszystko tłumaczył sprzedawcy. Wybierała drogie kamienie, kładła jeden przy drugim i kazała pokazywać sobie coraz większe, z piękniejszymi wzorami, bardziej

przezroczyste i w droższej oprawie, lepiej polerowane.

Sprzedawca stał się drażliwy, mimo że nie dawał po sobie tego poznać. Biegał z jednej strony stoiska na drugą, jak fryga, jak młodzieniaszek, spełniając kaprysy cudzoziemki, ale mówił już ze złością w głosie. Mariolka niczego nie kupiła. Na horyzoncie ukazały się stare Amerykanki z gatunku turystek erotycznych, które uciekając przed monotonią swojego życia, przyjeżdżają tutaj w poszukiwaniu podniet seksualnych i rozrywek.

Sprzedawca zwęszył lepszy interes, zostawił nas, podskoczył do Amerykanek i już przy nich ugrzązł. Mariolka kazała mu wrócić. Powiedziała mu wtedy niespodziewanie: „Podaruj mi jeden kamyk”.

Nie zrozumiał i chciał, abym mu jeszcze raz powtórzył — czego seniorita sobie życzy. Skłamałem mówiąc, że kamienie wydają się jej za drogie. Mariolka na tyle rozumiała hiszpański, że natychmiast sprostowała.

— Zapytaj, czego chciałby ode mnie za mały podarunek?

— To są bardzo drogie kamienie i szanowna pani nie wypłaci się w naturze — powiedział do niej bezczelnie, czerwieniąc się.

Spuścił wzrok i patrzył w to miejsce, gdzie jej długie uda się ze sobą zbiegały.

— Cham, ośmiela się mnie obrażać. Odwróciła się przez ramię i natychmiast odeszła od stoiska.

— Chodźmy stąd, bo będziesz musiał dać mu w gębę, stając w obronie mojego honoru.

— Ten bęcwał ubliżył mi. Mała, głupia świnia. Musiałam go ukarać.

Wyjęła z kieszeni spódniczki złoty pierścionek z mieniącym się szmaragdem.

— Jak to zrobiłaś?

— To już moja sprawa.

— Sprzedawca będzie musiał zapłacić za kamień ze swojej mizernej pensji.

— Nie bądź naiwny. Taki, co sprzedaje szmaragdy, nie żyje z pensji, tylko ze szmaragdów. Jeśli go załujesz, możesz mu iść powiedzieć, albo zadzwonić z pokoju, niech przyjdzie po ten pierścionek. Ale dowie się, że ty go zwinąłeś, co wygląda bardziej prawdopodobnie.

Na którymś piętrze nie oczekiwanie wsiadł do windy Alfred Holtz. Nie wyglądał na zaskoczonego spotkaniem. Wyciągnął do mnie rękę, z Mariolką nawet się nie witał, jakby ją przed chwilą widział. Myślałem, że jedzie do mnie na górę po sadzonki, ale powiedział, że zadzwoni wieczorem i wysiadł wcześniej od nas. Zacząłem się denerwować, że zwleka z kupnem orchidei.

Wjechaliśmy na górę. Mariolka podeszła do telefonu i zamówiła przez hotelową centralkę Los Angeles. Usiadła naprzeciw mnie i rzuciła z nóg pantofle, nogi umieściła w fotelu, aby wypoczęły.

Pokazała mi znowu swoje opalone uda, których widoku nie wytrzymywali tutejsi. Ciągnęły jak magnes, usiłowałem odwrócić od nich wzrok, ale okazało się to niemożliwe.

Zbliżyłem się do niej i straciłem kontrolę nad zmysłami.

Myślałem pew-

nie to samo, co myślał każdy z tubylców, którzy bezszczerne wbijali wzrok w jej najczulsze miejsce. „Przynajmniej dotknąć. Ukłęknąć przed nią i całować chociażby jej kolana. Przynajmniej to”.

Przeniosłem wzrok na jej piersi, które wysunęły się swobodnie spod bluzki i pokój zawirował razem ze mną. Zdało mi się, że Mariolka słyszała nierówny łomot mojego serca, bo zsunęła się z fotela i przywarła do mnie całym gorącym, rozpalonym od miłosnej, jak mi się zdawało, tęsknoty ciałem.

Zadzwonił telefon, mogłem go nie przyjąć, a jednak podniosłem się i usłyszałem w słuchawce Moby Dicka, jego głos i jakby nieśmiałe, zażenowane pytanie:

— Panie Cienąiewicz, tutaj proszę, abym pana zapytał, pan wybaczy mi śmiałość, czy nie zauważył pan u siebie w pokoju złotego pierścionka ze szmaragdem. Pyta o to sam właściciel hotelu pan Saul Bryce.

— Moby Dick, pomylił pan pewnie pokój, ja mieszkam w numerze 3715.

— Przepraszam za zakłócenie spokoju, panie Cienąiewicz.

Odłożyłem słuchawkę i powiedziałem Mariolce, o co chodzi.

Natychmiast owinęła pierścionek w zwitek papieru i wyszła z nim na balkon. Poszedłem za nią. Pochylona nad barierą patrzyła w dół. Pod nami znajdował się taki sam balkon, nieco przesunięty w lewo. Mariolka przechyliła się przez barierkę, aby zobaczyć, czy drzwi z tamtego balkonu do pokoju są otwarte. Wychyliła się jeszcze

bardziej i rzuciła tę maleńką, miniaturową paczuszkę, właściwie kulkę, w sam róg balkonu pod nami. Wróciła do pokoju, zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała w usta. Trwało to sekundę, bo cofnęła się prędko, tak prędko, że nie zdążyłem jej objąć. Wyszła znowu na balkon, jakby coś chciała sprawdzić. Może to właśnie, czyjej paczuszka została tam na dole zauważona.

Z balkonu było widać dachy domów. Oparła się obydwoma rękoma o barierę i patrzyła na miasto pod nami.

Otaczały nas błękitne wzgórza, powodując nostalgię za czymś nieuchwytnym i dalekim wobec ludzkiego mrowia tu na dole.

Było to miasto, w którym nawet iść ulicą było niebezpiecznie.

Kobiety przed wyjściem z domów zdejmowały pierścionki, obrączki i naszyjniki. Nie można było wychodzić z teczką, jeśli posiadała jakąkolwiek wartość, nie mówiąc o radiu, czy aparacie fotograficznym. Zegarek należało zostawić w domu. Znanej aktorce ktoś uciął kawałek ucha razem z kolczykiem. Trzeba było się pilnować na każdym kroku, wiele ulic należało omijać.

Mariolka wychylała się kilkakrotnie przez barierkę niby przypadkiem. Powiedziała wreszcie, że pokój pod nami jest pusty. Nikt jeszcze nie mógł zauważyć jej zrzutu.

— Dlaczego to zrobiłaś? — zapytałem uważając, że trzeba pytać o wszystko, czego nie rozumiem, lub wydaje mi się, że nie zrozumiałem.

— Co ja takiego zrobiłam?

— Wzięłaś z gabloty pierścionek ze szmaragdem.

— Widziałeś, że wzięłam?

— Nie widziałem, ale wzięłaś.

— Jesteś śmieszny, kiedy tak mówisz.

— No to ukradłaś! — powiedziałem ze złością.

— W porządku, widziałeś?

— Nie widziałem, ale ukradłaś!

— To nie była kradzież.

— A co to było?

— Zabawa. Chciałam przekonać się, czy mi się uda, a teraz zadzwonię i powiem im, w którym pokoju jest pierścionek, niech go poszukają. Będzie super, co?

Wybuchła kaskadą śmiechu. Wróciła do pokoju i zrzuciła pantofle. Usiadła w fotelu i swoim zwyczajem podsunęła kolana prawie pod brodę.

— A wiesz przynajmniej, kto mieszka pod nami, pod tobą — poprawiła się. — Nigdy byś nie zgadł i nawet byś nie uwierzył. Co ci mam mówić, sam zobaczysz.

— Sam nie zobaczę, bo na drzwiach nie jest napisane, a nie będę wystawał pod recepcją i pilnował, aż tamten gość zgłosi się po klucz. Musiałbym cały dzień warować.

— Ja ci go pokażę. Chodź teraz do mnie.

Podniosła ręce i jej spódnica zsunęła się — pokazując uda i seks przykryty tylko cieniutkim pasemkiem majteczek. Objęła mnie obydwoma rękami i wyszeptala mi do ucha, wybuchając śmiechem:

— Pod nami mieszka Nabuchodonozor! Wystarczy ci. — Przyciągnęła mnie do siebie.

— Jesteś silny. Weź mnie najmocniej, jak potrafisz.

Poddała się całą sobą, przyciskając się do mnie i obejmując mnie także udami. Zaniósłem ją na tapczan. Nie wypuszczała mnie z objęć. Nakryłem ją swoim ciałem i całowałem nabrzmiałe piersi, schodziłem wargami do pępka i niżej. Ona jedną ręką przyciągnęła mnie do siebie, drugą przesuwając po moim brzuchu w dół, wcisnęła ją pod spodnie i postępowała powoli coraz niżej, aż dotknęła i objęła nią członek i zaczęła go pieścić opuszkami palców. Moja niecierpliwość przeszkodziła jej w tej pieszczocie. Sprawilem jej ból, gryząc z podniecenia sutkę piersi. Krzyknęła: boli! I w tej samej chwili wysunęła się spode mnie, a kiedy się nad nią pochylałem szepcząc: przepraszam, usłyszałem z jej ust: — Lawenda. Cuchniesz lawendą. Nie znoszę tego zapachu, mam uczulenie na lawendę. Nie wytrzymam, zjeżdż ze mnie. No, zjeżdżaj! — krzyknęła histerycznie.

Zrobiło mi się gorąco i spociłem się. Zdrętwiałem. Czułem, że śmierdzieć, czułem obrzydzenie do siebie. Wstydzilem się spojrzeć na Mariolkę. Schowałem się do łazienki, rozebrałem i odkręciłem prysznic. Puściłem strumień wody, na szczęście była gorąca, i stanąłem pod nią, namydłając niecierpliwie włosy. Woda ściekała po moim ciele razem z mydlaną pianą, kiedy indziej sprawiałoby mi to przyjemność, ale teraz wcierałem mydło w skórę i włosy z furią i upokorzeniem. Trwało to, jak mi się wydawało,

nieskończenie długo, bo ciągle jeszcze pachniałem lawendą.

Kiedy wyszedłem, Mariolka rozmawiała przez telefon.

Napotkałem jej wzrok, patrzyła promiennie, ale wydało mi się, że nie na mnie, tylko gdzieś przeze mnie, poza mnie. Był to wzrok roztargniony, jakby mnie pierwszy raz widziała w życiu.

— Zapomniałam powiedzieć w centrali, że to collect. Na wszelki wypadek mówię ci, abyś wiedział, rozmawiałam z Kalifornią.

Uśmiechnęła się do mnie ciepło, poczułem taką samą radość, jak wtedy, kiedy weszła do pokoju.

Siedziała tylko w figach i jej piersi sterczały zadziornymi sutkami, których smak, słonego potu i truskawek ze śmietaną na zawsze zapamiętałem. Zbliżyłem się, aby ją przewrócić na tapczan, ale gestem rąk odepchnęła mnie od siebie.

— Już muszę iść. Jutro rano zobaczymy się w tawernie

„Porwanie księżniczki” i pójdziemy do Muzeum Złota. Pokażę ci te wspaniałe zbiory w samym skarbcu, dokąd można wejść tylko za specjalną przepustką dla dyplomatów i członków rządu.

Zobaczysz „Złotą arkę”, największy skarb Czibczów.

Podniosła się spokojnie i jakby leniwie, i wtedy znowu przyciągnęła mnie do siebie jak magnes. Chyba nigdy nie widziałem tak wspaniałego nagiego ciała, wysmukłego, z twardym, ale już rozwiniętym biustem, szczupłymi biodrami, długimi nogami i delikatnymi kosteczkami stóp. Chwyciłem się krawędzi stołu, aby się powstrzymać i nie klęknąć przed nią.

Mariolka weszła pod prysznic i puściła silny strumień gorącej wody, aż para buchnęła z łazienki. Całą siłą woli zmusiłem się do pozostania na miejscu.

Zjechaliśmy windą na pierwsze piętro. Mariolka włożyła przeciwsłoneczne okulary, mimo że w hallu nie było dużo światła. Stopnie schodów były wysokie, jakby stworzone dla wielkoludów, może tylko na wzór prekolumbijskich piramid, które tak właśnie budowano, aby utrudnić dostęp do kapłanów i ich bóstw.

Wpadliśmy wprost na fotoreporterów, którzy być może — czekali na kogoś innego. Błysnęły flesze i Mariolka zasłoniła się torebką, ale jeden z nich zdążył mimo to zerwać jej okulary i zrobić zdjęcie. Wybiegła na ulicę. Podążyłem za nią, zniknęła mi w ciżbie, która tłoczyła się tutaj na chodnikach i jezdni.

Zobaczyłem ją dopiero jakieś dwieście metrów dalej, stojącą pod sklepem ze szmaragdami.

Podszedłem blisko, wydawało mi się, że mnie nie widzi — a może udawała? Dopiero po chwili spostrzegła mnie w odbiciu szyby wystawowej. Spojrzała na mnie ze swoim promiennym uśmiechem. W jej oczach zauważyłem roztargnienie, czy też obcość.

— Idź stąd!

Odwróciła głowę. Nie mogłem odejść, bo jeszcze chciałem na nią popatrzeć. Poczulem coś jakby zazdrość najzupełniej niezrozumiałą, bo o co? O kogo? To raczej niechęć do powrotu do pustego pokoju hotelowego. Ileż razy to przeżywałem. Jeśli

zazdrość, to bez podstawy i nie w pełni uświadomioną. Stałem w najbliższej bramie i patrzyłem na nią równie zachłannie, jak przedtem w pokoju. Czasem prześwitywały pomiędzy tłumem przechodniów jej długie nogi i szczupłe biodra, ledwie osłonięte miniaturową spódniczką. Najzupełniej niespodziewanie zobaczyłem w odbiciu szyby twarz „buddyjskiego mnicha”, tuż przy Mariolce. Stali przez dłuższą chwilę obok siebie. Był wyższy od niej, z rzadkim nie ogolonym zarostem, twarz z ostro wystającymi kośćmi policzkowymi, jak u Azjaty. Być może był trochę brudny, ale nie czułem jego zapachu, głowę miał zupełnie wygoloną i błyszczącą skórę opiętą na czaszce. Objął Mariolkę i ona się do niego przytuliła, właściwie wtuliła się w niego.

Teraz moja zazdrość była już uzasadniona. Wybuchła falą krwi, która uderzyła mi do głowy, i spowodowała zachwianie błędnika, co zdarzało mi się w chwilach szczególnych emocji lub napięć. Musiałem się oprzeć o futrynę drzwi. Zaczęła działać wyobraźnia: Teraz pójda do jakiegoś hotelowego pokoju i tam się dla niego rozbierze. Będzie dotykał jej piersi, brzucha i ud. Używał jej seksu.

Kiedy to sobie zacząłem wyobrażać, oni objęci, nie widzący świata, ruszyli przed siebie. Zaraz zniknęli mi z oczu. Nie pomyliłem się, przypuszczając, że skręcą w boczną uliczkę. Nie wiedziałem jednak, że wiedzie ona prosto do Muzeum Złota. Moja zazdrość wzmogła się jeszcze i podążyłem za nimi. Szli wyjątkowo wolno, nawet dwa razy musiałem chować się w bramie, aby mnie nie dostrzegli,

obawiałem się, że Mariolka może się odwrócić i wtedy mnie zobaczy.

Doszli do Muzeum Złota, które było jeszcze otwarte, i weszli po schodach na górę. Podążyłem za nimi, nie mogąc się opanować, ale kiedy podchodziłem do kasy, spojrzałem na zegarek, dochodziła szósta. Wiedziałem, że za chwilę zapadnie zmrok.

Zabłyły światła. Poprosiłem o bilet i bileter-ka podała mi jego cenę. Do szóstej brakowało zaledwie siedem minut.

— Bierze pan?

— Czy jest jeszcze dużo zwiedzających na górze?

— Nie wiem, nie liczę.

Zrezygnowałem z biletu. Znacznie większym zaskoczeniem będzie dla nich, kiedy schodząc natkną się na mnie twarzą w twarz. Co wtedy powie Mariolka?

Zapaliłem papierosa i czekałem na trzecim stopniu u dołu schodów. Wszyscy, którzy schodzili, mogli mnie zobaczyć z góry, ale nie mogli mnie uniknąć.

Schodzili ostatni zwiedzający. Jakaś blondynka w czerwonym berecie, mogła być Amerykanką lub Skandynawką, dwoje głośnych Niemców, krzykliwa trójka Włochów, amerykański Murzyn w jaskrawych kolorach jesieni i jeszcze kilka osób, których nie zapamiętałem. Młody Żyd z brodą, w szabasowej jarmułce na głowie, oraz student prawa, wyraźnie tutejszy.

Czekałem następne piętnaście minut. Zeszły dyżurujące strażniczki skarbów, personel naukowy i badawczy. Zwinęła się także kasjerka.

Odźwierny zszedł z kluczami i musiałem opuścić mój posterunek. Stałem na dole jeszcze dobre pół godziny. Nikt więcej z muzeum nie wyszedł.

Wtedy wspiąłem się po schodach i tłukłem pięściami w żelazne drzwi, narażając się na posądzenie o włamanie. Nikt się nie odzywał.

Alfred Holtz zadzwonił w nocy mówiąc, że otrzymał znacznie więcej zamówień na orchidee z Hamburga, niż się spodziewał. Był w doskonałym humorze. Zapytał o Mariolkę. Wyglądało, że był zaskoczony jej nieobecnością w moim pokoju. Nie zdecydowałem się poinformować go, że Mariolka została na noc w Muzeum Złota. Na pewno by w to nie uwierzył. Mógłby pomyśleć, że mam halucynacje i zerwałby ze mną współpracę. W nocy nie mogłem poradzić sobie z nadmiarem wyobraźni. Jeszcze w półśnie wydawało mi się, że widzę, jak oni robią te rzeczy na dywanie, w zamkniętym hermetycznie skarbcu Muzeum Złota. Zdawało mi się, że słyszę jej prędkie, zdyszany oddech i widzę jej uda, które on otwiera swoimi kolanami. Budziłem się kilkakrotnie i podchodziłem do telefonu. Nikt jednak nie dzwonił.

Rano poszedłem do tawerny „Porwanie księżniczki”, o nazwie pochodzącej od obrazu, który tam wisiał na ścianie. Mariolka siedziała sama przy stoliku. Szukałem śladu zmęczenia miłością na jej twarzy, w sińcach pod jej oczyma. Dość gruba warstwa pudru, którą sobie zaserwowała, ukrywała przede mną przeżycia nocy.

Splotła palce u rąk tak mocno, aż trzasnęły w stawach.

— Jak spędziłaś noc?

— Śnił mi się szybkobieżny tramwaj w Chorzowie, na który czekałam przez całą noc i nie mogłam się doczekać. Taki chorzowski tramwaj, który jeździ z Bytomia do Katowic. — Mówiąc to mrugnęła porozumiewawczo. Nie do mnie. Ktoś musiał siedzieć za moimi plecami przy innym stoliku.

Zapytałem, czy mógłbym jeszcze zapalić papierosa. Spojrzała na zegarek.

— Pośpiesz się.

W jej głosie była niecierpliwość. Po chwili wyszliśmy. Mariolka najwyraźniej się za kims rozglądała. Kogoś szukała. Przystanąła. Wskazała swój aparat fotograficzny, który miała przewieszony przez ramię na zielonym rzemyku, i zapytała, czy umiem posługiwać się fleszem. Chciała, abym zrobił parę zdjęć eksponatów w muzeum.

— Wiesz sama, że w muzeum nie wolno robić zdjęć.

— Trzeba działać z zaskoczenia, zanim się zorientują.

— Natychmiast będzie awantura.

— Zrób to dla mnie. Jeśli by coś się stało, nie czekaj.

— A co może się stać? W muzeum? Co ci przyszło do głowy?

— To jest muzeum złota i nigdy nic nie wiadomo.

Weszliśmy na górę po schodach wyłożonych grubym chodnikiem, tłumiącym odgłos kroków.

Mariolka wzięła mnie pod rękę, w pantoflach na wysokim obcasie była nieco ode mnie wyższa. Na piętrze paliło się przyćmione światło, rozproszone w powietrzu jak mgła. I ta świetlna mgła skojarzyła mi się z pewnym dziennikiem telewizyjnym, jeszcze w Warszawie. Spiker czytał wiadomości ze świata: „Wszystkie lotniska na północ od Rzymu z wyjątkiem Genui zostały zamknięte, a samochody wpadają w mgłę i giną”. Nie powiedział „nikną”, tylko właśnie „giną” i to mi utkwilo w pamięci.

Musieliśmy czekać, bo akurat była przerwa. Razem z nami czekało coraz więcej zwiedzających. W chwili, kiedy masywne automatyczne drzwi, zbudowane z metalowych bloków, rozsunęły się bezszelestnie, runęła w nie ciżba młodzieży z plecakami i aparatami fotograficznymi. Wepchnęła nas do środka. Wówczas zobaczyłem „buddyjskiego mnicha”, stał po prawej ręce Mariolki. Ale już Mariolka wymijając innych parła do przodu, skręciła do sali na prawo od wejścia, przebiegła ją niemalże truchtem i znowu czegoś szukała.

— Zobaczmy wszystko po kolei, jeśli znasz to muzeum, to mi je pokaż... — zaproponowałem.

Nie słyszała moich słów, lub udawała, że nie słyszy. Obejrzałem się za siebie pod wpływem czyjegoś wzroku. „Mnich buddyjski” szedł za nami. Odniosłem wrażenie, że jest w grupie młodych ludzi z plecakami. Mariolka zmyliła drogę, zatrzymała się, cofnęła jeszcze raz i skręciła po raz drugi w prawo.

— Zaraz znaję — wyszeptała. I w tej samej chwili weszliśmy do niewielkiej niszy, w której spotęgowało się wrażenie mgły przenikniętej światłem.

W półświecie, w półmroku błyszcząca własnym blaskiem „Złota arka”, o której czytałem w książkach, i którą widziałem w folderach drukowanych na kredowym papierze. Jej miniaturki i kopie z miedzi, mosiądzu i różnych stopów można było kupić na targowiskach. Była to cudowna „Złota arka”, największy skarb Indian Czibczów, odnaleziony w grocie centralnego masywu andyjskiego.

Mariolka stanęła naprzeciw niej w odległości nie większej niż wyciągnięcie ręki. Podawała mi aparat fotograficzny z fleszem i wówczas wypadły jej z ręki cążki „trim” do obcinania paznokci.

— Zrób zdjęcia — powiedziała rozkazująco. Nastawiłem, niepotrzebnie, światłomierz. Oślepił mnie błysk flesza, nie mojego. Ktoś krzyknął histerycznie: bomba! Zgasło światło. Zostałem gwałtownie odepchnięty od gabloty z arką. Silny śwąd palącego się prochu. Głośny trzask tłuczonego szkła. Odpryski uderzające o podłogę. Czyjś głos: „Jesteśmy zamknięci”. I zaraz inny głos, skandujący: „Nie ruszać się. Nikt stąd nie wyjdzie”.

Ostre światło reflektorów w oczy. Już idą na nas policjanci, w mundurach i kaskach, z rozpylaczami w rękach. Jak na filmach o gangsterach. Mariolka chwyta moją ręką i mocno ściska w ataku hysterii. Wypuszczają nas pojedynczo do hallu. Mariolka idzie przede mną. Tajniacy tworzą szpaler. Potom-

kowie Czibczów o twarzach andyjskich chłopów, celują w nas z amerykańskich automatów M — 16. Mariolka wyciąga z kieszeni spódniczki kartę kredytową z Los Angeles. Policyjny fotograf chce jej zrobić zdjęcie. Mariolka zakrywa twarz obydwoma dłońmi. Pada seria pospiesznych pytań.

— Narodowość?

— Amerykanka.

— Gdzie mieszkasz?

— W Los Angeles.

— Co tu robisz?

— Zwiedzam muzeum.

— Idiotka. Jesteś posądzona o kradzież „Złotej Arki”.

— Gdzieś mam twoją „Złotą arkę”, ty głupi chamie. Poskarżę się ambasadorowi, że mnie obraziłeś, śmierdzący świński ryju.

Wszystko to wyrzuca z siebie po angielsku i wyrywa z rąk agenta swoją kartę kredytową.

— Mamy dowody. Nikt cię nie uratuje, ślicznotko — komentuje stojący obok policyjny elegancik. Nawet sam amerykański ambasador, ani szach perski. Za obrazę munduru dodatkowo pięć lat.

— Pedał — rzuca Mariolka, nie rozumiejąc co do niej powiedział.

Ktoś spisuje jej dane: rok urodzenia i datę przekroczenia granicy.

Ten sam elegancik zwraca się do mnie.

— Co cię z nią łączy?

— Tyle co ciebie.

— Dlaczego trzymała cię za rękę?

- Na skutek szoku, cierpi na klaustrofobię.
- Skąd przyjechałeś?
- Z Iquitos.
- Co tu robisz?
- Sprzedaję orchidee.
- Po co przyszedłeś do muzeum?
- Zobaczyć złoto.
- Jeśli „Złota arka” się nie znajdzie, zdechniesz w gnojówce.
- Nie mam z tym nic wspólnego.
- Nam nie uciekniesz, zapamiętaj to sobie. Jesteś w naszych rękach.

Obejrzałem się za siebie i wtedy któryś z nich popchnął mnie kolbą pistoletu. Usłyszałem jeszcze; Zjeżdżaj!

Na chodniku pomiędzy przechodniami, których już rozpędzała policja, stała Mariolka. Na jej skroniach zauważyłem kropelki potu.

- Gdzie twój przyjaciel?
- Jaki przyjaciel?
- No ten, ostrzyżony na „buddyjskiego mnicha”.
- Czego od niego chcesz?
- Chcę wiedzieć, kto to jest?

Nie odpowiedziała. Przebiliśmy się przez tłum, otaczający muzeum i doszliśmy do zakrętu ulicy. Zawołała taksówkę. Wsiadając podała mi kartkę z adresem.

- Co to jest?
- Adres moich rodziców w Chorzowie, Powstańców 11. Jeśli wrócisz do Polski, pojedź do nich i opowiedz im o mnie.

— Co mam im powiedzieć?

— Powiedz, że ich kocham. W przyszłym roku zaproszę ich do mojej willi nad Pacyfikiem. Opowiedz im także o mojej fabryce komputerów i wytwórni fdmowej w Los Angeles.

— Przecież to nie prawda.

— To nie ma znaczenia. Chcę, aby się cieszyli, że mi się wiedzie. Powiedz im także, że wyszłam za wnuka prezydenta. —

Zatrzasnęła drzwi taksówki.

Wróciłem na Rio Magdalena, do mojego hotelu „Torre blanca”. Rio Magdalena jest wąską uliczką, jedną z tych, w których można poznać tak zwane szambo świata. W pasażach sprzedają fałszywe szmaragdy i pierścionki udające złoto, a także pradawne rzeźby Czibczów, produkowane seryjnie na użytek turystów. Wszystko sztuczne i nazywane tutaj *fantasias*. Sekretne burdeliki znajdują się w oficynach ruder, w wewnętrznych pomieszczeniach tuż za sklepikami, w gabinetach kosmetycznych. Dziewczyny do wynajęcia wcale nie stoją rozebrane jak na placu Pigalle w Paryżu, tylko podkreślają swoją profesję odsłoniętym udem, otwartą do bioder kiecką, nagą piersią. Niektóre podnoszą spódniczki, aby można było zobaczyć, że niczego pod spodem nie kryją. Niezbyt agresywne, nie zaczepiają przechodniów, najwyżej poproszą o papierosa, lub też szepczą: „choć ze mną, z nikim nie będzie ci tak dobrze”. „Z przodu i od tyłu, w buzię i w ucho”, śmiejąc się do rozpuku. Strzelają oczami lub nieśmiało wyciągają rękę, aby dotknąć ci przyrodzenia. Wyrwałem się z tego ubogiego raj.

Hotel „La torre blanca” też nie bogaty, był już w innym świecie, odgradzony od tamtego nieuchwytną, ale wyraźną granicą, którą wyznacza boy hotelowy, strzegąc hallu. Żaden uliczny motyl nie wleci bez jego pozwolenia.

Kiedy wchodziłem na schody, ktoś podbiegł do mnie i zrobił mi zdjęcie. Ulotnił się, zanim się zorientowałem. Świat ostro idzie do przodu, teraz już nawet nie pytają o zgodę, podskakuje facet i nigdy nie wiesz, rąbnie cię w twarz czy robi zdjęcie.

W recepcji pełnił dyżur mój ulubiony Moby Dick, tak go nazywali tutaj wszyscy, był wielki, biały i kłapał szczęką, zupełnie jakby nosił ją na zawiasach, a w dodatku był zezowaty. Podał mi klucz i mruknął: „Ktoś pana szukał”, przybrał bardzo tajemniczą minę.

— Dziś wieczorem zatrzęsie się. Jeśli miałby się pan czuć źle na górze, u siebie, proszę zejść do salonu. Mógłbym też panu znaleźć pokój na niższym piętrze.

Było to szczególne wyróżnienie z jego strony i niewątpliwie należne tylko wielkiemu pisarzowi, pod którego nazwiskiem występowałem w oczach Moby Dicka.

— Trochę pokołysze i przestanie, już dwa razy to przeżyłem. Hotel jest asejsmiczny, może się chwiać jak choinka na Boże Narodzenie, kiedy trzęsie nią jakiś maluch, aby strącić cukierki i poślaczane orzechy. Nic się nie stanie.

— Jak pan uważa, panie Cienquewić. Ja tylko mówię, żeby pan wiedział.

Wjechałem na górę, otworzyłem oszklone drzwi na wąski, betonowy balkon. Miałem pod sobą miasto. Wiedziałem je z góry, po najdalsze krańce, aż do podnóża Andów.

Z tej wysokości nie widać brudu ani wąskich i obskurnych, cuchnących uliczek, ani dziewcząt z obnażonymi udami, ani żadnego blichtru tekstylnych stoisk ze swetrami i tanią damską bielizną. Ani masek indiańskich przodków, ani ludzkiego kłębowiska i *gamines*, tutejszych clochardów. Nie widać też ryszotków ze szczurami.

Widać niebo, nieco niżej dachy domów i zbocza górskie porośnięte rachitycznym drzewostanem.

Gdzie mogła być Mariolka? W tej dżungli ulic, domów, sklepów, kin, restauracji, barów, dyskotek, kościołów, salonów, zabytków?

Wydało mi się, że jakaś zagubiona z resztkami ziemi i wyschniętymi kwiatami, doniczka przesuwana się po posadzce balkonu u moich stóp. Pomyślałem, że to złudzenie i wróciłem do pokoju. Coś czarnego i kosmatego wysunęło się spod tapczanu, jakiś jeżozwierz, i zaczęło drobić łapkami. Telefon zabrzączał przerywanym ni to skowytem, ni to szczekaniem psa. Słuchawka podskoczyła kilka razy. Krzesła rozbiegły się od stołu, któreś wyskoczyło na balkon. Straciłem równowagę, ledwo zdołałem się chwycić ramy okiennej. Lampa kołysała się na długim sznurze, coraz szybciej, wreszcie uderzyła w sufit i żarówka rozprysła się na tysiące drobinek. Na ścianie przede mną otworzyła się szpara i zaczęły z niej wylazić karaluchy. Coraz gęściej oblepiały

ścianę. Niektóre poderwały się do lotu. Kilka wylądowało mi na głowie. Zrzuciłem je ręką na podłogę, niektóre zgniatałem na posadzce. Zrzucałem je ręką na tapczan nie mogąc złapać równowagi. Razem z nim pojechałem aż pod drugą ścianę. Trwało to wszystko marne sekundy, a wydawało się nieskończonością. Po chwili pokój wrócił do normy, tylko szczelina w ścianie na szerokość trzech palców pozostała i karaluchy nie przestały z niej wychodzić. Szczotka do butów o kształcie jeżo-zwierza znowu znalazła się pod tapczanem. Krzesło zostało na balkonie. Było już po całym kramie. Mogłem zająć się orchideami, które trzymałem przezornie w łazience. Przywiozłem wiecznie zielony gatunek, wymagający stałej, wysokiej wilgotności powietrza. Wtedy właśnie zadzwonił telefon, jakby nigdy nic, Moby Dick poinformował mnie, że ktoś na mnie czeka w hallu. Nawet nie zapytał, jak zniosłem trzęsienie i czy nic mi się nie stało. Oddał słuchawkę temu komuś, kto chciał się ze mną zobaczyć. Nie miałem najmniejszej ochoty zjeżdżać na dół, bo musiałem przygotować dla Holtza sadzonki wraz z objaśnieniami, jak się z nimi obchodzić w podróży i zimnym klimacie Europy. Orchidee są kapryśne i trzeba sporo o nich wiedzieć, aby móc je wyhodować w Hamburgu. Tamten już mówił do słuchawki: — Zabiorę panu chwilę czasu. Specjalnie przyjechałem z drugiego końca miasta. — Przed chwilą był wstrząs sejsmiczny, ledwie żyję.

— Ma pan na sprzedaż orchidee z Loreto?

— Tak, mam już na nie kupców.

— Kupców nigdy za wielu, o czym pan dobrze wie.

Zjechałem do hallu. Natychmiast podszedł do mnie człowiek o ciemnej karnacji skóry i oczach południowca, szczupłej twarzy i lekko ironicznym uśmiechu.

— Może coś sobie wyjaśnimy — powiedział bez żadnego wstępu. — Sprzedaje pan nie tylko orchidee, ale także pastę basica i basuco, co jest u nas zabronione. Ścigane też przez Interpol.

— Niczym takim się nie zajmuję, to insynuacja.

— Nie chodzi tylko o pastę basica, którą powypychał pan kieszenie, czy też trawki, przyniosłem fotografię, która pana zainteresuje.

— Nie zamawiałem jej u pana.

— Teraz pan zamówi.

Przyjrzałem mu się dokładniej, bo wydało mi się, jakbym już gdzieś go widział. Ale gdzie? W muzeum?

— Nie interesuje mnie ta fotografia.

— A jednak musi ją pan zobaczyć.

— Co to znaczy muszę?

— Dokładnie to, co powiedziałem.

Pochylił się nade mną tak blisko, że poczułem jego kwaśny oddech. Wyciągnął z torby zdjęcie i podsunął mi je przed oczy. Zobaczyłem na nim Mariolkę. Przecinała instalację sygnalizacyjną w muzeum złota. Tuż za nią stałem ja z aparatem fotograficznym, jakbym ją osłaniał.

Zaśmiał mi się w twarz, i kiedy tak się śmiał, pomyślałem, że kogoś mi przypomina, ale nie wiedziałem kogo.

— Skąd pan właściwie jest?

— Gdybym był z Akademii Sztuk Pięknych, rozmawialibyśmy o nieśmiertelnym pięknie „Złotej arki”.

— Czego pan chce?

— Bardzo niewiele. Skontaktuje mnie pan ze swoją współpracowniczką. Chcę znać jej miejsce pobytu. Wówczas oddam panu fotografię.

— Przecież ma pan kliszę.

— Kliszę też pan dostanie.

— A jeśli odmówię?

— Odpowie pan zgodnie z naszym kodeksem karnym za napad rabunkowy i kradzież wielkiego dzieła sztuki. Około dziesięciu lat więzienia z zastrzonym reżimem przez pięć lat. Oto mój telefon.

Podał mi kartkę papieru, na której było napisane od ręki: 31 04 04. I natychmiast się ulotnił.

Nie mogłem trafić kluczem do zamka. Wyobraziłem sobie te wszystkie zdjęcia, te wszystkie klatki z Mariolką i ze mną, które oni mają. Na wszystkich stoję za jej plecami lub przy niej.

W pokoju poczułem się jak w celi, już otoczony policjantami i na rękach chłód metalowych kajdanek.. Za chwilę miał przyjść Alfred Holtz.

To nie było pukanie, jakby ktoś paznokciami drapał w drzwi. Jak kot, może bardziej jak szczeniak. Otworzyłem. Weszła promienna w krótkiej i obcisłej spódnicy, lekkiej bluzce, pod którą ryso-

wały się twarde piersi bez ochrony biustonosza. Kiedy zbliżała się do mnie, poczułem ostry zapach. Jej włosy pachniały benzyną. Nie tylko włosy, ona cała.

— Powąchaj — przysunęła się do mnie — czujesz mój zapach? Przysunęła się jeszcze bliżej, cała była przesycona tym intensywnym zapachem.

— Pocałuj mi piersi!

Stała naprzeciw mnie i wyprężyła je tak, że się na moich oczach powiększyły. Rozpięła bluzkę i zrzuciła ją na podłogę. Pochyliłem się i wziąłem do ust jej brązową sutkę. Objąłem Mariolkę i zaniósłem na tapczan. Całowałem jej piersi, wydało mi się, że na języku poczułem słodki smak mleka. Ale było to złudzenie, może chciałem go poczuć. Mariolka podniosła się, aby zdjąć ciasną spódniczkę, która kępowała jej ruchy. Położyła się na wznak i pociągnęła mnie na siebie. Błądziłem wargami po jej ciele, całowałem jej usta, szyję, piersi, pępek i brzuch pachnący odurzającym zapachem benzyny. Otworzyła uda, abym mógł ją tam pocałować. Chwyciła obydwoma rękoma moją głowę i krzyknęła w spazmie rozkoszy. Jeszcze raz krzyknęła i zastygła, nieruchomiejąc. Jej ciało zmartwiało. Wyprostowała się i odepchnęła mnie od siebie. Znajdowaliśmy się oboje w oparach benzyny, która wydobywała się ze wszystkich porów jej skóry. Czułem tępy ból jąder od niezaspokojonego pragnienia.

— No idź już, ty zdrajco, i wykręć numer 31 04 04. Masz teraz szansę mnie wydać, jak Judasz wydał Chrystusa.

Roześmiała się gardłowo, nieprzyjemnie.

— Chciałeś mnie wykorzystać i kiedy skończymy się kochać, po kryjomu zadzwonić pod ten numer. Pomyliłeś się. Holtz zaproponował, aby cię wypróbować. Inscenizacja się udała, nieprawdaż. Upozorowany napad na muzeum i kradzież „Złotej arki” wypadły na medal. Arka jest już na swoim miejscu.

Straszny wstyd, ty zdrajco.

Podniosłem się z tapczanu.

— A co ze szmaragdem w złotym pierścionku?

— Pierścionek jest we właściwych rękach. Zapytaj o to Moby Dicka i powiedz mi, jak reagowało twoje sumienie, kiedy postanowiłeś wydać przyjaciółkę. Przypuszczam, że gryzło cię to twoje małe, biedne zwierzątko. Nie potrafiłeś nad nim zapanować, bo gdzieś tam w głębi duszy pewnie byłeś kiedyś uczciwy i kierowałeś się honorem. Ale skoro zobowiązałeś się mnie wydać, już nazywałeś mnie w myślach terrorystką, oszustką i złodziejką. Może nieprawda, co?

Włożyła rękę do kieszeni mojej bluzy i wyciągnęła z niej tę nieszczęsną kartkę z numerem 31 04 04.

— Naucz się odróżniać prawdę od pozorów. Idź teraz i zadzwoń! Ja poczekam, aż po mnie przyjdą.

Siedziałem na tapczanie sparaliżowany jej słowami. Nie ruszałem się. Nie mogłem dotknąć kartki z numerem telefonu, który znałem na pamięć. Nie ośmieliłem się podnieść na nią wzroku, aż wyszła z pokoju.

Wówczas zjechałem do hallu. Czekał na mnie Alfred Holtz, elegancki i jak zawsze nieskazitelny. Powiedziałem mu, że nie mam już orchidei do sprzedania.

— Czyżbym za mało panu zapłacił?
— Nic podobnego, po prostu wszystkie sadzonki i nasiona już sprzedałem. Spóźnił się pan zwlekając z kupnem z dnia na dzień, aby mnie złamać.
— Komu pan sprzedał?
— To już pozostanie moim sekretem.
— Dopiero dzisiaj mam pieniądze. Wtedy zapytałem o Mariolkę.
— Czy pan ją dzisiaj widział?
— Mariolka, *La polacal* Tak widziałem.
— Czy ona jest tutaj z panem?
— Nie, już pojechała. Teraz właśnie odlatuje do Los Angeles — spojrział na zegarek. — Dokładnie za siedem minut. Jej samolot kołuje na pasie startowym.
— A „Złota arka„?
— Nic nie wiem o „Złotej arce". Nie mieszam się do takich spraw.
— Nic pan nie słyszał o tym, co zaszło w Muzeum Złota?
— Tyle, co z dzienników radiowych.
— Panie Holtz, gdzie jest „Złota arka"?
— Nie mam pojęcia. Jestem porządnym kupcem. Mam gwarancje rządowe. Proszę ze mną o tym nie rozmawiać. Odwrócił się i odszedł.
Następnego dnia rano przeczytałem w „El Nacionalu":
„Zuchwały napad terrorystyczny na Muzeum Złota pozbawił nas największego skarbu Czibczów".

Pod tekstem był apel podpisany przez gubernatora dystryktu stołecznego, kończący się słowami: „Ktokolwiek wiedziałby coś na ten temat, powinien natychmiast zadzwonić pod numer 31 04 04, całkowita dyskrecja zapewniona. Za każdą prawdziwą informację czeka wysoka nagroda.”

Moby Dick zatrzymał mnie wołając:

— Panie Cienąewiś, panie Cienąewiś...

Podszedłem do recepcji i wyjaśniłem najdokładniej jak potrafiłem, że nie jestem Sienkiewiczem i nie napisałem „Ogniem i mieczem”. Dodałem też, że Henryk Sienkiewicz jest noblistą z 1905 roku. Samo przez się rozumie, że już nie żyje. Jego życiorys wydrukowany jest na okładce książki.

Moby Dick pokiwał głową z całkowitym zrozumieniem i odrzekł:

— Panie Cienąewiś, proszę się nie martwić o pierścionek ze szmaragdem. Jest on własnością mojego przyjaciela pana Holtza, który mieszka w pokoju pod panem. Wczoraj mu zginął, ale na szczęście znalazł go u siebie na balkonie. Niech pan nie odchodzi, szuka pana znajomy. Mówił, że miał pan do niego wczoraj zadzwonić...

I jeszcze od niechcienia dorzucił:

— Panie Cienąewiś, i tak pan już stąd nie wyjedzie.